



ŚWIAT KSIĄŻKI

OTWARTE  
PRZESTWORZA  
i inne opowiadania  
Ursula K. Le Guin

*Autorka cyklu „Ziemkowrony”  
i „Latajcy przy ciemności”*



**Ursula K. Le Guin**

**OTWARTE PRZESTWORZA**  
**i inne opowiadania**

*Przełożył Radosław Kot*

# Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)  
[OTWARTE PRZESTWORZA](#)  
[DOMY PROFESORA](#)  
[RUBY W 67](#)  
[LIMBERLOST](#)  
[ZWIERZAKOWE ZAMYŚLENIA](#)  
[PRZY SWOIM](#)  
[ŁYŻECZKI W PIWNICY](#)  
[LETNIA NIEDZIELA W SEATOWN](#)  
[SUSZA](#)  
[ETHER, OREGON](#)  
[WPÓŁ DO PIĄTEJ](#)  
[PANNA BARDZO MŁODA](#)  
[WSPINACZKA NA KSIĘŻYC](#)  
[DUŻA DZIEWCZYINKA TATUSIA](#)  
[ODKRYCIA](#)  
[STARSI](#)  
[MĄDRA](#)  
[KŁUSOWNIK](#)

# OTWARTE PRZESTWORZA

To jest baśń. Ludzie stoją w rzadko padającym śniegu. Coś lśni i drży, pobrzękując srebrzyście. Oczy też lśnią. Słysząc jakieś głosy. Śpiewy. Ludzie śmieją się i łkają, ściskają sobie dłonie, obejmują się pośród blasku i drżenia. Potem żyją długo i szczęśliwie. Śnieg pada na dachy i leci, wiatrem niesiony, przez parki i place, i ponad rzeką.

To jest historia. Dawno, dawno temu za siedmioma górami mieszkał w swoim pałacu dobry król. Jednak na jego ziemię spadła klątwa. Ziarna pszenicy uschły w kłosach, liście opadły z drzew w lesie. Wszędzie zapanowała całkowita martwota.

To jest kamień. Brukowiec z placu biegnącego łagodnym stokiem ku starej, czerwonej i niemal bezokiennej fortecy zwanej Pałacem Czerwonym. Plac został wybrukowany prawie trzysta lat temu, więc i wiele stóp przeszło od tamtej pory po kamieniu. Stopy bosc i w chodakach. Miękkie pantofle dzieci i żołnierskie bucior. I jeszcze żelazne końskie podkowy. I koła w nieustannym ruchu: koła wózków, powozów, samochodów. I czołgowe gaśienice. Przez cały czas drapały go psie pazury. Leżało na nim psie gówno, zraszała go krew. Zmywana szybko albo wodą z wiader, albo z węży. Lub spadającą z chmur. Powiada się, że nie wyciśniesz krwi z kamienia; podobnie kamień nie chłonie krwi, nigdy więc się nie brudzi. Część bruku w pobliżu ulicy, która prowadzi z Placu Czerwonego ku dawnej żydowskiej dzielnicy nad rzeką, była ze dwa razy wrywana z ziemi i spiętrzana w barykady. Niektóre kamienie nawet latały w powietrzu, choć zawsze tylko przez chwilę. Szybko wstawiano je na miejsce lub zastępowano nowymi. Im nie robiło to różnicy. Człowiek uderzony przez lecący kamień padał jak kamień obok kamienia, który go zabił. Żołnierze zmywali jego krew wodą laną z wiader. Tych samych wiader, z których piły ich konie. Potem padał deszcz. I śnieg. Dzwony wydzwaniały godziny, obwieszczały nadejście Bożego Narodzenia, Nowego Roku. Czołg zatrzymywał się, szorując gaśienicami po kamieniu. Można by sądzić, że to powinno zostawić jakiś ślad, bo czołg jest wielki i ciężki, ale na kamieniu niczego nie widać. Tyle że niezliczone bosc i obute stopy wygładziły go trochę przez stulecia. Chociaż nie jest tak naprawdę gładki, tylko lico mu złagodniało i przypomina wyprawioną skórę. Nie splamiony, nie naznaczony, obojętny, ma jeszcze przed sobą długie życie, nim naprawdę się zużyje. Jest więc kamieniem obdarzonym mocą: kto postawi na nim stopę, ten może ulec przemianie.

To jest opowieść. Kobieta otworzyła sobie drzwi kluczem.

– Mamo?! – zawołała. – To ja, Fana!

– Jestem tutaj! – odkrzyknęła jej matka z kuchni. Spotkały się i uściskały w kuchennych drzwiach.

– Chodź, chodź!

– Dokąd to?

– Przecież dziś czwartek, mamo!

– Och – jęknęła Bruna Fabbre, wycofując się do kuchenki. By się usprawiedliwić, wskazała na rondle, ściereczki i łyżki.

– Obiecałaś.

– Ale już prawie czwartka...

– Koło wpół do siódmej będziemy z powrotem.

– Nie przygotowałam się jeszcze w ogóle do testów egzaminacyjnych.

– Musisz iść, mamo. No chodź! Sama zobaczysz!

Nawet kamienne serce zmięknęły pod spojrzeniem tych lśniących i błagających, a jednak stanowczych oczu.

– Chodź! – powtórzyła i matka poszła. Chociaż nie bez narzekania.

– Robię to tylko dla ciebie – powiedziała na schodach. W autobusie znów zaczęła.

– Robię to dla ciebie, nie żebym sama chciała.

– Dlaczego tak mówisz?

Bruna nie odpowiedziała od razu. Patrzyła w okno autobusu, za którym przesuwało się szare miasto. Nisko nad dachami zwieszały się ponure, listopadowe chmury.

– Bo widzisz – odezwała się po chwili – zanim Kasi... mój brat Kasimir... zanim zginął, robiłam to dla siebie. Ale byłam młoda i głupia. Za młoda. A potem zabili Kasiego.

– Przez pomyłkę.

– To nie była pomyłka. Szukali człowieka, który przerzucał ludzi przez granicę, ale im się wymknął. Jednak kogoś musieli dopaść, żeby...

– Żeby mieli co zameldować w Centrali.

Bruna skinęła głową.

– Był wtedy mniej więcej w twoim wieku – ciągnęła. Autobus zatrzymał się, wsiadło sporo ludzi i zrobił się tłok. – Od tamtej pory, od dwudziestu siedmiu lat, jest już za późno. Za późno dla mnie. Najpierw byłam za głupia, a potem zrobiło się za późno. Teraz twoja kolej. Mój czas minął niespostrzeżenie.

– Sama zobaczysz – powiedziała Stefana. – Jest dość czasu na wszystko.

To jest historia. Żołnierze stoją w szeregu przed czerwonym, niemal bezokiennym pałacem; muszkiety trzymają gotowe do strzału. Młodzi mężczyźni idą ku nim po kamieniach i śpiewają:

A za ciemnością lśni światło,  
O wolności, nadejdzie twój dzień!

Żołnierze strzelają. Młodzi ludzie żyją potem długo i szczęśliwie. Na wieki.

To jest biologia.

– Gdzie, u diabła, wszyscy się podzieli?

– Dziś jest czwartek – wyjaśnił Stefan Fabbre. – Cholera! – zaklął, widząc, jak obraz na monitorze komputera skacze i migocze. Siedział w płaszczu narzuconym na sweter i w szaliku, bo laboratorium biologiczne ogrzewał wyłącznie przenośny elektryczny piecyk, którego nie można było używać równocześnie z komputerem, gdyż zakłócał jego pracę. – Są programy, które robią to w dwie sekundy – powiedział, stukając markotnie w klawiaturę. Avelin podszedł i zerknął na ekran.

– Co to jest?

– Porównawcze zestawienie RNA. Na palcach szybciej bym to policzył.

Avelin, łysy i wymuskany, blady i czarnooki mężczyzna około czterdziestki, kręcił się bez celu po laboratorium.

– To żadna praca w tych warunkach – powiedział, przerzucając skoroszyt z wynikami. – Myślałem, że też pójdziesz.

Fabbre wszedł w nowy plik danych.

– Dlaczego?

– Jesteś idealistą.

– Ja? – Fabbre odchylił się w fotelu, przeciągnął i pokręcił głową, żeby rozruszać kręgi szyjne.

– Staram się nie być.

– Realistą trzeba się urodzić, starania nic tu nie pomogą. – Młodszy mężczyzna przysiadł na stołku laboratoryjnym i wbił spojrzenie w pokiereszowany, zaplamiony blat. – Wszystko się rozsypuje.

– Tak myślisz? Poważnie? Avelin skinął głową.

– Słyszałeś, co się dzieje w Pradze. Fabbre też kiwnął głową.

– W zeszłym tygodniu... W tym tygodniu... Tak. Najpóźniej w przyszłym roku. Trzęsienie ziemi. Nie zostanie kamień na kamieniu. Był blok, nie ma bloku. Na naszych oczach tworzy się historia. Więc nie rozumiem, dlaczego jesteś tutaj, a nie tam.

– Naprawdę tego nie rozumiesz?

– Naprawdę – odparł z uśmiechem Avelin.

– Dobra. – Fabbre wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po długim pomieszczeniu. Drobnego, siwego mężczyzna o młodzieńczych, ale opanowanych ruchach. – Pamiętasz, jaki mieliśmy wybór? Albo działalność naukowa, albo polityczna. Albo – albo, tak było, prawda? Wybór wymagający odpowiedzialności, zgadza się? Więc podszedłem do tego odpowiedzialnie. Wybrałem naukę i dałem spokój wszystkiemu, co jej nie służy. Co nie służy prawdziwej i rzetelnej nauce. Tam, na zewnątrz, oni mogą sobie zmieniać reguły, ale nie tutaj, a gdy próbują, ja próbuję się sprzeciwić. To moja forma oporu. – Uderzył otwartą dłoń w stół laboratoryjny i obrócił się. – Chodzę zupełnie jak na wykładzie. Ale niech tam, mogę zrobić wykład. No to już. Jakie było tło mojego wyboru. Mój dziadek, ojciec... represjonowani. To raz. Dalej. W sześćdziesiątym roku zacząłem pracować na uniwersytecie. W sześćdziesiątym drugim szedłem przez pewien wiejski rynek z moim najlepszym przyjacielem, bratem mojej żony. Szliśmy i rozmawialiśmy, aż on nagle umilkł. Został zastrzelony. Przez pomyłkę, jak twierdzą. Był muzykiem. Realistą. Czuję, że jestem mu to winien. Że jestem im to winien. Uważałem, że najlepsze, co mogę zdziałać, to zachowywać się odpowiedzialnie i przeżyć. I robić ostrożnie, co w mojej mocy. A w mojej mocy jest właśnie to. – Wskazał szerokim gestem na laboratorium. – I jestem w tym dobry. Zatem staram się być realistą. Na ile to możliwe w tych okolicznościach, które mają coraz mniej wspólnego z realizmem. Ale to tylko okoliczności. Okoliczności, w których staram się jak najostrożniej robić swoje.

Avelin siedział pochylony. Gdy Fabbre skończył, pokiwał głową.

– Ale pozostaje pytanie – odezwał się po chwili – czy takie rozdzielanie okoliczności i pracy jest przejawem realizmu.

– W podobnej mierze co rozdzielanie umysłu od ciała – powiedział Fabbre. Znowu się przeciągnął i ponownie siadł do komputera. – Chcę wprowadzić jeszcze jedno – rzucił, sięgając do klawiatury i spoglądając na notatki. Po pięciu czy sześciu minutach włączył drukarkę. – Givan, naprawdę uważasz, że to wszystko się rozsypuje? – spytał, nie odwracając głowy.

– Tak. Myślę, że eksperyment dobiegł końca.

Drukarka ruszyła z jazgotem i obaj musieli podnieść głosy, by się słyszeć. – Tutaj.

– Tutaj i wszędzie. Ci na Placu Czerwonym już to wiedzą. Idź tam. Sam zobaczysz. Tak uroczyście obchodzi się tylko śmierć tyrańca albo kres wielkiej nadziei.

– Albo jedno i drugie.

– Albo jedno i drugie – zgodził się Avelin.

Papier utknął w drukarce i Fabbre otworzył urządzenie, żeby je odblokować. Dłonie mu się trzęsły. Opanowany Avelin podszedł z rękami założonymi z tyłu. Spojrzał, sięgnął i wyprostował róg

kartki, która zakleszczyła się w podajniku.

- Niebawem będziemy mieli IBM-a. Albo mactoshina. Co sobie zamierzamy.
  - Macintosha – poprawił go Fabbre.
  - Wszystko da się zrobić w dwie sekundy. Fabbre włączył drukarkę i rozejrzał się wkoło.
  - Słuchaj, ale zasady...
- Avelinowi dziwnie lśniły oczy, jakby łzawiły. Pokręcił głową.
- Tak wiele zależy od okoliczności – powiedział.

To jest klucz. Zamyka i otwiera drzwi mieszkania 2– I w domu numer 43 przy Pradinestrade w dzielnicy Starej Północnej w mieście Krasnoj. Mieszkanie jest ładne, że pozazdrościć. Ma kuchnię z rondlami, ściereczkami, łyżkami i wszystkim, co potrzebne, i dwa pokoje, z których jeden jest obecnie salonikiem z krzesłami, książkami, papierami i wszystkim, co potrzebne, a z jego okna, w luce pomiędzy murami innych budynków, widać krótki odcinek rzeki Molsen. Rzeka jest teraz skuta lodem, a drzewa na jej brzegu stoją nagie i czarne. Mieszkanie jest puste, światła w nim zgaszone. Wychodząc, Bruna Fabbre zamknęła drzwi, a klucz zatrzasnęła w małej, wyświechtanej w narożnikach torebce z imitacji skóry. Klucz leży w niej złączony stalowym kółkiem z kluczem od biurka Bruny w liceum i kluczem do mieszkania jej siostry, Bendiki, która mieszka w Trasfiuve. Córka Bruny, Stefana, trzyma swój klucz w kieszeni džinsów. Nie na kółku, ale na plecionce z przewodu elektrycznego, razem z kluczem do jej pokoju w akademiku, budynek G, należącym do Uniwersytetu Krasnojskiego. Jest studentką ostatniego roku na Wydziale Literatury Orsiniańskiej i Słowiańskiej, pisze pracę magisterską z poezji wczesnoromantycznej. Nigdy nie zamyka szafki. Obie kobiety idą Pradinestrade kilka przecznic dalej i stoją parę minut przy skrzyżowaniu, czekając na autobus numer 18, który jeździ bulwarem Settentre z północnych dzielnic do śródmieścia.

Ściśnięte w wypchanej po brzegi torebce i ciepłej kieszeni džinsów, oba klucze leżą cicho i obojętnie. Jak zapomniane. Klucze potrafią tylko zamykać i otwierać drzwi, to ich funkcja, całe ich przeznaczenie. Mają tylko obowiązki i żadnych praw. Zamykanie i otwieranie. Poza tym można je co najwyżej znaleźć lub wyrzucić.

To jest historia. Dawno, dawno temu, w roku 1830, w 1848, w 1866, w 1918, w 1947 i 1956, kamienie zrywały się do lotu. Latały w powietrzu jak gołębie. I jak serca, bo serca też miewają skrzydła. W tamtych latach, gdy latały kamienie, serca też dostawały skrzydeł, a młode głosy podejmowały śpiew. Żołnierze unosili muszkiety, celowali z karabinów, ustawiali broń maszynową. Żołnierze też byli młodzi. I strzelali. Kamienie spadały na ziemię, spadały też gołębie. Jest taki rodzaj kamienia, który nazywa się czasem gołębią krwią. To rubin. Bruk Placu Czerwonego, – szkarłatny bruk, nie został ułożony z rubinów. Starczało wylać nań wiadro wody, starczał deszcz, by kamienie odzyskały szary kolor. Znów były zwykłymi kamieniami o barwie ołowiu. Tylko czasem, w pewnych latach, zdarzało się im fruwać i zmieniać w rubiny.

To jest autobus. Całkiem nieromantyczny i na pewno nie baśniowy. Wybitnie realistyczne zjawisko, chociaż w zasadzie, po prawdzie, w rzeczywistości aż kipi idealizmem. Oto pełen ludzi miejski autobus, który pewnego listopadowego popołudnia nagle znieruchomiał. Znieruchomiał na ulicy miasta w Europie Środkowej. Tylko tego brakowało. O rany. A niech to... Ale nie, on się nie zepsuł, jego silnik, dziw nad dziwami, jest całkiem sprawny. Po prostu autobus nie może jechać dalej. Dlaczego? Bo przed nim stoi inny autobus, a jeszcze dalej, przy skrzyżowaniu, następny i wygląda na to, że wszystko stoi. Nikt w autobusie nie słyszał dotąd o korkach ulicznych, chyba że

jako o egzotycznej chorobie nękającej tajemniczy Zachód. W mieście Krasnoj nie ma dość prywatnych samochodów, żeby mógł się utworzyć korek. Nawet gdyby ktoś tu wiedział, co to jest. Samochodów osobowych jeździ niewiele, sporo za to warczących autobusów, ale zatrzymać ruch uliczny w mieście Krasnoj mogą tylko ludzie. Wiąże się to z pewnym równaniem, którego prawdziwości dowiodły wieloletnie doświadczenia. Może nie były to eksperymenty ściśle naukowe, może nie spełniały postulatu pełnego obiektywizmu, niemniej powtarzano je wielokrotnie i została po nich obszerna dokumentacja. Z równania owego wynika, że w tym mieście nie ma dość ludzi, żeby zatrzymać czołg. Nie tylko w tym zresztą. Również w o wiele większych, o czym można się było dobitnie przekonać nie dalej jak zeszłej wiosny. Ale jest w tym mieście dość ludzi, żeby zatrzymać autobus. I oni właśnie to robią. Nie rzucają się pod koła, nie wymachują sztandarami, nie śpiewają pieśni o jutrzence wolności, tylko po prostu stają autobusowi na drodze. Zakładają bowiem, że kierowca autobusu nie jest ani mordercą, ani samobójcą. Opierając się na tym domniemaniu – decydującym skądinąd o rozkwicie lub upadku miast – stają na drodze innym autobusom i samochodom, i sobie nawzajem, aż w końcu wszyscy niemalże drepczą w miejscu, przynajmniej w sensie fizycznym.

– Będziemy musiały tam dojść – powiedziała Stefana, a jej matka ścisnęła mocniej torebkę z imitacji skóry.

– Nie damy rady, Fana! – zaprotestowała. – Popatrz na ten tłum! Co oni... Czyżby...

– Dziś czwartek, proszę pani – wyjaśnił z uśmiechem postawny czerwonolicy mężczyzna, który stał zaraz za nimi. Wszyscy wysiadali, tłocząc się i rozmawiając.

– Wczoraj mogłam wysiąść cztery przecznice dalej – powiedziała gniewnie jakaś kobieta.

– Tak, ale dziś jest czwartek – odparł czerwonolicy mężczyzna.

– Ostatnio było piętnaście tysięcy – wtrącił ktoś inny. – Dziś będzie pięćdziesiąt!

– Nigdy nie dojdziemy do Placu, chyba nawet nie ma co próbować – jęknęła Bruna do córki, gdy przepychały się do drzwi.

– Trzymaj się mnie, a wszystko będzie dobrze – oznajmiła studentka pisząca pracę z poezji wczesnoromantycznej, wysoka, rezolutna kobieta, i mocno ujęła dłoń matki. – Z którejś strony w końcu dojdziemy. Byłoby fajnie, gdybyś jednak zobaczyła Plac. Spróbujemy. Na początek obejdziemy pocztę.

Wszyscy, mimo przeszkód, zawzięcie zdążali w tym samym kierunku. Stefana i Bruna przeszły przez ulicę, chociaż co chwila musiały ustępować komuś z drogi lub przepychać się łagodnie. Potem ruszyły pod prąd i skrzyły szybkim krokiem w niemal pustą aleję. Przecięły brukowany dziedziniec za Poczta Główną i dołączyły do jeszcze większego tłumu ciągnącego wolno szeroką ulicą. Spomiędzy budynków wylewały się wciąż nowe strumienie ludzi.

– Tam widać pałac, popatrz! – zawołała Stefana, która była wyższa od matki i pierwsza dostrzegła go nad głowami. – Dalej się nie przedostaniemy, chyba że przez osmozę.

Zaczęły więc przenikać przez tłum, choć wymagało to, by puściły swe dłonie, co zaniepokoiło Brunę.

– Już dość, tu też będzie dobrze – powtarzała. – Wszystko widzę. Widzę dach pałacu. Przecież i tak nie będzie się nic działo, prawda? Nikt nie ma przemawiać? – Niezupełnie o to jej chodziło, ale nie chciała robić wstydu córce, której nie było jeszcze na świecie, gdy kamienie na Placu przypominały ostatnio rubiny. I mówiła to cicho, bo chociaż ścisk był wielki, ludzie nie zachowywali się hałaśliwie. Rozmawiali zwykłymi, wcale nie podniesionymi głosami. Tylko bliżej pałacu ktoś wykrzykiwał co pewien czas jakieś nazwisko, a wiele, bardzo wiele innych osób podejmowało ten okrzyk, aż powtarzane nazwisko przetaczało się przez Plac z hukiem przyboju. Po czym ludzie na



chwilę milkli, szemrząc głucho, jak morze, nim uderzy o brzeg kolejną falą.

Zapaliły się latarnie. Plac Czerwony oświetlały oszczędnie typowe wysokie latarnie z lanego żelaza. Wszystkie stare i z dwoma wielkimi, kulistymi kloszami promieniującymi miękkim blaskiem. Niebo od razu zdało się jeszcze ciemniejsze, a w pobliżu lamp dały się dostrzec szybujące łagodnie ku ziemi płatki śniegu.

Takie same płatki osiadały teraz na ciemnych krótkich włosach Stefany i na chuście, którą Bruna okryła głowę, by osłonić uszy przed chłodem. Włosy Bruny też były krótkie, ale jasne. Płatki śniegu na głowach matki i córki zaraz topiły się i przemieniały w maleńkie kropelki wody.

Gdy Stefana w końcu się zatrzymała, Bruna wyprostowała się, jak tylko mogła, a ponieważ stały w najwyższym rogu Placu, przed starą apteką, gdy wyciągnęła szyję, widziała wielki tłum, morze ludzkich twarzy bielejących niczym niezliczone płatki śniegu. Gęstniał mrok, z nieba sypał śnieg i nie było wyjścia z Placu, nie mogła wrócić do domu. Jakby zabłądziła w lesie. Ponad tłumem rysował się ciemny masyw pałacu z ledwie kilkoma oświetlonymi oknami. Trwał milczący, nikt stamtąd nie wychodził, nikt doń nie wchodził. Pałac był siedzibą rządu, to stamtąd sprawowano władzę. Był jak prochownia, jak potężna bomba, tyle tam nagromadzono władzy. Właczana między te czerwone mury, napierała na nie pod ogromnym ciśnieniem. Gdyby pałac nie wytrzymał, byłaby to przerażająco gwałtowna eksplozja. Ostre odłamki kamieni poleciałyby we wszystkie strony, a tutaj, na otwartej przestrzeni, brakło osłony dla tych jasnych twarzy i lśniących oczu, dla miękkich, małych piersi, brzuchów i ud. Nie chroniło ich nic prócz kawałków tkaniny.

Spojrzała na swoje stopy. Z wolna marzły. Włożyłaby porządne buty, ale nie pomyślała, że może padać, a poza tym Fana ją poganiała. Było jej zimno, czuła się taka zagubiona i samotna, że aż zaczęło jej się zbierać na płacz. Zaciśnęła mocno zęby, zasznurowała wargi i mimo zmarzniętych nóg stała niezachwianie na zimnym kamieniu.

Rozległ się cichutki, ledwie uchwytny dźwięk, jakby zadzwoniły kryształki śniegowych płatków. Tłum zamruczał, zaszemrał śmiechem i zamilkł. Przez ciszę niesło się coraz dalej nierytmiczne i nieśmiałe srebrzyste pobrzękiwanie.

– Co się dzieje? – spytała Bruna i nagle się uśmiechnęła. – Dlaczego oni to robią?

To jest zebranie komitetu. Nie chcecie chyba, żebym opisywała je z detalami? Komitet spotyka się zwykle w piątek o jedenastej rano w piwnicy Akademii Ekonomicznej. Teraz jest jednak jedenasta w nocy, choć też piątek, a zebranie ciągle trwa. Na dodatek śledzi je całkiem sporo widzów. Łącznie jest tych widzów z kilkanaście milionów, a to za sprawą pewnego obcokrajowca wyposażonego w kamerę telewizyjną z długim obiektywem. Kamera wysuwa jednooki pysk i chłonie wszystko, co widzi. Kamerzysta kieruje ją na wysoką ciemnowłosą dziewczynę, która z wielką elokwencją przekonuje zebranych, by zdecydowali, czy sprowadzić pewnego człowieka z powrotem do stolicy. Jednak miliony widzów i tak nie rozumieją jej słów, gdyż mówi w nie znanym im języku i nikt nie tłumaczy jej wypowiedzi. Niemniej wszyscy zauważają, że oko kamery chłonie przez dłuższą chwilę młodą twarz dziewczyny.

To jest historia miłosna. Dwie godziny później komitet wciąż obraduje, chociaż kamerzysta dawno już sobie poszedł.

– Nie, posłuchajcie – powiedziała dziewczyna. – Poważnie, właśnie w takiej chwili dochodzi zwykle do zdrady. Wolne wybory, tak, oczywiście, ale jeśli nie uporamy się z tym teraz, to kiedy? I kto niby to zrobi, jak nie my? Czy jesteśmy krajem samodzielnym, czy wasalnym, co tylko zmienia panów?

– Musimy działać powoli, krok po kroku, konsolidując...

– Gdy tama pęka, nie ma czasu na dreptanie w miejscu! Trzeba spłynąć przez wyłom! I to od razu!

– Najważniejszy jest wybór kierunku...

– Właśnie, kierunek. Nie można dać się ponieść wydarzeniom.

– Wydarzenia i tak niosą nas w jednym kierunku.

– Ale do tyłu! Jak zawsze! Sam się przekonasz!

– Czyli ku zależności nie od Wschodu, ale tym razem od Zachodu, jak mówiła Fana?

– Tak do końca nie da się tego uniknąć. Ale to będzie stowarzyszenie, a nie okupacja...

– Niech mnie diabli, jak to nie będzie okupacja! Okupacja pieniądza, konsumpcjonizmu, ich supermarketów, systemu wartości. Nie łudzisz się chyba, że się przed tym obronimy? Cóż znaczy sprawiedliwość społeczna wobec kolorowego telewizora? Przegraliśmy tę bitwę, zanim jeszcze stanęliśmy do walki. I gdzie teraz jesteśmy?

– Tam gdzie zawsze. Na straconej pozycji.

– On ma rację. Jesteśmy tam, gdzie zawsze byliśmy. Ale tylko my, nikt inny. Reszta nas wprawdzie dogoniła, ale tylko na chwilę, więc musimy działać. Dopóki możemy. Stracona pozycja stała się ośrodkiem władzy. Możemy zatem działać. Teraz.

– Aby zdusić w zarodku kult kolorowego telewizora? Jak? Tama pękła, zaraz runie! Zaleje nas powódź dóbr wszelakich. Utoniemy w nich.

– Nie, jeśli ustalimy kierunek, właściwy kierunek, już teraz...

– Ale czy Rege nas posłucha? Dlaczego mamy zawracać, skoro możemy iść naprzód? Jeśli...

– Musimy ustalić...

– Nie! Musimy działać! Wolność mogą ustanowić jedynie ludzie wolni...

Wszyscy przekrzykiwali się zachrypniętymi, zdartymi głosami. Całe dnie, tygodnie mówili tak i słuchali, czerpiąc energię z podłej kawy i miłości. Tak, miłości, bo to była kłótnia kochanków. To z miłości on prosi usilnie, z miłości ona się wścieka. To zawsze dzieje się z miłości. Dlatego właśnie kamera wetknęła swój pysk do tej brudnej piwnicy: bo to miejsce schadzki kochanków. Kamera zwęszyła tu miłość. Gdy nie możesz czegoś mieć, szukasz tego w telewizji, gdzie – jak ktoś powiedział – wszystko można znaleźć w dwie sekundy, rychło więc przestajesz odróżniać prawdę od obrazu. To potrafią tylko kochankowie.

To jest baśń, a w baśniach, jak wiadomo, gdy pada stwierdzenie, że potem żyli długo i szczęśliwie, nikt nie pyta, jakie było to potem. Nie ma „potem”. Zły czar się rozwiął, dobry sługa otrzymał w nagrodę pół królestwa, a król rządził długo i sprawiedliwie. Pamiętamy, kiedy wkradła się zdrada, ale nie pytamy, co było później. Nie pytamy, czy zatrute pola znów zajaśniały zbożem. Nie pytamy, czy z wiosną puszcza okryła się zielonymi liśćmi. Nie pytamy, jak nagrodzono damę dworu. Pamiętamy opowieść o Kościeju Nieśmiertelnym, którego życie było w igle, igła w jajku, jajko w łabędziu, łabędź w orle, orzeł w wilku, wilk w pałacu, którego mury wzniesiono z magicznych kamieni. Zakłęcie w zakłęciu! Gdy opowieść się kończy, daleko nam jeszcze do jajka z igłą, którą trzeba złamać, żeby Kościej Nieśmiertelny mógł umrzeć. Wiele tysięcy ludzi stało na pochyłym placu przed pałacem. Z nieba sypał śnieg, a ludzie śpiewali. Znacie tę starą pieśń, w której pojawiają się takie słowa, jak „ziemia”, „miłość”, „wolni”, śpiewaną w języku, który znacie najdłużej. Te słowa sprawiają, że rozstępują się kamienie, te słowa zatrzymują czołgi, te słowa potrafią nawet odmienić świat, pod warunkiem że zostaną zaśpiewane we właściwym czasie i przez właściwych ludzi, i po tym, jak wielu innych zginie za intonowanie tej pieśni.

W murach pałacu otworzyło się tysiąc drzwi. Żołnierze odłożyli broń i podjęli śpiew. Zły czar się rozwiął. Dobry król wrócił do swego królestwa, a ludzie tańczyli z radości na brukowanych ulicach miasta.

I nie pytamy, co zdarzyło się potem. Możemy jednak doprowadzić tę opowieść do końca. Żeby wszystko znalazło się na swoim miejscu.

– Moja córka jest w Komitecie Rady Ruchu Studenckiego – powiedział Stefan Fabbre do Florensa Askego, gdy stali obok siebie w kolejce przed piekarnią na Pradinestrade. Sądząc po głosie, targały nim mieszane odczucia.

– Wiem. Erreskar widział ją w telewizji.

– Mówi, że ich zdaniem sprowadzenie Regego to jedyny sposób, żeby szybko i naprawdę coś zmienić. Uważają, że armia go zaakceptuje.

Przesunęli się o krok dalej.

Aske, starszy, ogorzały mężczyzna o surowej twarzy i wąskich oczach, zacisnął usta i zamyślił się.

– Byłeś w rządzie Regego – powiedział Fabbre.

Aske skinął głową.

– Ministrem edukacji. Przez tydzień – odparł i zaśmiał się szczekliwie niczym lew morski. Ni to kaszel, ni to śmiech.

– Myślisz, że da radę nas z tego wyciągnąć?

Aske ciaśniej owinął szyję brudnym szalikiem.

– Cóż, Rege nie jest głupi. Ale ma swoje lata. A co z tym naukowcem, tym fizykiem?

– Z Rochoyem? Fana mówi, że chcą najpierw Regego, bo to daje gwarancję przemian i miałyby znaczenie symboliczne, z uwagi na jego postawę w pięćdziesiątym szóstym, no wiesz.

A jeśli Regę dociągnie do wyborów, będą głosowali na Rochoya.

– Ech, to marzenie o wyborach...

Znów postąpili krok. Byli już przed oknem piekarni, między nimi a drzwiami stało tylko osiem czy dziesięć osób.

– Dlaczego oni sięgają po kogoś tak starego? – spytał starszy pan. – To młodzi chłopcy, młode dziewczyny. Czego, u diabła, znowu od nas chcą?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Fabbre. – Ale ciągle myślę, że wiedzą, co robią. Zaciągnęła mnie tam, no wiesz, na jedno z ich spotkań. Wpadła do laboratorium i zawołała, że mam wszystko zostawić i iść z nią. I poszedłem. Bez pytań. Ona teraz rządzi. Jak oni wszyscy, ci dwudziestodwu-, dwudziestotrzylatkowie. Są przy władzy. Starają się stworzyć jakąś strukturę, zaprowadzić jakiś ład, ale z wyraźnym zastrzeżeniem: żadnej przemocy. Dla nich sięgnięcie po przemoc oznacza przegraną, utratę szans. Są absolutnie pewni swego, a zarazem porażają ignorancją. Jak jagnięta wiosną. Niczego jeszcze nie zrobili, a dokładnie wiedzą, co robić.

– Stefan – odezwała się jego żona, Bruna, która od dłuższej chwili stała tuż obok – znów dajesz wykład. Cześć, kochanie. Witaj, Florens. Przed chwilą widziałam się z Margaritą, stałyśmy na rynku w kolejce po kapustę. Teraz jadę do centrum. Wrócę chyba po siódmej, nie wiem dokładnie.

– Znowu? – zapytał Stefan.

– Do centrum? – zaniepokoił się Aske.

– Dziś czwartek – wyjaśniła Bruna, wyjmując z torebki dwa klucze do mieszkania i jeden do biurka. Potrząsnęła nimi przed twarzami obu mężczyzn. Zadzwończyły lekko i kobieta się uśmiechnęła.

– Pójdę z tobą – powiedział Stefan Fabbre.

– Proszę, proszę – mruknął Aske. – Do diabła, też się zabiorę. Ostatecznie nie samym chlebem człowiek żyje, prawda?

– Margarita nie będzie się o ciebie martwiła? – spytała Bruna, gdy wyszli z kolejki i skierowali się ku przystankowi autobusowemu.

– Z kobietami zawsze jest ten problem, że martwią się, czy ktoś nie będzie się martwić – stwierdził starszy pan. – Tak. Będzie. Ale was też martwi to, co robi wasza córka, wasza Fana.

– Tak – odparł Stefan. – Owszem.

– A mnie nie – powiedziała Bruna. – Boję się jej, boję się o nią, ale szanuję to, co robi. Dała mi te klucze. – Mocniej ścisnęła pod pachą torebkę z imitacji skóry.

To jest prawda. Stali na bruku w rzadko padającym śniegu i słuchali srebrzystego dzwonienia tysięcy potrząsanych kluczy. A przestworza otwierały się wreszcie, dawno, dawno temu.

# DOMY PROFESORA

*Dla Tony'ego*

Profesor miał dwa domy, jeden wewnątrz drugiego. Razem z żoną i dzieckiem mieszkał w zewnętrznym domu, który był wygodny, czysty, trochę zabałaganiony i za mały na wszystkie jego książki, jej papiery i botaniczne skarby córki. Dach przeciekał w nim podczas wczesnojesiennych ulew, dopóki deski nie napęczniały, ale jedno ustawione na strychu wiadro rozwiązywało sprawę. Woda nie docierała do wewnętrznego domu, gdzie profesor mieszkał bez żony i dziecka, a w każdym razie czasem tak właśnie powiadał żartem: „Tutaj mieszkam. To mój dom”. Jego córka dodawała często, całkiem bez wyrzutu, tylko dla poinformowania gościa: „Miał być dla mnie, ale tak naprawdę to jego dom”. Niekiedy sięgała wówczas po wysoką na cal lampę z abażurem albo niebieską miskę rozmiarów jej paznokcia, miskę zawsze na wpół wypełnioną mlekiem, z napisem „Kocia” na okrągłym boku. Niemniej, gdy goście obejrzeliby już wszystko, odstawiała uważnie każdy przedmiot na swoje miejsce. W małym domu panował wzorowy porządek, wszystko mieściło się w nim jak trzeba, chociaż niektórzy uważali, że jak na ich gust salon jest nadmiernie zagracony. Córka lubiła typowy wystrój i urządzenia dobrych marek, z tosterów i odkurzaczy uznawała tylko te ze znakiem Liliputa, zauważyła jednak, że większość dorosłych gości szczerze podziwiała staranność i precyzję, z jaką jej ojciec wykończył i umeblował wnętrza. Sam trochę się wstydził pokazywać swoje dzieło, zatem to ona zwracała gościom uwagę na detale: szafkę z przeszklonymi drzwiczkami, parkiety i boazerie z twardego drewna, umocowany na dachu „wdowi pomost” z poręczami, taki sam jak w starych domach w Nowej Anglii. Żaden gość, czy to dorosły, czy dziecko, nie mógł pohamować westchnień zachwyty na widok weneckich okiennic z maleńkimi deszczułkami, które otwierały się i przymykały zgodnie, poruszane obciążonymi nitkami.

– Wiecie, jak zrobić weneckie okiennice? – pytał czasem profesor gości, gdy nie było w pobliżu córki, która zaraz uprzedziłaby odpowiedź albo przypomniawsza ze śmiechem: „Mało oczu przy nich nie straciłeś!” Jej ojciec, który lubił się grzebać w skomplikowanych drobiazgach, podobnie jak większość nauczycieli chętnie powtarzał też co trafniejsze swoje kwestie i zwykle nadmieniał, jak to po dwóch tygodniach pracy nad tym elementem doszedł do wniosku, że weneckie okiennice mogą przesłonić świat nawet Amerykaninowi.

– A ja zrobiłam ten okropny dywan w pokoju dzieciennym – powiadała żona profesora, Julia, by zaznaczyć, że też wzięła udział w urządzaniu wewnętrznego domu i że aprobuje pasję męża, chociaż nijak nie może się z nim równać. – Ustępuje dziełom Iana, ale mąż docenił moje dobre chęci. – I rzeczywiście, szydełkowy dywan zawijał się po bokach, podczas gdy iglaki w pozostałych pokojach, miniaturowe persy i jaskrawy, kwiecisty dywan w sypialni pana domu leżały równo i w ogóle niczego im nie brakowało.

Wewnętrzny dom stał na niskim stole w otwartej wnęce długiego salonu w domu zewnętrznym. Jego mieszkańcy nazywali to miejsce „trzecim rzędem”, co w domu pełnym książek było aluzją oczywistą. Przyjaciele rodziny sprawdzali postęp prac przy budowie i urządzaniu za każdym razem, gdy rok po roku wpadali na obiad czy na drinka. Przypadkowi goście uznawali, że dom należy do córki, a stoi na dole, gdyż rzadko widuje się tak wspaniałe domki dla lalek, które można wręcz nazwać dziełami sztuki. Na dodatek podobne modele i miniatury wchodziły ostatnimi czasy akurat w modę. Żeby nie wyprowadzać co bardziej kłopotliwych gości z błędu (a był wśród nich również

dziekan z uczelni Iana), profesor nie wspominał nic o tym, jak został na potrzeby tej budowy architektem, stolarzem, dekarzem, posadzkarzem, elektrykiem i tapeciarzem, prędzej już był skłonny cytować Claude'a Levi-Straussa.

– To było chyba w *La Pensee sauvage* – nadmieniał. – Ten jego pomysł, że modele redukcyjne, takie właśnie miniatury, pozwalają zdobyć wiedzę o całości, zanim nabędziemy wiedzę o szczegółach. To odwrócenie zwykłego procesu poznania. W gruncie rzeczy wszystkie sztuki posługują się tą metodą, redukując wymiary fizyczne do wymiaru intelektualnego. – Zauważał wówczas, że osoby, które w normalnych okolicznościach nie potrafiłyby pojąć, jak przyjemna może być podobna dłubanina, lub wręcz gotowe byłyby pogardzać takim zajęciem, słysząc o ojcu strukturalizmu, drętwiały całe i czasem nawet wpatrywały się przez kilka minut w dom dla lalek z takim skupieniem, z jakim pies podchodzi kaczkę siedzącą na jajach. Gdy żona profesora została stanowym koordynatorem do spraw konserwacji zabytków, też musiała niekiedy bawić rozmaitych gości, ci jednak przybywali tu, mając na głowie tak wiele ważnych spraw, że tylko pobieżnie rzucali okiem na dom. O ile w ogóle raczyli go zauważyć, oczywiście.

Gdy córka, Victoria, ukończyła trzynaście lat i stała się bardziej Tori niż Vickie, można już było nie powstrzymywać jej przyjaciół od wchodzenia w bliższy kontakt z elementami konstrukcji: znikła obawa, że uszkodzą delikatne mechanizmy czy meble podczas zabaw, w których główne role odgrywali mieszkańcy domu. Bo był czas, że kwitło w nim też życie rodzinne. W wieku ośmiu lat Victoria zażyczyła sobie na Gwiazdkę, i dostała, dość drogie europejskie lalki: mamę, tatę, brata, siostrę i niemowlę. Wszystkie były tak zmyślnie wykonane, że mogły sięgać do miedzianych rondli wiszących nad piecykiem, siadać w fotelach, a czasem nawet uderzyć jedno drugie ze złości. Gdy dom został już w pełni umeblowany, odgrywano w nim czasem wielce złożone i dramatyczne sceny z życia rodzinnego. Potem bratu odpadła lewa noga i nigdy porządnie nie przymocowano mu jej na powrót do biodra. Papa Bendsky otrzymał wymalowane piórem wąsy i brwi, co nadało mu złowrogi wygląd i upodobiło do tego mieszkańca Lascara z edwardiańskiego dreszczowca. Niemowlę w ogóle gdzieś się zapodziało. Victoria nie bawiła się już pozostałymi lalkami i profesor z ulgą schował je do szuflady stołu, na którym stał dom. Nie cierpiał ich. Miał je zawsze za najeźdźców. Szczególnie podpadł mu papa, osobnik dziwnie giętki, w kusej zielonej marynarce austriackiego kroju i z ciemnymi oczkami Hindusa.

Victoria zaczęła zarabiać jako opiekunka do dziecka i za własne pieniądze kupiła prezent dla domu i dla ojca: porcelanowego kota, by miał kto pić wiecznotrwałe mleko wypełniające do połowy miseczkę z napisem „Kocia”. Profesor nie schował kota do szuflady. Uznał, że wart jest domu bardziej niż rodzina Bendskich w najlepszych czasach. Figurka była wdzięcznie wymodelowana, pokryta pomarańczową, burą i białą emalią. Ułożona o zmroku na dywaniku przed rzucającym rudawy blask kominkiem (czerwony celofan i żaróweczka z miniaturowej latarki) wyglądała niezwykle nastrojowo. Przedstawiała jednak, niestety, kota zwiniętego w kłębek, toteż nie można było liczyć, że zwierzak pójdzie w jakiejś chwili do kuchni, żeby wypić mleko z niebieskiej miseczki. Musiało to nad wyraz, choć podświadomie, męczyć profesora, gdyż pewnego razu miał sen na ten temat. Chociaż właściwie to nie był dokładnie sen. Pracował akurat do późna nad trudnym tekstem, odpowiedzią na pewien referat, którą miał przedstawić pod koniec roku w American Academy of Arts and Science, i gdy kładł się spać, pół na jawie, pół we śnie stanął w kuchni swego domu. Samo w sobie nie było to niezwykle, gdyż dopasowując szafki, mocując boazerię i instalując zlew, wiele razy próbował spojrzeć na kuchnię z punktu widzenia istoty o wzroście sześciu cali, która stanęłaby przy piecu czy w drzwiach spiżarni. Jednak tym razem nie miał wrażenia, że tylko zagląda do środka – naprawdę tam był. Stał tuż obok wielkiego, opalanego drewnem pieca. Co

więcej, po chwili ujrzał wchodzącego do kuchni kota, który spojrzał na niego i przysiadł, by wypić mleko z miski. Złudzenie było prawie pełne, bo słyszał nawet miarowe, kojące uszy chlapanie kociego języczka.

Następnego dnia nadal wszystko dokładnie pamiętał. Idąc po wykładzie przez kampus, rozmyślał, jak to by było miło mieć w tym domu jakieś żywe zwierzę. Nie kota, oczywiście. Coś bardzo małego. Wyobraźnia jednak podsunęła mu natychmiast szczegółowy obraz wielkiej jak kanapa myszokoczki mongolskiej. I jeszcze monstrualnego chomika panoszącego się w sypialni gospodarza niczym straszna pani Bhooboy z powieści *Ci, co pozostali*. Roześmiał się w duchu i dał sobie spokój z tym śmiałym pomysłem.

Kiedyś jednak, gdy instalował spluczkę z łańcuszkiem (dom był w zasadzie wiktoriański i należał do Victorii, toteż owo WC miało być w zamiśle eponimicznym żartem), ujrzał, jak coś lata po strychu. Nie od razu dotarło do niego, że to ćma, przez dobrą chwilę był święcie przekonany, że patrzy na sowę. Dostojną, miękkoskrzydłą i tajemniczą sowę. Muchy, które często zaglądały do domu, kojarzyły mu się tylko z horrorami, w których szaleni profesorowie dobierali się do spraw, jakich człowiek ruszać nie powinien, aż kończyli, tłukąc się o szybę i krzycząc: „Nie! Tylko nie to!” na widok bezlitosnej packi w ręce żony. Dobrze im tak. A może biedronka mogłaby być za żółwia? Rozmiar się zgadzał, tylko ten kolor... Wprawdzie ludzie epoki wiktoriańskiej bez skrupułów malowali żywym żółwiom skorupy, jednak nawet wtedy żółwie nie unosiły pokryw i nie odlatywały przez okno. Trudno, dom musiał stać pusty, bez domowego zwierzątka.

Później nie miał wiele czasu na pracę przy domu. Minęły tygodnie i miesiące, nim oprawił miniaturowy obraz Landseera, a i wtedy była to prosta pozłacana rama, którą zrobił w jedno niedzielne popołudnie, a nie arcydzieło snycerki, które sobie zamierzył. Szkice przedstawiające oszkloną, słoneczną werandę pozostały tylko szkicami i nigdy, jakby powiedział jego dziekan, nie uzyskały mocy wykonawczej. Osobiste i zawodowe kłopoty, które skłoniły go kiedyś do małej ucieczki w domową dłubaninę, osłabły znacznie wraz z nastaniem nowego rektora (to jeśli chodzi o uczelnię), z Julią zaś porozumiał się na tyle, że mogli dalej być razem. Zresztą dom i tak był praktycznie ukończony. Wraz z wyposażeniem. Każdy fotel miał pokrowiec. Teraz, gdy opuściła go rodzina Bendskich, nic już nie ginęło, nie niszczyło się. Wnętrza trwały w bezruchu. No i nie mokły, podczas gdy zewnętrzny dom pilnie domagał się nowego dachu. Na strychu trzeba było stawiać już trzy wiadra, niszczyć zaczął nawet sufit nad gabinetem. Ale cedrowe gonty wewnętrznego domu wciąż były jasne, wręcz dziewicze. Niewiele wiedziały o słońcu, w ogóle nie znały deszczu.

Mógłbym, myślał profesor, powylewać nieco wody na dach, by je trochę spatynować. Albo lepiej spryskać, żeby było jak przy prawdziwym deszczu. Ujrzał, jak pochyla się nad domem z zieloną, plastikową, półgalonową konewką Julii w ręce i zrasza stojący na niskim stole budynek. Wyobraził sobie, jak woda spływa po małych gontach i zbiera się kałużą na blacie, ścieka na stary, ale wciąż użyteczny perski dywan we wnęce w salonie, gdzie zamiast ścian stały regały pełne książek. Oto szalony naukowiec podlewa dom. Urośnie jeszcze, doktorze? A może i zakwitnie?

Tej nocy śniło mu się, że dom wewnętrzny, jego dom, znalazł się na zewnątrz. Stał na jakiejś chwiejnej podstawie pośrodku ogrodowej grządki. Ziemia wkoło była częściowo skopana, jakby przygotowano ją pod nowe rośliny. Chmury zwieszały się nisko, chociaż jeszcze nie padało. Kilka listewek z tyłu domu zaczęło już odchodzić i profesor bał się, żeby wszystkie nie odpadły. „Boję się, że klej puści” – powiedział do ogrodnika czy kogoś, kto kręcił się obok z krótką łopatką, ale tamten go nie zrozumiał. Dom nie powinien stać na zewnątrz, ale jakoś tu trafił i było już za późno, żeby cokolwiek zmienić.

Obudził się roztrzęsiony i nijak nie mógł się potem uwolnić od tego posennego niepokoju, aż

w końcu uznał, że najlepiej będzie naprawdę wyprowadzić wewnętrzny dom na zewnątrz, do ogrodu, który stanie się przez to ogrodem obu domów. Wewnątrz dużego będzie mógł założyć mały ogród. Będzie do tego potrzebował porady Julii. Miniaturowe róże jako krzewy głogu – nadadzą się bez wątpienia. Trawa ze szkockiego mchu? Z czego żywopłoty? Julia będzie wiedziała. Fontanna?... Zasnął uspokojony projektowaniem ogrodu dla domu. Upływały miesiące, i lata, a on wracał niekiedy do tych planów. Czasem dla uspokojenia, czasem tylko dla rozrywki. W niespokojne noce czy podczas nudnych zebrań odkurzał w myślach projekty miniaturowego ogrodu. Jednak wiedział, że to raczej niepraktyczny pomysł, szczególnie jeśli zważyć deszczowy klimat w tej części kontynentu.

Razem z Julią uporał się wreszcie z nowym dachem i można było zabrać wiadra ze strychu. Wewnętrzny dom przenieśli na górę, do pokoju Victorii, która wyjechała tymczasem na studia. Profesor zajrzał tam pewnego listopadowego wieczoru. Ujrzał spadzisty dach i „wdowi pomost” ostro zarysowane na tle wypełnionego zmrokiem okna. Wszystko suche. Tylko kurz zamiast deszczu, pomyślał. To nie w porządku. Otworzył frontową ścianę domu i zapalił kominek. W rudawym blasku spał na dywaniku zwinięty w kłębek kot. Złudzenie ciepła, iluzja schronienia. Miska z napisem „Kocia”, wypełniona do połowy suchym mlekiem, trwała przy kuchennych drzwiach. I tylko dziecka już nie było.



## RUBY W 67

– No to powiedziałam jej, żeby się nie martwiła, bo jak Jack przyjdzie po południu, to wkręci te żarówki. Poczekaj tylko na niego... Bo wiesz, że miałyśmy już bilety do Nowego Jorku? Na następny dzień rano.

– Znaczy na dzisiaj?

– Tak. Nie... to chyba miało być wczoraj. Chociaż... nie mam pojęcia, którego dziś mamy!

Ruby pamiętała, że Emma jest nieco przygłucha, mówiła więc tak głośno, że wszyscy pasażerowie w przedniej części autobusu linii 67 mogli słuchać do woli. Wnuk Emmy, zrównoważony mężczyzna około trzydziestu pięciu lat, siedział w milczeniu obok. Może był zakłopotany, może go to wszystko nie obchodziło, nieważne. To i tak nie była jego sprawa. Dlaczego miałby się przejmować?

– Wchodzę do jadalni, a tam ona ustawia już drabinkę. Mówię jej, Rose, oszalałaś? i odstawiam drabinkę. Poszła się zdrzemnąć, pakuję moje rzeczy, a tu słyszę ten straszny rumor. Mój Boże! Patrę do jadalni, a tam na podłodze Rose, drabinka i żyrandol, wszystko razem, a ona ściska jeszcze żarówkę w dłoni! No i urządziła sobie oba nadgarstki, duży palec u nogi i żebro! Dasz wiarę? I przez co? Przez zwykłą żarówkę. A Jack przyszedł i wkręcił je wszystkie, zanim jeszcze przyjechał ambulans!

Na łagodnej twarzy zasłuchanej Emmy odmalowało się przerażenie, współczucie i podszyte stoicyzmem rozbawienie. Emma i Ruby nie były bliskimi przyjaciółkami, ale znały się już z siedemdziesiąt lat.

Dramatyczny epizod poruszył także innych: kobieta około pięćdziesiątki po drugiej stronie przejścia pokręciła w zapadającym zmierzchu głową i powiedziała: „Och, och och!” Ruby zajmowała miejsce dla osób starszych, tuż za kierowcą, Emma siedziała w pierwszym rzędzie po tej samej stronie, twarzą w kierunku jazdy. Pochylając się ku gładko zaczesanej, siwej głowie Emmy, Ruby powoływała do istnienia obszar względnej prywatności, chociaż pomiędzy nimi tkwiła jeszcze jedna pasażerka, drobna i krucha na oko kobiecina, a z drugiej strony przejścia nastawiały uszu pięćdziesiątka i dziewczyna z siatkami pełnymi zakupów ze spożywczego. Nawet milczący i wpatrzony w okno wnuk Emmy nie psuł za bardzo rodzinnej atmosfery.

– Johnnie miał przyjechać z Cambridge, a Ann z Wellesley. I wszystkie wnuki. Regularny zjazd rodzinny na Święto Dziękczynienia. Od tygodni tylko o tym opowiadała. Ale mówię ci, czułam przez skórę, że coś nie wyjdzie. Dopiero tydzień temu wypisali ją ze szpitala z tym bronchitem, a tu na lotnisko... A na wschodzie jest zimno! Tam to mają zimy, straszne zimy, aż samoloty przymarzają do ziemi. No i wiedziałam, że się nie uda, że coś się posypie. Ale żeby to?!

– To matka? – spytała kobieta z drugiej strony przejścia.

– To moja siostra. Ma osiemdziesiąt trzy lata – odparła Ruby, uprzejmie i z godnością, po czym obróciła się ku Emmie, która mówiła właśnie:

– Było takie powiedzenie, które pasowało do podobnych sytuacji... jak to szło... w jidysz, twój ojciec zawsze je powtarzał...

– Wiem, wiem! Ale też nie pamiętam. – Zaśmiały się obie. – Jak to wszystko ulatuje – dodała Ruby. – Dziurawa głowa.

– W którym szpitalu leży?

– Och, wczoraj wieczorem wzięłam ją już do domu. Tyle, co przy niej trzeba, to ja też mogę zrobić, więc po co szpital? Ona czuje się dobrze, ale przecież się nie oporządzi. Bertha z nią została, tak że mogłam pojechać do banku. Miałam wziąć pieniądze jeszcze tamtego dnia. Został mi dolar

i osiem centów, wyobrażasz sobie?

– Obie ręce? I noga, mówisz?

– Oba nadgarstki, tak że jest całkiem bezradna. I duży palec u nogi, i żebro z tyłu, wysoko na plecach, bo tak spadła. I jeszcze zrzedzi! Nie chce, żebym to ja myła ją gąbką. – Ruby pochyliła się jeszcze bardziej ponad kobiecina pośrodku i ściszyła nieco głos, bo mowa była o krępujących sprawach. – Ja! Jej siostra! Z tej samej matki! Co ona sobie wyobraża? Odbiło jej. Sama wiesz, że Rose zawsze była trochę postrzelona. Emma znów się roześmiała i mlasnęła językiem.

– Biedny Meyer! – powiedziała ciepłym tonem. – To był dopiero mężczyzna.

– A był.

– Teraz już tylko wdowy zostały.

– A kto miał zostać? Ale ty masz szczęście, Emmo. Twoje dzieci mieszkają w tym samym mieście.

– Następny przystanek to już szpital – powiedział wnuk, więc Emma posłusznie zapięła górny guzik płaszcza i wzięła torebkę do ręki.

– Jadę zobaczyć Suzy, leży tu z rozedmą. Znasz Suzy Wise, Ruby. Żona Normana Wise’a. Zmarł w zeszłym roku. Ale pamiętaj... – Autobus zwolnił przed przystankiem obok porośniętego sztukaterią masywu szpitala. Emma wstała i złapała się pionowego drążka. – Głowa do góry, Ruby. Trzymaj się prosto, tak lepiej!

– Jasne, przeżyję. Uważajcie na siebie, oboje!

Drżąca kobiecina obok Ruby zaczęła energicznie kiwać głową. Pięćdziesiątka po drugiej stronie przejścia uśmiechnęła się, a dziewczyna z torbami zakupów spojrzała na nią uważnie. Gdy Emma przesuwała się do wyjścia i schodziła ostrożnie po stopniach na chodnik, gdzie czekał niecierpliwie wnuk, wszystkim z przodu autobusu zrobiło się na chwilę lżej i jakby cieplej koło serca. Masywny starszawy mężczyzna, który wsiadł gdzieś w trakcie rozmowy, chrząknął głośno, aż wyszło z tego coś na kształt „Ha!”, jakby zwracał się do wszystkich, ale nie wiedział, co powiedzieć.

Ruby wysiadła sześć przystanków dalej. Też powoli, uważając na swe poskładane biodro. Masywny mężczyzna wyszedł za nią i odwrócił się ku jezdni; czekał na zielone światło. Ruby ruszyła niespiesznie pod górę. Listopadowe powietrze wciąż było łagodne i wilgotne, chodnik śliski od spadłych liści. Boże, to dopiero byłby pech, gdybym się teraz przewróciła! Przypomniała sobie cichy, ale stanowczy głos Emmy i pokiwała głową. Zgadzała się z nią. Nawet teraz trzymała się prosto. Zawsze tak było. Dziadek mawiał, że to godna postawa. Gdy była mała, kojarzyło jej się to z krawiectwem. W tych czasach dziewczyny nie dbają za bardzo o postawę, a to ważne. Rose, młoda Rose, ależ była piękna, gdy szła! Obie takie były, po prawdzie, dopóki nie powychodziły za mąż. Rose miała wtedy dwadzieścia dwa, Ruby osiemnaście, mój Boże! I trzymały się prosto, gdy ulice odmieniały się ze szczętem, a stary dom zniknął. Poszła dalej, z brodą uniesioną wysoko i głową ukoronowaną włosami od czterdziestu lat farbowanymi wciąż tak samo, na jasny i ciepły, rudawy kolor.

# LIMBERLOST

Poeta taplający się w małym, ciemnym i niezbyt głębokim jeziorzku obrócił się powoli w lewo. Powieściopisarka siedziała na pniu olchy, która zatamowała strumień i utworzyła małe rozlewisko. Na kłodzie leżało też ubranie poety, wszystko prócz bokserek. Idąc w górę strumienia ku jeziorzku, minęli naga, niemal brązową dziewczynę, która opalała się na brzegu, zwrócona przodem ku słońcu. Była młoda, w przeciwieństwie do nich, na dodatek poeta nie był Kalifornijczykiem.

– Nie przeszkadza ci, że jestem trochę staromodny w kwestii skromności? – spytał rozbijając.

Powieściopisarce to nie wadziło, chociaż ona owszem, urodziła się w Kalifornii. Masywne ciało poety i tak robiło na niej spore wrażenie. Wprawdzie lata tu trochę zabrały, tam dodały, przez co młodzieńcza gładkość zniknęła bezpowrotnie, pojawiła się jednak powaga i dostojność, w sam raz pasująca do tej mocarnej bestii buszującej obecnie w mrocznym jeziorzku. Wśród korzeni i cieni przy brzegu błyskały bielą jego dłonie i ramiona. Bose nogi poetki, chociaż opalone, też wydawały się blade pod wodą. Siedziała na kłodzie, chociaż było jej tam co najmniej niewygodnie, i zastanawiała się, czy powinna zdjąć koszulę i dzinsy i dołączyć do poety. Zjawiała się na tej konferencji dopiero niecałą godzinę temu i nie знаła jeszcze panujących tu reguł. Czy on szukał towarzystwa, czy tylko publiczności? I czy to ważne? Zmąciła wodę stopami, niezadowolona, że sama nie wie, czego właściwie chce: pięćdziesiąt pięć lat na karku, a siedzi tu niepewna jak nastolatka. Głęboko na kłodzie. Pełny paraliż decyzyjny. Popływałabym. Nie chcę. Ależ chcę. Może jednak? Jakże właściwie majtki włożyłam? Całkiem jak w pierwszym dniu kolonii. Chcę do domu. Powinnam popływać. Naprawdę? Teraz?

Poeta oszczędził jej dłuższych rozterek, wciągając się na przeciwległy koniec kłody. Drżał cały. Kłoda kąpała się w słońcu, ale powietrze było chłodne. Uznawszy, że w tych warunkach szybkie schnięcie nie wchodzi w rachubę, poeta zdjął bokserki. Zrobił to jednak całkiem skromnie, odwróciwszy się tyłem, i zaraz siadł z powrotem. Gatki rozpostarł obok siebie i podjął rozmowę ze swoim gościem.

Opisując wydarzenia pierwszego tygodnia konferencji, machnął ręką tak energicznie, że zrzucił skarpetki do wody. Jedną od razu złapał, drugą jednak uniósł prąd. Zaczęła powoli tonąć. Poeta pojęczał trochę nad stratą, powieściopisarka nie kryła współczucia. W końcu poniechał skarpetowego tematu.

– W górze rzeki mężczyźni wnieśli podobiznę wielkiego fallusa. Pokazałbym to dziwo, ale kobietom wstęp wzbroniony. *Temenos*. Sanktuarium. Ciekawa sprawa, rytuał, który powstał w jeden tydzień! Słyszałem ich rozmowy: nie mówili o sporcie i biznesie, ale...

Powieściopisarka pilnie nadstawiała ucha na jego słowa i ze wszystkich sił starała się ignorować obecny w pobliżu obiekt pomniejszej fascynacji: skarpetkę. Wynurzyła się z otchłani wód i żeglowała spokojnie po nakrapianej słonecznymi plamami wodzie pod błotnistym i pełnym wystających korzeni brzegiem. Poruszała się powoli po okręgu, zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, co jednoznacznie powinno doprowadzić ją z powrotem w pobliże kłody. Powieściopisarka rozejrzała się wkoło i znalazła odłamaną gałąź. Chwyciła ją gotowa do działania. Ale ze mnie kura domowa, pomyślała ze wstydem, pluskając gałęzią w wodzie. Ostra fiksacja na punkcie skarpet. Twórczyni prozy. Chyba prozy życia...

Poeta, któremu perora na zajmujący go temat nie przeszkadzała w uważnej obserwacji otoczenia, dostrzegł jej poczynania i spytał, co zamierza złowić.

– Twoja skarpetka wraca – oznajmiła.

W kompletnej ciszy oboje z równym skupieniem obserwowali, jak pływająca skarpetka

pokonuje niespiesznie łuk trajektorii, którą nadał jej prąd, i z astronomiczną pewnością wchodzi wreszcie w zasięg gałęzi. Powieściopisarka uniosła ją ociekającą na rozdwojonym końcu i triumfalnie, choć bez słowa, podsunęła pod nos właścicielowi. Poeta zdjął zbiega i wyżał w zamyśleniu.

Niedługo potem ubrał się i wrócili w dół strumienia do centrum konferencyjnego i rozrzuconych pod sekwojami pawilonów.

Potrawy były wspaniałe. Wegetariańskie, ale zróżnicowane i dobrze dobrane, choć eklektyczne. Ostre chili, delikatne sałatki, curry wonne jak trzeba. Obsada kuchni, która stworzyła te cuda, nie przypominała nijak uczestników konferencji, chociaż było w niej parę osób biorących udział w zjeździe. Odrabiali w ten sposób wpisowe. Gdy wyszli do reszty, by posłuchać prelekcji o bohaterze literackim, nie mogła wyłowić ich z tłumu, ale w zatłoczonej, gwarnej i gorącej kuchni stawali się niemożliwymi do pomylenia indywidualnościami. Śmiali się więcej niż ktokolwiek inny tam obecny, mówili jakoś inaczej, poruszali się zwinnie i uważnie i kto na nich spojrzał, zaraz czuł się całkiem zbyteczny i jakoś gorszy. Nie chcieli robić takiego wrażenia, żeby odstraszyć natrętów. Byli zbyt pochłonięci pracą, aby dbać o podobne szczegóły. Wychodziło im to bezwiednie.

Drugiego dnia po obiedzie, gdy wieczorne słońce skąpało las w miodowym blasku, pisarka przystanęła na drewnianym mostku, po którym przechodziło się, idąc z głównego pawilonu do jej grupy domków. Przystanęła i oparła dłonie na szorstkiej poręczu.

Już tu kiedyś byłam! – uderzyło ją. – Znam ten strumień, ten most, ścieżkę pnącą się między drzewami... Takie wrażenia miewała w chwilach napięcia i niepewności. Nachodziły ją, gdy miała dwanaście lat i czekała, żeby ktoś poprosił ją do tańca na zabawie szkolnej, nachodziły ją, gdy jako pięćdziesięciolatka wchodziła do hotelowego pokoju w mieście, którego na pewno wcześniej nie widziała. Czasem udawało się jej przywołać okoliczności, w których pojawił się ten okrucieństwo w przyszłość pamięci, i przez moment miała wrażenie podwójnej obecności: tutaj i w miejscu, gdzie kiedyś nasza ją ta wizja. Jednak tym razem brakło jakiegokolwiek wytłumaczenia. Nic, tylko czyste odczucie. Niezbyt niesamowite czy tajemnicze, za to bardzo silne. Majestat okolicy dodał mu głębi i powagi.

Strumień i ścieżka, widoczne tutaj w miękkim, mglistym złotym blasku, nieco dalej znikają w ciemności pod niewiarygodnie wielkimi drzewami. Tam zawsze było mroczno i cicho i prawie nic innego nie rośnie, gdyż olbrzymy nie tolerowały niczego, co nie miało ich skali. Na polanach życie kwitło w najlepsze: trawy, jeżyny, ptaki i owady, wszystko kłębiło się w melanzu życia. Pod wielkimi drzewami nawet błysk skrzydła sójki zaskakiwał podobnie, jak zdumiałaby obecność tego małego ptaszka w surowych wnętrzach romańskiego kościoła. Wchodząc tam, wkraczało się pod sklepienie gmachu ogromnego jak hrabstwo.

Jednak pomiędzy żywymi pniami widniało coś jeszcze. Czarne przysadziste obiekty, które z tej odległości nie wydawały się duże, ale były o wiele większe niż domki. Miały też większy obwód niż rosnące obok drzewa. To były szczątki. Wypalone szczątki ściętych niegdyś drzew pierwotnej puszczy. Powieściopisarka musiała się trochę wysilić, nim pojęła, że te majestatycznie górujące nad okolicą drzewa to drugi posiew, nawet jeszcze nie stuletni, młodniak pełen nieletnich odrosli tych władców, których milczące trwanie bezpowrotnie dobiegło końca.

Niemniej i tak pod drzewami było bardzo cicho, a nocą robiło się jeszcze spokojniej. Powieściopisarka nigdy nie doświadczyła tak intensywnego braku jakichkolwiek dźwięków. Domki z jej grupy stały w odległości dziesięciu, dwudziestu jardów od siebie. Nie były oświetlone. Tuż obok płynął strumień, płytki wprawdzie, ale dziwnie milczący, jakby nie śmiał naruszać zasad

ustanowionych przez sekwoje. Brakło wiatru. Przed świtem z nadmorskich wzgórz nadpełźnie mgła, która stłumi to, co i tak było już ciche. Gdzieś daleko odezwała się raz mała sowa. Potem samotny komar tłukł się chwilę o siatkę w drzwiach.

Okutana w śpiwór powieściopisarka leżała w ciemności na wąskim łóżku, wsłuchiwała się w wielkie nic i zastanawiała nad tym, czy to ten sam śpiwór, który miała jej córka, gdy przeziębila się na obozie zeszłego lata. I jeszcze nad tym, jak długo mogą żyć zarazki kataru w ciemnym, ciepłym i średnio wilgotnym środowisku zwiniętego ciasno śpiwora. Myślała o tym, bo czuła, że coś jest z nią coraz bardziej nie w porządku. Nie mogła się tylko zdecydować, czy to biegunka, czy zapalenie pęcherza, czy też może po prostu oblatuje ją coraz większy strach. Tak czy inaczej, obawiała się, że będzie musiała zostawić ciepły śpiwór, wziąć latarkę i znaleźć stromą ścieżkę wiodącą na złowieszcze wzgórze, na którym stały wspólne toalety. Takie z zalaną podłogą i całkiem bez drzwi, prowokujące wręcz do modlitwy o chwilę samotności. Będzie trzeba? Tak. Chociaż może nie. Usłyszała skrzypnięcie drzwi dwa domki dalej. Niemal natychmiast dobiegł ją cichy szum: jakiś mężczyzna sikał z ganku na ciemną i miękką ziemię zasłaną chłonącymi wilgoć cedrowymi liśćmi, gałązkami i kawałkami kory. O szczęśliwy mężczyzno, który nie musisz kuć! Pęcherz znów bezlitośnie upomniał się o swoje. „Wcale nie muszę iść siku”, powiedziała sobie, wciąż nie przekonana, że to konieczne. „Nie jestem chora”. Wsłuchiwała się w przerażającą ciszę. Żywej duszy. Chociaż nie, w mroku rozległ się odgłos bezsprzecznie świadczący o procesach życiowych: ciche pierdnięcie. Zamieniła się w słuch i po chwili doszło ją następne, tym razem o wiele głośniejsze. Dobiegło z domku stojącego wyżej na zboczu. Pewnie to ta fasolka z chili, pomyślała. Chociaż bez fasolki ludzie chyba i tak wzbogacają co noc atmosferę w metan. Identycznie jak bydło. Czy ci mieszkający w barakach nad potokiem przywykli już do tych conocnych cichych koncertów? Bo krył się w tym pewien urok, jakby zarys dyktowanej przypadkiem melodii: tu chrapanie, tam wiatry przeciągłe, ówdzie westchnienie. A wszystko na tle czarnej i niezgłębionej ciszy.

Gdy prawie już zasypiała, usłyszała głosy dobiegające z góry strumienia. Męskie głosy. Zawodziły coś kojarzącego się z prapoczątkami ludzkiej historii i męskimi rytuałami inicjacyjnymi. Jednak nocne popierdywanie było jakoś miłsze i bliższe.

Okolo trzydziestu kobiet siedziało w krąg na piasku. W pobliżu uchodziła do morza płytka i szeroko rozlewająca się rzeka. Łagodne, przytłumione mgłą słońce północnego wybrzeża kładło się na niskich wydmach i falach przyboju. Kobiety przekazywały sobie z ręki do ręki ozdobną, drewnianą różdżkę: ta, która akurat ją trzymała, mówiła, pozostałe słuchały. Powieściopisarce nie wydało się to najśluszniejszym rozwiązaniem. Pomysł może był i dobry, ale niekoniecznie stosowny. To mężczyźni używali różdżki, kobiety jej nie potrzebowały, pomyślała. Te tutaj karnie przyjęły męski zwyczaj, ale zostawione same sobie mogłyby sięgnąć po jakieś robótki ręczne i przysiąc w gromadzie równie nie zorganizowanej jak stado wróbli. Wróble zawsze są nieporządne, nie odzywają się po kolei, nie milkną, by wysłuchać mówczyni z różdżką, dziobią i gadają równocześnie. Wiatr szemrał łagodnie, różdżka przechodziła w kolejne ręce. Dwudziestoparoletnia kobieta, której zwisał z szyi na łańcuszku rzeźbiony w drewnie medalion ozdobiony piórami, drżącym głosem odczytywała rękopis wiersza. Ledwie było ją słychać w odległym szumie fal. „Moje ręce to skrzydła są właśnie”, czytała, ale słowa umykały jej ze strachu i napięcia, aż zamilkła. Grubokoścista blondynka okolo czterdziestki mówiła o Białej Bogini, jednak powieściopisarka przestała słuchać i tylko nerwowo zastanawiała się, co by tu powiedzieć od siebie. Może to? Ale czy powinnam? Różdżka w końcu dotarła i do niej.

– Wydaje mi się... mimo że dopiero przyjechałam, i to tylko na parę dni, chociaż może dzięki temu tym bardziej mogę coś powiedzieć... tak czy owak wydaje mi się, z tego, co widzę, że do

pewnego stopnia... że część kobiet tutaj szuka czegoś, co naprawdę mogłaby robić. Robić właśnie, zamiast tylko mówić w oderwaniu od działania – powiedziała z lekką chrypką, choć piskliwie, trochę jak wróbel. Drżącą dłonią przekazała różdżkę dalej.

Gdy krąg poszedł w rozsypkę, kilka kobiet opowiedziało jej z przejęciem o balu maskowym, który odbył się w środę wieczorem. Kobiety porzuciły na nim, z własnej woli, tradycyjne kobiece role. „Całkiem oszalałam”, powiedziała jedna z nich radośnie. Inna dodała, że „ta tam pokłóciła się z tamtą” i że osobiste animozje w gronie przywódczym psują harmonię. Kilka zaczęło formować smoka z mokrego piasku i mówiły sobie przy tym, że w tym roku jest inaczej niż w poprzednich latach, kiedy kobiety i mężczyźni zbierali się razem, i że spotkania na Wschodnim Wybrzeżu są bardziej uduchowione niż te na Zachodnim. Albo odwrotnie. Wszystkie szczebiotały, aż mężczyźni wrócili ze swojej części plaży, niektórzy z twarzami umalowanymi przepysznie węglem drzewnym.

Grubokoścista blondynka, której powieściopisarka wcześniej nie słuchała, jechała obok niej w autobusie, którym wracali w głąb lądu długą i wyboistą drogą wiodącą przez wykarczowany pas wybrzeża.

– Przyjeżdżam tu od niepamiętnych czasów – powiedziała ze śmiechem. – Najpierw, gdy miałam dziesięć lat, to był obóz letni. Wspaniała sprawa! Wciąż spotykam ludzi, którzy bywali w Limberlost.

– Limberlost! – zakrzyknęła powieściopisarka.

– Obóz Limberlost – odezwała się inna kobieta i zaśmiała się sztucznie.

– Przecież ja go znam – powiedziała powieściopisarka. – Byłam na obozie Limberlost. To tam? Tam, gdzie teraz odbywa się konferencja? A parę miesięcy temu zastanawiałam się, co to za miejsce, i nie wiedziałam, gdzie go szukać na mapie. Nie kojarzyłam, gdzie jadę. Pamiętałam tylko, że to było gdzieś pod sekwojami. Wsiadłyśmy do autobusu w mieście i po sześciu godzinach wysiadłyśmy przy obozie. Wiecie, jak to jest: dzieciaki gadają przez całą drogę i nawet nie patrzą, gdzie jadą. Tyle że wtedy to był obóz YWCA. Musiałam się do nich zapisać, żeby mnie zabrały.

– Po wojnie miasto wchłonęło Limberlost – rzekła inna jeszcze kobieta, ucieszona, że może się podzielić jakąś informacją. – Ale to ta sama miejscowość.

– Niczego nie pamiętam – powiedziała zasmucona powieściopisarka.

– Konferencja odbywa się w starym obozie chłopców. Obóz dziewcząt był jakąś milę w górę strumienia. Może nigdy tam nie dotarłaś.

Tak. Powieściopisarka przypomniała sobie, że Jan i Dorothy urwały się pewnego wieczoru z ogniska i wymknęły z obozu. Przekradły się w dół, do obozu chłopców. Ukryte w krzakach po drugiej stronie strumienia poczekały do zmroku i zaczęły pohukiwać, beczeć i miauczeć, aż chłopcy wyszli z domków, a potem pojawił się kierownik obozu i Jan z Dorothy uciekły. Wróciły, gdy było już ciemno, ubłocone, ale zadowolone. Po capstrzyku, w domku, chichocząc opętańczo, zrelacjonowały cisnącym się koleżankom, jak przebiegła ich szalenię udana eskapada...

Ale ona z nimi nie poszła, więc żadną miarą nie mogła pamiętać ani mostka nad strumieniem, ani tej ścieżki, która w wieczornym świetle niknęła gdzieś w górze.

Dlaczego jednak nie rozpoznała okolicy? Lasu, domków... Mieszkała tu trzy razy po dwa tygodnie. Zawsze latem. Miała wtedy dwanaście, trzynaście i czternaście lat. Nie zwróciła uwagi na ciszę? Ani na rozmiar drzew? Ani na te czarne, przynębiające pniaki?

Minęło czterdzieści lat, drzewa mogły porządnie podrosnąć. Z wolna przypomniała sobie, że któregoś dnia wspięły się z Jan na jeden z tych wielkich pni, by usiąść tam i porozmawiać. Opuściły wtedy jakieś zajęcia, chyba z robótek ręcznych. Nie zastanawiały się jednak nad pniakiem. Ważne, że dawało się na niego wspiąć, że miały tu trochę prywatności na czas rozmowy. Nie obchodziło ich,

czego jest znakiem czy szczątkiem, liczyła się tylko ich wygoda, tak jak w wypadku ludzi, którzy ścięli kiedyś to wielkie drzewo. A czym było, gdzie rosło, gdzie one same były – to zupełnie ignorowały. Były, gdzie były. Pierwszej nocy rozpaczliwie tęskniły za rodzinami, ale potem przywykły. Dla nich cały świat był wtedy domem, chociaż traktowały jego sprawy z równą impertynencją co wróble. Nie interesowały się śmiercią czy geografiami bardziej niż te sekwoje.

Zazdrościła Jan i Dorothy ich wyczynu. Wiedziała, że są o wiele odważniejsze niż ona. Zgodziły się zabrać ją następnym razem, żeby znów trochę pohukać i pomiauczeć lub chociaż popatrzeć z ukrycia, ale nie było następnego razu. Wszystkie poszły na ognisko i śpiewały tęskne kowbojskie piosenki. Nigdy więc nie ujrzała obozu chłopców. Aż do teraz, gdy tu przyjechała, gdy usiadła na kłodzie nad okrążającym powoli jeziorko poetą. Co Jan i Dorothy, bezlitosne czternastolatki, pomyślałyby na taki widok? „O Boże!”, wyrwało jej się mimowolnie.

Kobieta obok zachichotała, trochę jakby ze zrozumieniem.

– To takie piękne miejsce – powiedziała. – Wspaniale jest tu wracać. Co myślisz o konferencji?

– Lubię bębnienie – odparła powieściopisarka po dłuższej chwili, ale z przekonaniem. – Bębnienie jest wspaniałe. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. – W gruncie rzeczy odkryła nawet, że chętnie zrezygnowałaby z wszystkiego innego. Gdyby nie wieczorny wykład, znów mogliby bębnić po obiedzie: trzydzieści lub czterdzieści osób, każda z bębenkiem między nogami lub na kolanach. Rytm podawała para bębniarzy, która wiedziała, o co w tym chodzi. Pilnowali, by nie był zbyt trudny, ale trzymali poziom i tak to płynęło, płynęło, aż nic innego nie docierało, nic innego nie było potrzebne, a szczególnie już słowa.

Wykład dotyczył kultur plemiennych. Tej nocy obudziła się w kompletnej ciemności, wyszła przed domek, nie wzięwszy latarki, i tuż obok zrobiła siusiu. Prawie bezgłośnie. Nie dosłyszała, żeby wiatrami niosło po lesie, ale większość domków najpewniej wciąż była pusta. Wszyscy mężczyźni poszli po wykładzie daleko w górę strumienia, lecz ich głosy docierały nawet stamtąd. Nie śpiewy, ale dzikie zawodzenia i wrzaski. Niemniej nie przeszkadzały za bardzo na tle wszechwładnej ciszy. Ciszy Limberlost.

W zimnej, nisko zalegającej mgłę poranka poeta chodził od domku do domku. Powieściopisarka słyszała, jak się zbliża, to podśpiewując, to pochrzäkując niczym zwierzak i bębniąc w siatkowe drzwi. Nosił szarą i kudłatą maskę przedstawiającą groźny pysk bestii. „Wstawać! Wstawać! Dzionek świta i wilk tuż, tuż! Wilk! Wilk!”, zawodził, wchodząc na czworakach do domków. Zaspasane głosy protestowały ze śmiechem. Powieściopisarka wstała już dawno i zdążyła się nawet ubrać. Ćwiczyła t'ai chi. Wolała zostać w domku, miast wyjść na przestronną werandę. Wstydziła się. Uważała, że chociaż t'ai chi byłoby tu na miejscu jak mało co, to jednak nie pasowało do wszystkiego, co dotąd robili. Zresztą wyjeżdżała już dzisiaj do domu i uznała, że do licha, jeśli ma ochotę poćwiczyć t'ai chi, to może to zrobić, gdzie zechce, nawet w schowku na miotły.

Poeta zatrzymał się przed jej domkiem.

– Dzień dobry! – zawołał uprzejmie i trochę od rzeczy przez kudłatą maskę.

– Dzień dobry – odpowiedziała powieściopisarka zza siatkowych drzwi. Ogarnęła ją nieco snobistyczna irytacja na głupiego poetę, który myślał, że wszystkich pobudzi, a tu proszę: ona już wstała! Jednocześnie zatęskniła aż do bólu, by choć raz umieć włączyć się do tej zabawy, którą tak żywiołowo proponował, poklepać wilka, nazwać go dzielnym, a przynajmniej zaproponować mu coś więcej niż tylko mokrą skarpetkę na patyku.

# ZWIERZAKOWE ZAMYŚLENIA

## ŻUK

Kiedyś zatrzymałam się na tydzień w Nowym Orleanie, w pobliżu Tulane. Miałam tam apartament z balkonem. Nie oplatała go koronka żelaznych krat w stylu dzielnicy francuskiej, nie, to był głęboki balkon z drewnianą barierką, stworzony do tego, by posiedzieć na nim w odosobnieniu, tak jak lubię. Jednak gdy po raz pierwszy na niego wyszłam, od razu rzucił mi się w oczy duży żuk. Leżał na grzbiecie dokładnie pod lampą. Pomyślałam, że nie żyje, ale po chwili dojrzałam, jak drżą mu nogi. Musiał się tu zjawić poprzedniego wieczoru. Najpewniej zwabiło go światło, poleciał prosto na nie i potłukł się fatalnie.

Wielkie owady zawsze mnie przerażały. W dzieciństwie bałam się ciem i pajaków, ale wyleczyłam się z tego wraz z nadejściem dorosłości, może dzięki burzy hormonów. Niemniej nie starczyło jakoś tych hormonów, bym się oswoiła z widokiem wielkiego, twarookrywowego robactwa: karaczanów, chrabąszczy, modliszek, cykad. Ten żuk miał kilka cali długości, żebrowany brzuch, długie i pełne stawów nogi; był ciemny, czerwonawobrazowy, i umierał. Zrobiło mi się niedobrze, gdy tak podrygiwał, i to starczyło, żebym pierwszego dnia nie próbowała usiąść na balkonie.

Następnego ranka, zawstydzona swoją słabością, wzięłam miotłkę i wyszłam na balkon, żeby usunąć żuka. Wciąż jednak ruszał nogami i antenkami, ciągle umierał. Końcem rączki miotłki przepchnęłam go ostrożnie do narożnika balkonu i usiadłam w plecionym krześle w drugim kącie, by poczytać trochę i ponotować. Siedziałam plecami do żuka, gdyż jego poruszenia przyciągały moje spojrzenie. Cały czas byłam świadoma jego obecności, co musiało mieć coś wspólnego z tym, że czułam się wyobcowana w tym obcym mieście, Nowym Orleanie, z wrażeniem, iż oto znalazłam się w przedsionku tropików, miejscu gorącym, wilgotnym i cuchnącym, rojnym, rozbuchanym życiem. Możliwe, że pełna niepokoju, uznałam żuka za widomy symbol tutejszej odmienności. Bo jak inaczej wyjaśnić, że ciągle tyle o nim myślałam? Ważyłam pewnie ze dwa tysiące razy więcej niż on, żyłam w świecie diametralnie odmiennym, dla niego ze szczeniem obcym. Miotające mną emocje były całkiem nieadekwatne do sytuacji.

Gdybym była odważniejsza lub miała więcej zdrowego rozsądku, powtarzałam sobie, rozdeptałabym biedne stworzenie, żeby zakończyć jego udrękę. Nie wiemy wprawdzie, czy żuki cierpią, ale ten z pewnością dogorywał, co trwało już dwie noce i dwa dni. Nałożyłam buty na skórzanej podeszwie, ale nie mogłam rozdeptać żuka. Chrupnęłoby, trysnęłoby lepka cieczą. Może uderzyć rączką zmiotki? Nie, tego też nie mogłam zrobić. Kiedyś miałam kota z białaczką; gdy umierał, zostałam z nim do samego końca. Myślę, że gdybym była głodna, gdybym miała powód, zdołałabym zabić, żeby mieć co jeść, potrafiłabym ukreślić szyję kurczakowi, jak robiły to moje babki, i nie miałabym z tego powodu więcej poczucia winy czy wyrzutów sumienia niż one. Moja niezdolność do zabicia tego stworzenia nie miała nic wspólnego z etyką czy pogardą wobec przemocy. To była zwykła słabość. Takie moje małe, przegniłe jądro, coś jak brunatna plamka na skórce owocu; współczucie, które nie brało się z szacunku, lecz z obrzydzenia. Odpowiedzialność, z której nic nie wynikało. Czyste poczucie winy.

Trzeciego ranka żuk leżał bez ruchu, skurczony i martwy. Znów sięgnęłam po zmiotkę i strąciłam go z balkonu do rynsztoka, między suche liście. I wciąż tam leży, w rynsztoku mej pamięci, sucha skorupka wśród opadłych liści, duch.



## WRÓBEL

W parne nowoangielskie lato mała instalacja chłodząca pracowała na okrągło. Wibrowała i warczała basowo otoczona prostą drucianą siatką. Z początku myślałam, że ten ptak znajduje się na zewnątrz ogrodzenia, potem miałam tylko nadzieję, że tak jest, a w końcu pożałowałam, że tak nie jest. Latał tam i z powrotem z regularnością typową dla wszystkich schwytych, jak zwierzęta w zoo, które podbiegają dwanaście stóp na wschód, dwanaście stóp na zachód, dwanaście na wschód, dwanaście na zachód... i tak godzina za godziną; jak więzień w lochu czekający z łomoczącym sercem na tortury. Wiecznie nawracająca, ciszą obrosła, nie stygnąca panika. Pod drewnianym wspornikiem utrzymującym górną część siatki, od jednego pala do drugiego, tam i z powrotem, latał wróbel. Zwykły wróbel, brudny i niepozbywany. Widywałam już wróble walczące o terytorium, aż pierze latało, widywałam wróble pary pieprzące się radośnie na drutach telefonicznych. Widywałam całe stada wróbli zbierające się zimą na drzewach, gdzie wyglądały jak brudnawe gwiazdkowe ozdoby i gadały niby hałaśliwe dzieci: czirp, czarp, czirp, czarp! Ale ten wróbel był sam i latał tam i z powrotem w przerażającej ciszy, uwięziony przez druty i strach. Co mogłam zrobić? Druciana klatka miała drzwi, ale były zamknięte na kłódkę. Poszłam dalej. Przyznam się wam, że łopot jego skrzydeł nie dawał mi spokoju, czułam go pod obojczykiem, szamotał się w komorach mego serca. Czy to moja wina? spytałam się w myślach. Czy to ja zbudowałam tę klatkę? Że ja akurat go zobaczyłam, nie znaczy jeszcze, że to mój wróbel, moja sprawa. Ale w głębi serca wyklął się już smutek i wiedziałam, że niebawem będzie gorzej, że oklapnę jak ptak, któremu skrzydła odmówiły posłuszeństwa, głodujący ptak.

Wtedy ujrzałam na ścieżce mężczyznę, kogoś z personelu kampusu. Strach ptaka dodał mi odwagi, by się odezwać.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zagadnęłam go. – Jestem tu tylko gościem na konferencji bibliotekarzy, spotkaliśmy się wczoraj w biurze. Nie wiem, co robić, bo tam pod siatką przy instalacji chłodzącej jest ptak, nie może się wydostać. – To było dość, a nawet za wiele, lecz musiałam ciągnąć dalej. – Chyba go płoszy hałas maszynarii, a ja nie wiem, co robić. Przepraszam. Dlaczego przeprosiłam? Za co?

– Zobaczmy – powiedział bez uśmiechu czy zmarszczenia brwi.

Zawrócił i poszedł ze mną. Zobaczył ptaka szamoczącego się w milczeniu między jednym kątem a drugim, i tak w kółko. Otworzył kłódkę. Miał klucz.

Ptak nie zauważył, że drzwi są otwarte. Wciąż miotał się wzdłuż siatki. Znalazłam na ścieżce patyk i rzuciłam go od zewnątrz na ogrodzenie, by spłoszyć ptaka i skłonić go do przerwania desperackiego szturmu na druty. Poleciał w złą stronę, w głąb, bliżej maszynarii. Rzuciłam drugi patyk, tym razem silniej. Ptak nagle zmienił kierunek i pomknął do wyjścia. Popatrzyłam na otwarte drzwi i ujrzałam, jak wylatuje.

Mężczyzna zamknął drzwi, zamocował kłódkę.

– Powodzenia – powiedział, bez uśmiechu czy zmarszczenia brwi, i poszedł swoją drogą, ciężko pracujący człowiek z masą spraw na głowie. Czy w ogóle się nie ucieszył? To właśnie mnie teraz zastanawia. Miał klucz, miał moc przywrócenia wolności, skłonny był to zrobić, ale brakło satysfakcji z czynku? Zastanawia mnie jego dusza, jeśli to właściwe słowo, stan jego podszytego wróblem ducha.

Wszyscy zwierzakowi bohaterowie mych zamyśleń mieli skrzydła.

Trudno mi o tym opowiadać. To była mewa. Mewy na plaży Klatsand są takie same jak na całym wybrzeżu północnego Pacyfiku i występują w dwóch odmianach: dorosłe, białe z czarnymi koniuszkami skrzydeł i żółtymi dziobami, oraz młode, równie duże jak dorosłe, ale okryte delikatnymi brązowymi piórami. Krzyczą i nawołują, krążą, szybują i nurkują, kłócą się i szukają zdobyczy; wieczorami obsiadają chmurami zalane czerwienią słońcem płytkie ujścia strumieni, a potem wzlatają w ciszy i znikają nad morzem, gdzie nocują, unosząc się sennie na falach, z dala od przybrzeżnych grzywaczy, niczym flota małych białych stateczków z postawionymi żaglami, ale bez świateł pozycyjnych. Mewy jedzą praktycznie wszystko, czyszczą plażę, zjadają też martwe mewy. Nie ma wśród nich indywidualności. Są wspaniałymi lotnikami, wielkimi, czystymi i silnymi ptakami, drapieżnymi przy tym, podejrzliwymi i nieustraszonymi. Czasem, gdy ujeżdżają wiatr, stają się dla mnie jednością z wichurą i morzem, tak jak piana, piasek czy mgła, i w takich chwilach objawienia widzę je najprawdziwiej.

Ale ta mewa nie była jak inne. Stała samotnie na skraju wody podczas odpływu. Miała złamane lewe skrzydło. Najpierw zobaczyłam, że opada jej ono do ziemi, potem dojrzałam nagą kość wystającą niczym kremowy nóż spomiędzy rdzawych od krwi piórek. Coś musiało ją zaatakować, coś, co zdołało wydrzeć jej skrzydło ze stawu. Może rekin. Mogła go spotkać, gdy nurkowała po rybę. I teraz tam stała. Gdy podeszłam bliżej, zauważyła mnie, ale nawet nie drgnęła. Nie odtruchtała, jak zwykle robią to mewy, gdy do nich podejść. Odsuwają się, a jeśli dalej idziesz w ich kierunku, to odlatują. Zatrzymałam się. Ona ciągle stała, z płaskimi czerwonymi stopami w wodzie płytkiej laguny, daleko od załamujących się grzywaczy. Z wolna zaczynał się przypływ. Mewa stała i czekała na powrót morza.

Zaniepokoiło mnie, że wcześniej może znaleźć ją jakiś pies. Psy włóczyły się po plaży. Goniły mewy, szczekały i skakały podniecone; mewy wlatywały z szumem skrzydeł; psy wracały klusem, może z małym kacem moralnym, do swoich właścicieli, spacerujących dalej na plaży. Jednak mewa, która nie mogła latać i pachniała krwią, mogła wprawić psa w trans szczekania, napastowania, kąsania, dręczenia. Potrafiłam to sobie wyobrazić. Moja wyobraźnia czyni ze mnie człowieka, ale i ogłupia, otwiera przede mną świat i jednocześnie mnie z niego wygania. Mewa stała, czekając na psa, na inne mewy, na przypływ, na cokolwiek, co miało się zdarzyć, dożywała swój czas. Jej oczy patrzyły prosto przeze mnie i widziały prawdziwie tylko morze, piasek i wiatr.

# PRZY SWOIM

Nadchodziły: od razu dwie. Mrowienie pojawiło się najpierw w koniuszkach palców Mary, potem zadrżały jej ręce, na końcu lęk ścisnął serce. Musi wytrwać przy swoim. Pan Young powiedział, żeby nie odpuszczała. Mógłby przyjść. Jego nigdy by nie ominęły. Wołała, żeby Norman nie machał tak swoją tablicą. Tylko bardziej się od tego trzęsła. Norman sam zrobił sobie tę tablicę. Nawet panu Youngowi się nie spodobała. Norman nie powinien robić tak wszystkiego po swojemu. To jest wojna, powiedział pan Young, a my jesteśmy armią Słusznej Sprawy. Jesteśmy żołnierzami. Podchodziły coraz bliżej, a drzenie dotarło jej aż do nóg. Jednak stała pewnie, stała przy swoim.

Na chodniku przed nimi tkwił starszy mężczyzna z tablicą na kiju. Gdy je zobaczył, zaczął machać nią w górę i w dół. Na kawałku dykty czerniały jakieś litery i rysunek czegoś, co przypominało oposa.

– Co to jest? – spytała Sharee.

– Blokada – odparła Delaware.

Za mężczyzną stała kobieta. Chowala się prawie cała za tablicą. Delaware pomyślała, że to pewnie eskorta. Wołała coś do nich.

– Kto to? – spytała Sharee.

– Nie wiem, chodźmy – powiedziała Delaware. Mężczyzna ją irytował. Machał tak tą swoją tablicą, jakby chciał je ściąć martwym oPOSEM. Kobieta była całkiem dobrze i ładnie ubrana, ale zamiast ściszyć głos, gdy podeszły, rozdarła się jeszcze bardziej:

– Modlę się! Modlę się za was!

– No to czemu nie pójdziesz do kościoła? – spytała Sharee. Przyspieszyły kroku. Trzymały się teraz z Delaware za ręce.

Kobieta tańczyła przed nimi jak koszykarz próbujący przeszkodzić w rzucie i krzyczała Sharee w twarz:

– Matko, matko! Zatrzymaj ją, matko!

Żeby odgrodzić się od krzyczącej, Sharee zasłoniła oczy wolną ręką i wtuliła głowę w ramiona. Pospiesznie pokonały cztery stopnie schodów przed budynkiem. Teraz i mężczyzna zaczął krzyczeć. Delaware czuła, jak kant jego tablicy uderza ją w ramię, i to było straszne. Nie tyle bolesne, ile dotkliwe. Ktoś użył wobec niej siły. Spodziewała się tego, wiedziała, że to się może zdarzyć, ale i tak zatrzymała się wstrząśnięta i przez chwilę nie mogła zrobić kroku. Sharee pociągnęła ją dalej, ku wzorzystym szybom przy wejściu do kliniki. Pchnęła metalową ramę drzwi. Ani drgnęły. Delaware przeraziła się, że mogą być zamknięte i że obie uwięzną tu na schodach. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie na zewnątrz, aż Sharee i Delaware musiały się cofnąć. W progu stanęła wyraźnie rozzłoszczona kobieta.

– Pamiętajcie, że macie zakaz wstępu na ten teren! – krzyknęła.

Sharee puściła dłoń Delaware, skuliła się i schowała głowę w przedramionach. Delaware rozejrzała się wkoło i zaraz zauważyła, że zagniewana kobieta nie patrzy na nie.

– Ona mówi do nich – uspokoiła Sharee. – Już w porządku.

Znów ujęła jej dłoń, minęły gniewną, która przytrzymała im drzwi, i weszły do środka.

Były już Tam. Jednak się dostały. A Wszetecznicą stała za drzwiami i śmiała się z niego. Mary mówiła coś piskliwie. Krzyczała i piszcziała, i śmiała się diabelsko. Norman uniósł swoją tablicę, zamachnął się nią, aż zarył krawędzią w trawnik przy chodniku obok tej Rzeźni. Piskliwa Mary

odskoczyła na bok i stanęła wpatrzona w niego. Wyciągnął tablicę z ziemi i ustawił ją prosto. Od razu poczuł się lepiej.

– Idę napić się kawy – oznajmił Mary. Idąc do odległego o pięć przecznic baru, trzymał tablicę wysoko i myślał cały czas o tym, co się dzieje w Rzeźni. Wyobrażał sobie, jak kładą dziewczynę, znieczulają ją, rozkładają jej nogi, sięgają do środka i znajdują go, i łapią, i szarpią go narzędziami. Wpychają je w nią jak najgłębiej, aż go dopadną, i wyciągają drżącego i zakrwawionego. Wtykają jej noże między nogi, a ona wiję się i jęczy, i pokazuje zęby, wygina grzbiet, łapie ciężko powietrze, dyszy. Wyciągnęli go i leży bezwładny i martwy.

– Bóg jest mi świadkiem – powiedział głośno Norman i stuknął kijem w chodnik. W końcu znajdzie drogę do środka. Wejdzie tam i zrobi, co trzeba.

Za kontuarem baru stała znów ta gruba kobieta. Młoda, ale gruba, ostentacyjnie biała, o piegawatych przedramionach. Nie lubił tego miejsca, jednak w pobliżu kliniki nie było innego lokalu, gdzie mógłby wypić kawę. Na kontuarze stała lista potraw o cudzoziemskich nazwach. Ludzie w drogich ubraniach wchodzili i zamawiali te obce potrawy.

– Chcę filiżankę normalnej amerykańskiej kawy – powiedział jak zwykle i Tłusta kiwnęła głową. Gdy zaczął przychodzić tu ze swoją tablicą, przestała z nim rozmawiać. Nie uśmiechała się nawet, tylko patrzyła na niego czujnie. Tego właśnie chciał. Postawiła filiżankę na blacie. Podsunął jej odliczone drobne i zaniósł filiżankę do stolika przy oknie. Oparł tablicę o szybę i usiadł. Był zmęczony. Biodro znów go bolało, łupało aż przykro, kawa była jakaś słaba i gorzka. Popatrzył na swoją tablicę. We wpadającym przez szybę słońcu lśnił zaczepiony o krawędź długi i kręty włos. Jaśniał niczym złota nitka. Norman sięgnął po niego i zdjął. W ogóle nie poczuł włosa między palcami, takie były sztywne i zdrętwiałe od ściskania przez cały ranek kija od tablicy.

Stały przy biurku recepcjonistki. Zagniewana kobieta podeszła ku nim.

– Ty jesteś Sharee – zwróciła się do Delaware.

– Ja jestem Sharee – powiedziała Sharee.

– To o nią chodzi – wyjaśniła Delaware. Wysunęła odrobinę do przodu głowę i ramiona, by recepcjonistka przeniosła spojrzenie z matki na nią. – Umówiłam wizytę dla niej. Po konsultacji z doktorem Rourkiem.

Recepcjonistka spojrzała najpierw na jedną, potem na drugą.

– Która z was jest w ciąży? – spytała po chwili.

– Ona – powiedziała Delaware, biorąc Sharee za rękę.

– Ja – powiedziała Sharee, ściskając dłoń Delaware.

– Więc to ona jest Sharee Aske? A ty?

– Delaware Aske.

Po chwili milczenia recepcjonistka, która wedle identyfikatora miała na imię Kathryn, zrozumiała, o co chodzi, i zwróciła się do Sharee.

– W porządku, a to jeszcze jeden formularz do podpisania – powiedziała z zawodową pewnością siebie. – Na pewno nie jadłaś nic od rana?

– Nie – odrzekła odruchowo Sharee i pokręciła głową. Zawsze reagowała tak na urzędowe pytania. – I mogę podpisać ten formularz do podpisania.

Delaware nic nie powiedziała, ale nie ucieszyło jej wcale pełne zrozumienia spojrzenie, które posłała jej recepcjonistka. Teraz nadeszła jej kolej, żeby wyjść z siebie.

– Dlaczego pozwalacie, żeby ci ludzie tu się kręcili? – spytała oschłym tonem.

– Nic nie możemy z tym zrobić – odparła chłodno recepcjonistka. – Na teren kliniki wejść im

nie wolno, ale chodnik jest dla wszystkich.

– Myślałam, że macie ochronę.

– Ochotników. Przychodzą zwykle we wtorki. To normalny dzień na zabiegi. Doktor Rourke zamówił was na dzisiaj, bo wyjeżdża na wakacje. Tutaj, kochanie, widzisz? – Pokazała Sharee, gdzie ma się podpisać.

– Zamierzają tu sterczeć, dopóki nie wyjdziemy?

– Gdzie zostawiłyście wóz?

– Przyjechałyśmy autobusem.

Kathryn zmarszczyła brwi.

– Z powrotem powinnyście wziąć taksówkę – powiedziała po chwili.

Delaware nie miała pojęcia, ile może kosztować przejazd taksówką. Zabrała jedenaście dolarów, Sharee miała pewnie w torebce jeszcze z dziesięć. Najwyżej pojedą taksówką tylko część drogi, uznała, i nic nie powiedziała.

– Będziecie mogły ją stąd wezwać. Powiecie, żeby podjechała od tyłu, na parking dla lekarzy. To już wszystko. Przysiądźcie sobie tam. Za chwilę zajmie się wami pielęgniarka. – Kathryn zebrała papiery i zniknęła w głębi budynku.

– Chodź – powiedziała Delaware i ruszyła do kącika z kanapą, dwoma fotelami i stołem zarzuconym czasopismami. Sharee nie poszła za nią od razu. Stała przy biurku recepcjonistki i rozglądała się wkoło. – No chodź! – powtórzyła Delaware, której złość jeszcze nie przeszła.

Sharee zbliżyła się, usiadła na kanapie i znów zaczęła się rozglądać. Ubrała się na tę okazję w nową dzinsową spódnicę, białe kowbojskie buty i białą kowbojską kurtkę z atłasu. Dębi z zakładu fryzjerskiego Head Shop zrobiła jej w zeszłym tygodniu trwałą. Czasem psuła się trochę i plątała, ale dziś wyglądała wspaniale. Całkiem jak lwia grzywa, taka złocista, puszysta i odjazdowa. Ciemne oczy Sharee lśniły ze strachu i ożywienia. Patrząc na nią, Delaware poczuła się nieswojo. I jeszcze zrobiło się jej smutno. Wzięła czasopismo ze stołu i zatopiła w nim spojrzenie.

Wnętrze bardzo jej się podobało. Kanapa i fotele były turkusowe, akurat w jej ulubionym kolorze. Delaware wgapiła się w strony czasopisma i wyglądała na coraz bardziej wkurzoną. Czasem zachowywała się, jakby wszystko wiedziała. Owszem, wiedziała całkiem wiele, ale nie była mamą, w żadnym razie nią nie była, i tego akurat nie wiedziała. A Sharee owszem. Pamiętała wszystko, jak brzuch zrobił jej się wielki jak fortepian, aż musiała cały czas siusiać, i jak jej własna mama się na nią złościła. Mama zawsze się złościła. Odkąd wyjechała z Davidem na Alaskę, zaczęło być lepiej. Bez niej było łatwiej. Tylko ona i Delaware w mieszkaniu, tak powinno być. Pamiętała Delaware od początku. Taka miękka była i taka mała, jak wszystko dobre na tym świecie, można było trzymać ją i przytulać, i mleko płynęło, i tak dobrze było wtedy, że nie wiedziało się, czy ty jesteś dzieckiem, czy dziecko jest tobą. Delaware tego nie pamiętała. Ale ona tak.

Tym razem wiedziała od razu, już następnego dnia rano. Z Delaware nie wiedziała, bo nie myślała wtedy o dzieciach, nie była mamą, myślała tylko cały czas o Donnym i o tym, jak bardzo go kocha. Potem, gdy zrobiła się gruba z przodu, a mama spytała ją o okres, zerwała z Donnym i zaczęła chodzić z Roddym. A potem jej mama tak się zezłościła, że musiała przestać chodzić z Roddym i w ogóle z kimkolwiek. Ale tym razem było inaczej. Tym razem sama oszalała. Owszem, kochali się z Donnym, ale to było co innego. To, co zrobił Mac, wtedy w samochodzie, gdy zajechali do kina. Całkiem jak małpa w zoo. Potem jeszcze chciał, żeby obejrzała film do końca. Gdy po wszystkim odwiózł ją do domu, wzięła długi prysznic i pod prysznicem pomyślała, że coś się dzieje. Następnego ranka też pomyślała, że coś się dzieje. A gdy okres nie zaczął się, kiedy powinien, to

wiedziała już, co się dzieje. Wiedziała, że się nie zacznie. I całkiem oszalała. Ludzie mieli ją za bardzo spokojną, ale oszalała. Znow poczuła w brzuchu to samo, w tym samym miejscu. Rosło coraz większe, otaczało ją jak kula gorącego, czerwonego światła. Nie powiedziała, ale wiedziała. Nie wiedziała wszystkiego, ale wiedziała, co jest jej. Co jest w środku, jest jej. Mac wykręcił jej rękę i zakrył jej usta dłonią, i wetknął jej to swoje od tyłu jak małpa w zoo, ale to, co działo się w niej, było już jej własne i ona pozwalała, żeby było i działo się albo i nie. Delaware zdarzyła się, bo była jej, jej własna, i dlatego pozwoliła. Tym razem było inaczej. To było jak narośl, jak strup, który czasem się zdrapuje. Mac ją skrzywdził, zrobił jej w środku ranę. Na ranie zrobił się strup. Chciała go usunąć, żeby znow być zdrowa. Nie była małpą w zoo, nie była raną, była osobą, człowiekiem była. Tak właśnie mówiła jej zawsze Linda, gdy była w specjalnej klasie. Jesteś człowiekiem, Sharee. Jesteś osobą, kochaną dziewczyną. I masz wspaniałą córkę. Nie jesteś z niej dumna? Jesteś dobrą matką, Sharee. Wiem, odpowiadała zawsze Sharee Lindzie i teraz też powtarzała to sobie w myślach. Czasem Delaware zdawało się, że to ona jest matką, ale to nieprawda. To Sharee. Jak tylko powiedziała, że chce aborcji, Delaware zaczęła się krzywić i rządzić, i ciągle pytała, czy na pewno, czy na pewno. Sharee nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, ale tak, była pewna. Trzeba być matką, żeby to zrozumieć, powiedziała. Czasem wydaje mi się, że jestem, powiedziała Delaware. Sharee wiedziała, co jej córka chce przez to powiedzieć. Ale Delaware nie była taką mamą jak ona. Bo widzisz, zanim stałaś się sobą, byłaś mną, powiedziała jej. Ja cię zrobiłam. Ja sprawiłam, że jesteś. Ale teraz to nie jest tak samo. To nie ja, to tak, jakby pojawił się we mnie zły kawałek, którego nie chcę. Tak jak zanokcica. Kurde, mamó! Powiedziała Delaware i Sharee powiedziała jej, żeby nie przeklinała. Tak czy tak, Delaware wiedziała już, że ona wie, co robi, i przestała pytać, czy jesteś pewna, tylko umówiła ją z doktorem Rourkiem. Teraz siedziała na turkusowej kanapie i znow wyglądała na zasmuconą. Sharee wzięła ją za rękę.

– Jesteś moim rycerzem w lśniącej zbroi, moim obrońcą – powiedziała.

Delaware nawet nie próbowała ukryć zaskoczenia.

– Kurde, mamó – westchnęła, ale całkiem spokojnie.

– Nie przeklinaj – powiedziała Sharee.

Z korytarza wyłoniła się pielęgniarka, biała kobieta w brzydkim bladozielonym fartuchu. Spojrzała na nie i uśmiechnęła się.

– Cześć!

– Cześć! – odpowiedziała Sharee i też się uśmiechnęła. Pielęgniarka zerknęła na trzymane w dłoni papiery.

– Dobrze, muszę tylko coś sprawdzić. Ty jesteś Sharee. – Spojrzała na Delaware. – Ile masz lat, Sharee?

– Trzydzieści jeden – powiedziała Sharee.

– Dobrze, a ile ty masz lat, kochanie?

– Ja tylko z nią przyszedłam – wyjaśniła Delaware.

– Taak – mruknęła wyraźnie zmieszana pielęgniarka. Spojrzała znow do papierów, potem na Delaware. – Więc to nie ty czekasz na zabieg?

Delaware pokręciła głową.

– Jednak muszę znać twój wiek.

– Po co?

– Jesteś niepełnoletnia? – spytała oschle pielęgniarka.

– Tak – odparła nieprzyjaźnie Delaware. Pielęgniarka odwróciła się i odeszła bez słowa.

Sharee wzięła ze stołu czasopismo ze zdjęciem Kevina Costnera na okładce.

– Wygląda na wkurzonego – powiedziała, przypatrując się fotografii. – Do Frosty’ego przychodzi mężczyzna, który przez cały czas wygląda na wkurzonego. Ale jest całkiem w porządku. Zawsze bierze burgera bez frytek i krem truskawkowy. Nie lubię kremów. Nie mają smaku. Lubię twarde lody. Takie staromodne. Staromodne twarde lody. Ty też takie lubisz, prawda?

Delaware kiwnęła głową.

– Tak – odezwała się, bo Sharee trzeba było odpowiadać. Czuła, że zbiera jej się na płacz. Właściwie już teraz by zapłakała, ale nie chciała. Wszystko przez uderzenie w ramię. Ten mężczyzna ją zranił. Nie, żeby bolało, na dzinsowej kurtce nie było żadnego śladu. Może wieczorem, gdy się rozbierze, znajdzie mały siniak, może nie. Jednak wciąż czuła to miejsce, gdzie mężczyzna uderzył ją kantem drewnianej tablicy. Pulsowało dotkliwie, aż mróz podpełzał do serca, a w gardle coś ścisnęło. Kilka razy odetchnęła głęboko. Wróciła pielęgniarka.

– Dobrze, kochanie! – powiedziała gdzieś w przestrzeń pomiędzy Sharee a Delaware.

Sharee skoczyła na równe nogi, jakby ją prosili do tańca. Złapała rękę Delaware i pociągnęła córkę za sobą.

– Chodź! – rzuciła z ożywieniem. Wyglądała nad wyraz pięknie.

Norman nie miał prawa tak sobie odchodzić. Był nieuprzejmy i samolubny. Szczęśliwie nie uderzył dziewczyny tablicą w ramię, bo gdyby, to oboje znów mogliby mieć kłopoty. Nie miał prawa tak się zachowywać. Tak wymachiwać tą swoją tablicą. Mógł ją uderzyć. Nie miał prawa. Nigdy nie słuchał poleceń. Będzie musiała powiedzieć panu Youngowi, jak bardzo nie można polegać na Normanie.

Było już po dziewiątej i nie należało raczej oczekiwać nikogo więcej. Spojrzała w perspektywę ulicy, ale nie zauważyła żadnego pieszego, żaden samochód nie zwalniał przed kliniką. Dziś pojawiła się tylko ta straszna kobieta. Wystrojona jak cyrkowa. Kowbojskie buty, atlasowa kurtka. Ciągnęła do środka tę dziewczynę. Na pewno córkę, takie były podobne. Biedne stworzenie. Powinna się za nią pomodlić, tyle że była rozzłoszczona, a wtedy trudno się modlić. I za dziecko też powinna się pomodlić. I za ojca. Biedny chłopak, pewnie jakiś żołnierz, na służbie. Na pewno nie wie, co tu się robi z jego prawami. Nic nie wie. Tylko o sobie myślą, o sobie i o sobie. Zupełnie jak zwierzęta. Nie mają prawa tak postępować.

W gardle jej zaschło, dłonie znów się trzęsły. Nie cierpiała drżenia dłoni. Podobno na polu bitwy żołnierzy też oblatuje strach, jednak jej takie drżenie kojarzyło się z dziadkiem Kevorym siedzącym w mrocznym, cuchnącym uryną pokoju. Duże, białe dłonie trzęsły mu się nieustannie. Pomóż mi chwycić ten kubek, Mary. Potem zarzucił celowo głową i woda ciekła mu po brodzie, i ścisnął Mary tymi strasznymi, drżącymi dłońmi. Nie, nikt już nie przyjdzie.

Nie mieli prawa oczekiwać, że będzie stała tu sama. Powinien być tu z nią Norman. Zgłosił się na ochotnika. Ona przyszła tylko dlatego, że opuściła ostatni wtorek. Musiała zastąpić sekretarkę w szkole, a zawsze odrabiała dni, które opuściła. Obiecała to panu Youngowi. Obietnice się dla niej liczyły. Inni tak się nie przykładali. Przychodzili, kiedy chcieli, a gdy cokolwiek im nie pasowało i opuszczali dzień, w ogóle się tym nie przejmowali. Nie miał prawa jej tak zostawiać, bez tablicy, bez niczego. On też myśli tylko o sobie. Gdyby chociaż pan Young tędy przejeżdżał, to by ją ujrzał, zobaczył, jak trzyma straż, jak trwa tu wierna sprawie. Ale jezdni też już była pusta. Nikt nie nadjeżdżał. I nikt już nie przyjedzie.

Jestem żołnierzem, pomyślała i jak zwykle, ta myśl dodała jej sił. A dzielni chłopcy bronią swej flagi; spojrzała na niebo i zobaczyła tam wyraźnie jasną flagę falującą na tle czarnych chmur. Spyta

pana Younga, czy nie mogłaby nosić ze sobą na służbie amerykańskiej flagi. Amerykańskie flagi sprzedawano w pasażu handlowym. Takie z żółtymi kokardami. Jestem żołnierzem Armii Życia. Stoję na posterunku. Wyprostowała się i przeszła tam i z powrotem przed wejściem do kliniki. Przy trawnikach zwracała na pięcie. Wyraźnie dumna i zadowolona, że przypadło jej to zadanie.

– Czy ja też mogę wejść? – spytała Delaware pielęgniarkę, gdy szły korytarzem. Zbyt jej się jednak naraziła, odmawiając podania wieku.

– Spytaj doktora – odszczeknęła pielęgniarka i poszła dalej. Doktor Rourke przywitał się serdecznie, wręcz poufale.

– Cześć, Della.

Spytała, czy mogłaby zostać z Sharee, a on wyjaśnił, że wolą, by krewni czy bliscy nie towarzyszyli pacjentkom podczas zabiegów. Wyszło im, że tak lepiej. Sharee puściła jej dłoń i uśmiechnęła się szeroko. Lubiła doktora Rourke'a, przystojnego i rumianego rudzielca. Nieraz mówiła Delaware, że uważa go za atrakcyjnego mężczyznę. Ochocho ruszyła za pielęgniarką przez wahadłowe drzwi. Doktor Rourke został z Delaware na korytarzu.

– Będzie dobrze – powiedział. Delaware kiwnęła głową. – Odsysanie to równie prosta sprawa jak wizyta u fryzjera. – Poczekał, aż Delaware ponownie skinie głową. – Mógłbym też od razu przeprowadzić podwiązanie. To drobiazg, a ona nawet tego nie zauważy.

– Z tym jest pewien problem – stwierdziła Delaware. – Jaki?

– Ona rozumie, co się z nią dzieje.

– Mogę jej wyjaśnić, na czym polega podwiązanie i że nie będzie się już wtedy musiała martwić antykoncepcją – zapewnił ciepło, wręcz serdecznie.

– Czy może pan to potem rozwiązać?

– Ona nie powinna mieć... – Zawiesił głos.

– Doznała uszkodzenia mózgu przy narodzinach – wyjaśniła otwarcie Delaware. Często tak robiła. – To nie jest dziedziczne. – Spojrzała na doktora: była żywym dowodem na prawdziwość swoich słów. Zaczynała wyglądać na równie wkurzoną co Kevin Costner na tamtej okładce. Lub ktokolwiek.

– Tak, rozumiem – zbył temat, bo przecież lekarze nigdy się nie mylą. – Ale czy nie jest wysoce prawdopodobne, że znów zapomni o kapturku?

– Nie. Ona nie zapomniała. Ten jej znajomy, ten drań, zabrał ją do kina dla zmotoryzowanych i dobrał się do niej w samochodzie. Postanowiła pozbyć się skutków ubocznych randki z gwałcicielem. – Popatrzyła uważnie na doktora, który zaczynał się chyba trochę niecierpliwie, dodała więc szybko: – A jeśli znowu będzie chciała mieć dziecko? Nie mogę decydować za nią. Niby jak? Doktor westchnął ciężko.

– W porządku. Będzie dobrze – powtórzył. – Taki zabieg to bułka z masłem. – Zniknął za wahadłowymi drzwiami.

Delaware stała jeszcze przez chwilę na korytarzu, ale potem pomyślała, że głupio tak czekać pod drzwiami. Wróciła do recepcjonistki, żeby spytać, gdzie tu są toalety. Sikać zachciało jej się już w autobusie, i to jeszcze przed szóstą, nim się przesiadły na linię zachodnią.

Norman zwlekał z powrotem tak długo, aż uznał, że Piskliwa Mary musiała już sobie pójść. Niestety, gdy spojrzał na chodnik przed Rzeźnią, paradowała tam w tę i z powrotem, jakby to był jej własny kawałek ziemi. Prosta jak świeca zwracała przy trawnikach niczym nakręcana zabawka. Co ona ma za męża, że pozwala jej się tak pokazywać na ulicy? Wszystkie są takie same, tylko się puszą



i udają nie wiadomo kogo. Uczepiły się pana Younga. Pan Young powiedział to, pan Young tamto. Sam wiedział, co i jak mówi pan Young. Językami ludzi i aniołów... Wiedział, co mówi pan Young, i wiedział też, gdzie jego miejsce. To już nie ich sprawa. One powinny siedzieć w domu, robić swoje i nie wchodzić w drogę. Odwrócił się, żeby obejść jeszcze jeden kwartał. Może gdy znów wyjrzy zza rogu, to jej już nie będzie. Nagle dotarło do niego, co właściwie robi, i zatrzymał się jak wryty. Podszedł prosto do niej.

– Już dobrze – powiedział. – Zmieniam cię.

– Jestem na służbie – odparła wysokim, drżącym głosem.

– Powiedziałem, że cię zmieniam – powtórzył i ujrzał, jak głowa zaczyna chodzić jej nerwowo na szyi, kiwać się i trząść.

– Powiem panu Youngowi o twoim zachowaniu – pisnęła i mimo wszystko nie ustąpiła.

– Teraz ja tu stanę.

– A dobrze, stawaj sobie. – Znów zaczęła maszerować tam i z powrotem. On stał, trzymając swoją tablicę. Mijała go raz za razem, to z lewej, to z prawej. Obcasy stukwały w chodnik, ramiona trzymała sztywno przy bokach, ściągnęła łopatki. Przywiązać by ją do kija od jego tablicy, to nauczyłyby się trzymać plecy naprawdę prosto! Ale wolał na nią nie patrzeć. Stał na swoim posterunku przed schodami wiodącymi do Rzeźni i dzierżył swoją tablicę. Bóg był mu świadkiem.

Siedząc w klinicznie czystej zielonej kabinie, Delaware uznała, że teraz może już zapłakać. Wylać trochę łez i pochlipać na osobności, podczas gdy matką zajmuje się kto inny. Jednak łzy się nie pojawiły i tylko gardło zaczęło ją boleć od spazmów. Rozpięła bluzkę i zsunęła ją, by spojrzeć na prawe ramię, gdzie uderzył ją mężczyzna. Nie ujrzała nic ponad słabe zaczerwienienie, które mogła wywołać sama, trąc to miejsce drugą ręką.

Gdy wróciła na kanapę w poczekalni, wzięła znów czasopismo, by się za nim schować. Próbowwała coś przeczytać, ale cały czas widziała tylko nogi i stopy kobiety, która krzyczała o modlitwie. Nosila beżowe rajstopy i granatowe buty na niskim obcasie. Spódnicę miała biało-granatową, plisowaną. Białe grochy na marynarskim granacie. Jaka była wyżej, tego Delaware nie widziała. Słyszała tylko jej krzyk: „Matko, matko!” Mężczyzna nosił luźne, brązowe spodnie, brązowe buty i koszulę w paski. Musiał być stary, bo miał obwisły brzuch, ale jego twarzy nie widziała. Cały czas wymachiwał przed sobą tą tablicą z oposem. Całkiem jak siekierą, w górę i w dół, coraz bliżej Sharee i Delaware. Coraz bliżej, aż w końcu uderzył.

Wzdrygnęła się.

– Delaware to bardzo ładne imię – powiedziała zza biurka Kathryn. Trwało chwilę, nim jej słowa dotarły do dziewczyny. – Jak to się stało, że je nosisz?

– Matce podobało się jego brzmienie.

– To niezwykle imię.

– No, jest jeszcze Indiana Jones.

Kathryn roześmiała się i pochyliła głowę. Przez chwilę układała jakieś papiery.

– Mieszkasz sama z matką?

– Tak – odparła bez wahania Delaware. Głos Kathryn brzmiał przyjaźnie, a na jej brązowej twarzy nie było złości, tylko zmęczenie.

– Chodzisz do szkoły średniej?

– Tak.

– Pracujesz?

– Tylko latem. Mama pracuje we Frost-T-Man. Zawsze gdzieś pracuje.

– To dobrze – powiedziała łagodnie Kathryn. Na moment znów zajęła się papierami. – Dobrze ci idzie w szkole – rzuciła takim tonem, jakby to było oczywiste.

– Tak.

– Jakby inaczej. Potem na studia?

– Chyba tak.

– To bardzo dobrze. Dasz sobie radę.

Całkiem niespodzianie napłynęły łzy. Cicho skapnęły i wyschły. Delaware przeczytała recenzję z filmu o mężczyźnie, który zabił dwadzieścia kobiet, i z jeszcze innego – o dzieciach opętanych przez demony. Gdzieś z głębi korytarza nadeszła pielęgniarka.

– Twoja przyjaciółka jest już w pozabiegowym, kochana.

Delaware poszła za nią.

– Trochę się zdenerwowała, więc doktor dał jej na uspokojenie – mówiła, nie odwracając głowy. – Przez jakieś pół godziny będzie pewnie trochę otępiała. Potem może się ubrać.

Poprowadziła Delaware do czystego zielonego pokoju bez okien. Stały w nim trzy łóżka, dwa były puste. Sharee leżała na trzecim. Włosy miała zebrane z tyłu głowy, twarz bez makijażu i wyglądała jak dziecko. Spojrzała na Delaware i uśmiechnęła się sennie.

– Cześć, dziecinko! – powiedziała.

# ŁYZECZKI W PIWNICY

Georgia stała na krześle przy biurku Rose i czyściła górne półki szafy w pokoju córki, gdy błądząc ślepo dłonią, natrafiła w najdalszym kącie na jakiś płaski, kanciasty przedmiot. Wyciągnięty na światło dnia okazał się małym, okrytym skórą pudełkiem zamkniętym na misterny haczyk. Wewnątrz, na wyściółce z błękitnego aksamitu, spoczywał zestaw srebrnych łyżeczek o połączonych czerpaczkach. „Apostolski”, tak kiedyś nazywano te komplety, chociaż ten akurat nie zawierał dwunastu różniących się od siebie sztucców, jak najlepsze. Łyżeczek było sześć, identycznych, delikatnie zdobionych i bez wątplenia wartościowych. Dom Georgii został wzniesiony w 1899 roku i miał od tego czasu dość wielu właścicieli. Może to było w czerwcu 1910, gdy jeden z nich wyjeżdżał na wakacje, a może we wrześniu 1951, kiedy inny wybierał się na rok za granicę, tak czy owak, w zamęcie ostatnich dni sprzątania i pakowania pani domu upchnęła apostolskie łyżeczki, i może jeszcze srebrne lichtarzyki, w najwyższym i najciemniejszym zakamarku, tak że nawet sam Jean Valjean by ich nie znalazł. Wróciwszy miesiąc lub rok później, wyciągnęła lichtarzyki, ale zapomniała o łyżeczkach, aż pewnego dnia przyszło odkurzyć serwis do kawy przed wizytą jakiejś licznej kompanii gości, i wtedy się zaczęło. James, nie wiesz przypadkiem, co zrobiłam z tymi łyżeczkami, które dostaliśmy od cioci Edith? Tymi małymi łyżeczkami do kawy? Potem wyprowadziła się do San Diego lub Saskatchewan i rychło odżałowała wszystko, co przepadło, tylko czasem, przy kawie, wracała echem z dawnych dobrych czasów dokuczliwa myśl: Co u licha stało się właściwie z tymi łyżeczkami?!

Georgia przyjęła je z wdzięcznością, chociaż nie bez odrobiny zabobonnych skrupułów. Uznała je za dar od samego domu, gdyż był to dom z charakterem, chociaż o niezbyt ciekawej architekturze: zachodniowiktoriański, piętrowy z piwnicą, strychem i całą masą szaf, w sam raz do chowania łyżeczek. Georgia z mężem sprowadzili się doń kilka lat wcześniej z małym dzieckiem. Gdy w nim zamieszkali, dorobili się jeszcze dwójki dzieci. Dla nich był on centrum wszechświata, kwintesencją tego, co rozumie się przez słowo „dom”. Przekonania tego nie mąciły im wspomnienia innych miejsc, w których mieszkali, innych początków. Pierwszej nocy, którą w nim spędzili, kiedy wszędzie pełno było jeszcze skrzyń i kartonów, dom zaczął hałasować gdzieś na piętrze. I wtedy, i potem drzwi otwierały się cicho własnym przemysłem, niemniej dom nigdy nie próbował ich straszyć czy niepokoić. Ujawnienie przezeń miejsca ukrycia łyżeczek Georgia uznała za gest mający przypieczętować związek z nowymi lokatorami. Doszedłszy do tego wniosku, bardzo się ucieszyła i niebawem kupiła z mężem sześć filizanek. Używali ich potem w komplecie z łyżeczkami i mieszkali w tym domu przez lata, aż dzieci dorosły i po kolei się wyprowadziły.

Minęło jakieś piętnaście lat od znalezienia apostolskich łyżeczek, gdy pewnego dnia, nie zastanawiając się zupełnie, gdzie jest ani gdzie chce iść, Georgia nacisnęła klamkę drzwi po prawej i odkryła, że dom ma jeszcze jedną wielką piwnicę, o której nic wcześniej nie wiedziała. Posadzkę miała z tego samego czarnego i wygładzonego od chodzenia betonu co reszta znanych jej piwnic, była jednak od nich jaśniejsza, czystsza i znacznie większa. Powietrze w korytarzu, w którym się znalazła, było świeże i spokojne. Zaraz też natknęła się tam na pewną młodą kobietę.

Napotkanie obcej osoby zepsuło jej wprawdzie radość z odkrycia tak przestronnych wnętrz w swoim domu i odebrało szansę na miłe sercu badanie nieznanego zakamarku, niemniej zdrowy rozsądek i poczucie sprawiedliwości uchroniły ją przed odruchowo wrogą reakcją właściciela broniącego swojego terenu. Uznała, że i tak przecież nie używała nigdy tych pomieszczeń ani ich nie potrzebowała. Owszem, teraz, gdy je odkryła, mogłaby wymyślić dla nich jakieś zastosowanie, ale po co? Nie była zatem zła na tę młodą kobietę, bardzo zresztą skromną, uprzejmą i spokojną. Po

chwili rozmowy Georgia poczuła, że ją lubi, którego to wrażenia nie zmieniło nawet odkrycie, że pokoje po prawej stronie korytarza zajmują dwie inne młode kobiety, najwyraźniej chwilowo bezrobotne.

Pokoje nie były duże. Nie próbując bronić swoich praw dzikiego lokatora, dziewczyna zachęciła ją, by zajrzała wszędzie, gdzie tylko zechce, Georgia mogła się więc przekonać, że jest tu chłodno i trochę ciasno, jednak wszędzie panuje porządek. Nie widziała powodu, żeby wymawiać trzem przyjaciółkom ich lokum, skoro miały akurat na nie ochotę. Sama z mężem co najwyżej zrobiłaby w nim skład rupieci. Lepiej już, żeby ktoś tu mieszkał.

Gdy gość i gospodyni (choć kto tu był kim?) zajrzeli na chwilę do kotłowni, od razu się wyjaśniło, dlaczego w tej części domu jest tak zimno.

– Tak, mamy piec, ale go nie używamy – wyjaśniła młoda kobieta. Uchyliła drzwi, akurat tyle, żeby spojrzeć. Georgii to starczyło. Zaraz się cofnęła i podziękowała niebiosom, że dziewczyny okazały dość zdrowego rozsądku, by nie eksperymentować z tym piecem. Należał to urządzeń, które ryczą rozgłośnie, zioną ogniem niczym hutnicze konwertery i w ogóle więcej z nimi zmartwień niż korzyści. Już lepiej trochę marznąć, niż modernizować taki piec, montować mu filtry i fikuśne termostaty. Musiał być podłączony do osobnego ciągu wentylacyjnego, innego niż reszta domu. Nic dziwnego, że powietrze było tu tak świeże, choć spokojne.

Gdy młoda lokatorka pokazała duże, nie zamieszkałe pomieszczenie na końcu korytarza, Georgia uradowała się proporcjonalnie do jego rozmiarów. Przypominało salę balową, miało gładką czystą podłogę i było całkiem puste. Nadawało się na tańce albo wielki, wygodny pokój do pracy. Wdzięczna, że młode kobiety nie zajęły tego pomieszczenia, Georgia spytała dziewczynę o imię. Owszem, wyjaśniła, wie, że lokatorka już się przedstawiła, ale imiona, jak to mówią, nigdy nie trzymały jej się głowy. Dziewczyna miała na imię Ann i Georgia pogratulowała sobie, że odważyła się ją o to spytać, gdyż spodobała jej się tak ona, jak i jej imię.

Jednak wówczas, w końcu korytarza, na lewo od wielkiego pokoju, otworzyły się drzwi wychodzące na zewnątrz, najpewniej do ogrodu (dziwna sprawa, swoją drogą), i pojawiła się w nich kobieta w średnim wieku, średniego wzrostu i jakaś taka średnio sympatyczna. Zamiast przeprosić czy wyjaśnić cokolwiek, z miejsca oznajmiła, że mieszka z mężem w pokoju naprzeciwko dziewczyn, za kotłownią. Na jednym oddechu dodała, że jej mąż właśnie śpi i że ona nie pozwoli, by ktokolwiek mu przeszkadzał. A w ogóle to ich pokój i Georgia ma się trzymać od niego z daleka.

Trzy spokojne, odpowiedzialne dziewczyny przemieszkujące w piwnicy to jedno, lecz para w średnim wieku, i to taka jakaś, że jedno napastliwe, a drugie w łóżku, to zupełnie co innego. Georgia zirytowała się, do czego miała pełne prawo. Irytacja rychło przeszła w złość, gdy udało jej się zerknąć nad ramieniem wojowniczej, choć ukradkiem przemykającej przez próg kobiety, do owego woniejącego nie praną pościelą pokoju. Był zapchany flaszkami, ramami i frędzlastymi zasłonami. Georgia pomyślała, że wszystko to najpewniej wykradziono z wyższych kondygnacji.

– Nie sądzę, żebyście mogli tu zostać – odezwała się do kobiety, która odpowiedziała pretensjami, żądaniami i groźbami. – Zadzwońię do naszego prawnika – oznajmiła nie na żarty rozdrażniona Georgia. – I zażadam od was spłaty zaległego czynszu!

To był triumf, i to bezsprzeczny: zirytować się w tej dziwnej piwnicy do tego stopnia, żeby sięgnąć po zabójczy argument zaległych opłat! Kłótniwa kobieta poczuła się pokonana i wycofała się za drzwi (spornego pokoju, rzecz jasna). Georgia zaś wróciła z Ann do długiego i jasnego pomieszczenia, które przez swą przestronność wyglądało jak jedna wielka obietnica czegoś bardzo dobrego. Myśląc o ukradzionych zapewne przedmiotach, Georgia coś sobie przypomniała, a że uznała, iż Ann jest godna zaufania (szczególnie w zestawieniu z tamtą drugą kobietą), zaraz ją o to

zagadnęła.

Wyjaśniła, że wczesnym latem, kilka dni przed wyjazdem na długie wakacje, schowała gdzieś srebrne łyżeczki do herbaty. Zestaw dwudziestu dziwnych może trochę, ale drogich jej sercu wiktoriańskich łyżeczek skompletowanych niegdyś przez dość materialnie nastawioną do życia babkę ze strony matki. Były to jedyne łyżeczki do herbaty stanowiące rodzinną pamiątkę: przetrwały wielkie trzęsienie ziemi w San Francisco w 1906 i lokatora, który pewnego lata podczas Wielkiego Kryzysu zbiegł z zastawą. łyżeczki były nie tylko użyteczne, ale i wartościowe, jeśli zważyć zwykujące obecnie ceny srebra. Schowała je więc, żeby nie niepokoić się o nie podczas letniego wyjazdu, ale gdy wróciła w sierpniu, stwierdziła, że w zamęcie ostatnich godzin sprzątania i pakowania schowała je aż za dobrze. W ciągu kilku następnych tygodni przetrząsnęła szafki na strychu, półki w piwnicy, kuchenne schowki i wszystkie szafy, ale łyżeczki okazały się nieosiągalne nie tylko dla włamywacza, ale i dla niej.

– Nie zniosłam ich tutaj? – spytała Georgia, wiedząc, że to niemożliwe, kto to jednak może wiedzieć na pewno, szczególnie gdy chodzi o utajnioną przez tyle lat piwnicę. – Nie schowałam ich przypadkiem gdzieś tutaj?

Młoda Ann pokręciła głową. Wiedziała, że łyżeczek tu nie ma. Wiedziała też, gdzie są, ale chociaż wyglądało na to, że boleje nad stratą, to jednak nie powiedziała. Dopiero później dotarło do Georgii, co jej milczenie mogło znaczyć: oto po wielu latach dom upomniał się o swoje i dopełnił transakcji.

# LETNIA NIEDZIELA W SEATOWN

W niedzielę rano wszyscy tu są. Wstają późno i snują się w piżamach po pokojach motelowych. Zaziewani czytają niedzielne gazety. Słońce wlewa się przez okna. Potem wychodzą przekąsić coś na śniadanie. Wychodzą tłumem pasiastych brzuchaczy i tupotem małych szerokich stóp w masywnych tanich białych butach z nie zawiązanymi sznurówkami. Wychodzą bez uśmiechu. Potem jedzą i jedzą i jedzą i jedzą i potem plaża.

Każdy idzie na plażę sam choć z rodziną i całe mnóstwo koreańsko-amerykańskich prezbiterian przychodzi po nabożeństwie grać w siatkówkę ku chwale Jezusa po koreańsku i inni jeszcze amerykańscy chrześcijanie też są ale wszyscy zawsze pogańsko odwracają twarze ku falom i każdy jest na plaży sam beznarodowo. Fale przychodzą do wszystkich do każdego z osobna. Przychodzą całą mnogością. Wielu na nie nie patrzy. Wielu odwraca się od nich. Niektórzy całują się na wydmach. Wielkie fale załamują się i małe dzieci krzyczą jak mewy i uciekają i mewy krzyczą i uciekają i odlatują z wrzaskiem. Błyskają czerwienią małych szerokich łapek. Ciżba Amerykanów na wielkich stopach odchodzi od siebie w brudnych białych butach. Wielu Amerykanów uprawia jogging. Biegają dla zdrowia i biegają i biegają i biegają dysząc wzdłuż fal i nie patrzą na fale bo fale nie interesuje ich zdrowie. Amerykański jogging cwałuje obok siatkówki i mew co polatują i fale nadchodzących jak zawsze licznie niezmiennie.

Niedzielnym popołudniem fale nadchodzą i załamują się i dzieci krzyczą i uciekają i z wolna jest ich coraz mniej. Fale nadchodzą jak zawsze licznie tak nadchodzą. Na małych uliczkach zapalają się silniki samochodów. Drzwiczki się otwierają i zatrząskują. Samochody ruszają i jadą i odjeżdżają. Słońce tonie, tonie ze szczerem zatopione. Wydmy od pocałunków trwają zimne.

Niedzielnym wieczorem już ich tu nie ma ale daleko na plaży płoną ogniska gdzie inni całkiem ludzie zostali żeby sobie pośpiewać. Zgrzany pies biega tam i z powrotem na skraju wody. Morze poszarzało i tylko fale niosą jeszcze resztki światła. Gdzie oni zniknęli, gdzie oni są? Pojechali. Z powrotem do małych i jasno oświetlonych terrariów sztucznego życia. Pora na sen i piasek na prześcieradłach w nogach łóżek. Paciorek i płyn na oparzenia słoneczne rozsmarowywany na grzbietach małych szerokich czerwonych stóp. W ich snach latają mewy. Fale kołyszą ich w ramionach. Każdego z osobna. Plaża gdzie nich nie ma szarzeje pod białym półksiężycem. Półksiężyc zachodzi pomiędzy niedzielnym wieczorem a poniedziałkowym rankiem. Zachodzi w dali horyzontalnej w szarym morzu za obojętnymi falami.

# SUSZA

*Dla Judith i Ruth*

Sarah podlewała krzaczki pomidorów, woda płynęła z węża ułożonego w rynnie pomiędzy wielkimi i rozrośniętymi, ale na wpół oklapłymi, prawie przywiedłymi roślinami, bezładnym przekładańcem zieleni, czerwieni i żółci z małymi, średnimi i dużymi pomidorami. Małe przypominały gruszki, średnie miały w sobie coś ze śliwek, ale duże były pomidorami całą gębą, chociaż w plątaniu liści trudno było ustalić przynależność poszczególnych okazów do któregoś z sześciu krzaczków. Zjadła jednego, małego, w kształcie gruszki. Smakował cierpkim miodem. Na dłoniach został jej cudowny gorzki zapach liści. Pomyślała, że czas wziąć koszyk i zerwać trochę tych najczerwieńszych i najbardziej żółtych, ale dopiero jak skończy podlewać; na napojenie czekały jeszcze dwie stare róże, a i najmłodsza azalia wyglądała na bardzo spragnioną. Późnopołudniowe światło padało pod ostrym kątem i barwiło lekką czerwienią wodę z węża. Spojrzała uważnie na strumień; to chyba jednak rdza z rur. Ale czerwonawobrązowa barwa z każdą chwilą stawała się intensywniejsza, woda nie była już przezroczysta. Uniosła wąż, strumień wzbił się wysoko w powietrze. Zobaczyła, że kolor przechodzi szybko w ciemnokarmazynowy. Padające na ziemię wielkie krople barwiły glebę i wsiąkały jakoś powoli. Nie ruszyła kranu, ale woda biła wyraźnie mocniej. Czerwony strumień tryskający z końcówki węża zmętniał, niemal nabrał cielesności. Wolała go nie dotykać.

Ułożyła wąż w rynnie i podeszła do wkopanej w ziemię rury, żeby zamknąć dopływ. To nie była dobra woda do podlewania roślin. Zdumiona i niespokojna wspięła się po dwóch schodkach na tyłach domu i weszła do kuchni. Wprawnym ruchem stopy zamknęła za sobą siatkowe drzwi. Belle stała przy zlewie.

– Dziwna sprawa – zaczęła Sarah, ale Belle spojrzała na nią i powiedziała:

– Patrz. – Ze stalowego kranu leciał czerwony strumień. Rozpryskiwał się na białej emalii i zbierał w jeziorko nad odpływem. – Pewnie coś z bojlerem – uznała Belle.

– Z ogrodowego węża leci to samo.

– Więc susza – mruknęła po chwili Belle. – Coś w zbiornikach. Muł z dna jeziora albo co.

– Zakręć – powiedziała Sarah.

Belle zamknęła kran z ciepłą wodą. Potem powoli, jakby pod przymusem, puściła zimną wodę. Poleciała czerwona struga, ciemne krople rozprysnęły się ciężko na emalii. Belle podstawiła palec pod strumień.

– Nie rób tego! – krzyknęła Sarah.

– Jest ciepła – stwierdziła Belle. – Prawie gorąca.

Zakręciła kran.

Przez chwilę patrzyły, jak czerwone krople i strużki znikają w otworze odpływowym.

– Zadzwoń po hydraulika? – spytała Belle. – Chociaż... raczej nie. Może do wodociągów? Jak myślisz? Ale jeśli wszędzie jest tak samo, to kto żyw złapie zaraz za telefon. Jak podczas trzęsienia ziemi.

Sarah przeszła do pokoju od frontu i wyjrzała przez panoramiczne okno na zbrązowiałą trawę i dalej, na ulicę. Zraszacz na murawie przed domem Mortensonów pracował jakby nigdy nic. Niedzielny wieczór był jednym z dwóch w tygodniu, gdy wolno było podlewać ogródki, chociaż

z racji suszy i tak nie całe. Tylko krzewy i grządki warzywne. I wyłącznie z ręki, ale pan Mortenson włączył swój mały zraszacz i jakoś nikt mu nic nie powiedział, nikt na niego nie doniósł. Pan Mortenson był roslym mężczyzną i miał dwóch nastoletnich synów, którzy ujeżdżali na motocyklach. Nigdy nie rozmawiał z Sarah ani z Belle, praktycznie ich nie zauważał. Synowie też się do nich nie odzywali, ale czasem spojrzeli na którąś, gdy rozmawiali z przyjaciółmi podjeżdżającymi na motocyklach i w pikapach. Pan Mortenson ciął pod wiatą garażową drewno do kominka. Zawodzenie piły urastało do krzyku, milkło raptownie i zaraz rozlegało się na nowo. Pani Mortenson wyszła godzinę temu do kościoła, w niedziele bywała tam rano i wieczorem. Mijając dom Belle i Sarah, zawsze odwracała głowę. Zadzwoił telefon i Sarah odebrała, żeby nie hałasował. To była Neenie.

– Sarah, kochanieńka! Nie uwierzysz! Poszłam się wysiusiać, a gdy zajrzałam do muszli, to cała była czerwona, wiesz, no i pomyślałam, rany, dostałam okres, ale zaraz sobie przypomniałam, że mam sześćdziesiąt sześć lat i zrobili mi przecież histerektomię, więc to... o nie, moje nerki, już po mnie... ale poszłam umyć ręce, a tu woda z kranów też poleciała czerwona jak nic. Więc to nie ja, tylko wodociągi, chociaż dziwne, nie? Może to jakiś kawał prawdziwych mężczyzn? Eleanor mówi, że to muł, bo przez tę suszę opadła woda w zbiornikach, ale zadzwoniłam do magistratu i powiedzieli, że nikt nie zgłaszał niczego niezwykłego. U ciebie pewnie woda leci normalnie, co?

– Tak – odparła Sarah, patrząc, jak nisko stojące słońce prześwieca przez mgiełkę wodną nad zraszaczem pana Mortensona. – Słuchaj, Neenie, oddzwonię, ale teraz muszę z kimś porozmawiać. Nie przejmuj się, dobrze?

– Nie, nie przejmuję się, ale to dziwne. Na razie – rzuciła pośpiesznie Neenie. – Pozdrowienia dla Belle!

Sarah zadzwoniła do Andrew. Usłyszała nagrany głos: „Cześć, przepraszam, nie możemy teraz z Tomem odebrać telefonu, ale odezwiemy się, jak tylko się da”. Poczekała na sygnał i powiedziała:

– Andrew, tu Sarah. – Przerwała na chwilę. – Coś dziwnego dzieje się z...

Andrew podniósł słuchawkę.

– Cześć, Sarah! Słuchałem, kto dzwoni. Tom mówi, że nie powinienem czuć się winny, że nie odbieram od razu każdego telefonu, tylko najpierw słucham kto.

– Andrew, może to dziwne pytanie, ale nie macie kłopotów z wodą w kranach?

– Mam sprawdzić?

– Gdybyś mógł.

Gdy Sarah czekała, do pokoju weszła Belle. Wygładziła afgański koc na sofie i stanęła przy oknie. Spojrzała na drugą stronę ulicy.

– Ich woda wygląda normalnie – mruknęła. Sarah skinęła głową.

– Zrobiła się im tęcza – dodała Belle.

Andrew kazał czekać na siebie zastanawiająco długo.

– Jesteś tam, Sarah? Sprawdziałaś, jak smakuje woda?

– Nie – odparła i przypomniała sobie strumień gęstej, jaskrawoczerwonej cieczy płynącej z węża.

– A ja owszem. – Umilkł na chwilę. – Spytałem panią Simpson, tę co mieszka pod nami, ale ona ma wodę. Normalną, nie taką jak my.

– I co mamy zrobić? – spytała Sarah.

– Zadzwoić do wodociągów. I nie tylko – stwierdził energicznie. – Płacimy za wodę. Nie mogą na to pozwalać!

– Oni?

Andrew znowu umilkł na moment.



- No, my nie możemy na to pozwalać.
- Podzwonię tu i tam – powiedziała Sarah.
- Zrób tak. Ja przekręcę do Sandy z gazety. Po prostu nie możemy...
- Zgadza się. Nie możemy. Oddzwoń, jak się czegoś dowiesz. Lub coś postanowisz.
- Ty też, dobra? Wkrótce się odezwę. Głowa do góry, to nie koniec świata!

Rozłączył się. Sarah odłożyła słuchawkę i spojrzała na Belle.

- Coś z tego będzie – powiedziała. – To dobra gazeta.

Belle wróciła do kuchni, Sarah poszła za nią. Belle odkręciła do końca oba kurki. Czerwony strumień runął na białą emalię.

- Nie, nie – szepnęła Sarah, ale Belle wsunęła obie dłonie pod kran, zaczęła obracać je, pocierać, myć pracowicie.

– Jest parę piosenek na ten temat – powiedziała. – Ale nie moich. – Zakręciła kurki i z rozmysłem wytarła dłonie w biało-żółty ręcznik. Zostawiła szerokie, brudne smugi i grudki, które niebawem miały wyschnąć i zbrązowieć. – Nie lubię miejskiej wody – dodała. – Nigdy nie lubiłam. Nawet w małych miasteczkach. Dziwnie smakuje. Jak pot. Wysoko w górach możesz pić ze strumyków, które wypływają z lodowców, z topniejącego śniegu. Tak jakbyś piła powietrze. Niebo. Bąbelki bez szampana. Chcę wrócić w góry.

- Wrócimy – powiedziała Sarah. – Niebawem. Objęły się mocno i chwilę stały w ciszy.

– Co teraz będziemy piły? – szepnęła Sarah. Głos jej drżał. Belle opuściła nieco ręce i odsunęła się trochę. Odgarnęła Sarah włosy z twarzy.

- Mleko – odparła. – Będziemy piły mleko, kochana.

# ETHER, OREGON

*Dla amerykańskich gawędziarzy*

*Edna*

Nigdy już nie pójde do Two Blue Moons. Myślałam o tym, urządzając dzisiaj witrynę w spożywczym, gdy zobaczyłam, jak po drugiej stronie ulicy nadchodzi Corrie i otwiera. Nigdy więcej nie pójde sama do baru. Nigdy w życiu. Sook przysłała po batonik i powiedziałam jej, no powiedziałam, że myślę sobie, czy by nie pójść tam kiedyś na piwo, żeby sama sprawdzić, czy smakuje jakoś inaczej. Sook powiedziała: „Oj mamuśka, ty zawsze musisz wszystko sama sprawdzać”. A ja na to, że miałam czterech mężów i rzadko chwilę dla siebie, a ona powiedziała „Wiesz, że to się nie liczy”. Sook jest młoda. Jest jak łyk świeżego powietrza. Widzę, że Needless patrzy na nią jak pies, jak patrzą czasem mężczyźni. Aż się zdziwiłam, że mnie to wzięło, ale czego mogłam się spodziewać? Sook ma dwadzieścia lat, a Needless to normalny mężczyzna. Chociaż zawsze robił wrażenie, że sam sobie świetnie radzi. Bardzo niezależny. To dlatego jest taki spokojny. Silvia umarła wieki temu, ale ciągle mi się wydawało, że to było całkiem niedawno. Może go źle oceniłam? Byłoby dziwne, bo przez cały ten czas pracuję u niego. A wzięło mnie właśnie to, że zachował się tak, jak jeszcze u niego nie widziałam. Jakby nagle zrobił coś głupiego, zaszył coś niciami na wierzch albo zostawił zapalony palnik.

Wszyscy mężczyźni są dziwni. Gdybym ich kiedyś zrozumiała, pewnie nie wydawaliby mi się tak interesujący. Ale Toby Walker był najdziwniejszy z nich wszystkich. Najdziwniejszy. Nigdy się nie dowiedziałam, skąd przyjechał. Roger jest z pustyni, Ady z oceanu, ale Toby... skądś dalej. Był już tu, gdy przyjechałam. Piękny mężczyzna, całkiem ciemny, ciemny jak gęsty las. Kompletnie się w nim zadurzyłam i bardzo mi się to spodobało. Jak ja żałuję, że to się zdarzyło wtedy, a nie teraz! Teraz już chyba nie straciłabym tak głowy. Teraz zawsze patrzę prosto przed siebie i idę, jak oczy prowadzą. Czasem czuję się, jakbym wędrowała przez całą Nevadę i jak pierwsi osadnicy dźwigała ze sobą wszystko, co potrzebne, ale gubiła różne rzeczy po drodze. Miałam kiedyś pianino, ale utonęło w bagnie, gdy się przeprawiałam przez Platte. Miałam dobrą patelnię, ale była za ciężka i zostawiłam ją w Górach Skalistych. Miałam parę dobrych jajników, ale zużyły się wtedy, gdy byliśmy w Carson Sink. Miałam dobrą pamięć, ale wszystko wyciekło z niej po trochu i pogubiło się w krzewach sagowca na piaszczystych wzgórzach. Dzieciaki wciąż tu ściągają, ale już ich nie mam. Miałam je, ale to nie znaczy, żebym nadal je miała. Nie mieszkają już ze mną, nawet Archie i Sook. Wracają tam, gdzie ja byłam lata temu. Ciekawe, czy zbliżą się choć trochę bardziej do zachodnich stoków gór, do dolin pełnych gajów pomarańczowych? Są lata za mną. Utknęły w Iowa. Nie dotarły nawet jeszcze do Sierras. Jak ja, zanim tu przybyłam. Ostatnio zaczyna mi się wydawać, że musiałam należeć do oddziału Donnera.

*Thomas Sunn*

Na Ether nie zawsze można liczyć. Jak dzisiaj rano. Wstałem, kiedy jeszcze było ciemno, żeby zdążyć na odpływ, i wyszedłem w gumowych butach i nieprzemakalnej kurtce, z łopatką do małży i wiadrem, a tu okazało się, że przez noc miasto znów oddaliło się od wybrzeża. Nic, tylko cholerna pustynia i przekłete sagowce. Tutaj wykopać można co najwyżej pieprzoną skamielinę. Osobiście myślę, że to вина Indian. W prawdziwie cywilizowanym kraju takie cuda z miastem byłyby nie do

pomyślenia. No ale mieszkam tu od tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego i nie sprzedam mojego domu ani ziemi na kurzą fermę. Będzie, co będzie, a ja mam zamiar dokonać tu dni. Ale pociągnę jeszcze trochę, może dziesięć, może piętnaście lat. Chociaż w tych czasach niczego nie można być pewnym, szczególnie w takim miejscu. Jednak potrafię o siebie dbać, dla mnie to nie problem. Równie dobrze mogę to robić tutaj. Rząd nie miesza się do spraw Ether tak bardzo, jak robi to w innych, dużych miastach. Może dlatego, że Ether co rusz jest trochę gdzie indziej, niż rząd sądzi. No ale przecież jest.

Na początku, gdy tu przyjechałem, interesowałem się nieco kobietami, ale uważam, że na dłuższą metę mężczyzna powinien dać sobie z nimi spokój. Kobieta to dla mężczyzny największa zawada, gorsza nawet niż rząd.

Wyczytałem kiedyś określenie „czerstwy stary kawaler” i ono by do mnie pasowało. Chociaż nie tyle może czerstwy, co chrupki. No i nie tylko z wierzchu, ale cały, bo nie lubię kluch w środku. Za miękkie. W tym surowym świecie miękkość nie popłaca. Ja jestem jak ciastko mojej mamy.

Moja matka, pani J. J. Sunn, zmarła w Wichicie w Kansas w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, gdy miała lat siedemdziesiąt dziewięć. Była wspaniałą kobietą i moja ogólna opinia o kobietach do niej jednej się nie odnosi.

Odkąd zaczęli robić chlebki w puszkach, którymi starczy uderzyć o blat, a ciasto samo wyskakuje ze środka pod ciśnieniem, to kupuję tylko takie i piekę je przez pół godziny, aż robią się dokładnie jak lubię, na wskroś chrupkie. Kiedyś piekłem je w całości, ale potem odkryłem, że można je łamać na osobne kawałki. Nie trzymam się nigdy instrukcji, które drukują drobnym drukiem na pieprzonej folii. I tak pęka, gdy otwierasz puszkę, a ja nie czytam bez okularów. Jak już, to używam szkieł mojej mamy. Są ciągle bardzo porządne, dobra robota.

Kobieta, za którą przyjechałem w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym, ciągle tu mieszka. Zdarzyło mi się to w krótkim okresie miłosnego szaleństwa. Szczęśliwie nie udało się jej do końca mnie omotać. Wielu innych nie miało tyle szczęścia. Wyszła za męża kilka razy, zawsze udanie, ciągle zachodziła i przez kilkadziesiąt lat wciąż pchała jakiś wózek. Czasem mi się wydaje, że w tym mieście wszyscy poniżej czterdziestki to jej dzieci. Nie miałem wielkiego wyboru. Czasem śniłem o Ednie. Byłem w tym śnie rybakiem, który pływa po morzu w małej łódce i łowi łososie. Edna wynurza się między jedną falą a drugą i próbuje się wdrapać na łódkę. Żeby jej nie pozwolić, biję ją po rękach nożem do patroszenia i odcinam palce, które wpadają do wody i zamieniają się w małe, ruchliwe stworzenia i odpływają. Nigdy nie potrafię powiedzieć, czy zmieniają się w małe dzieci, czy w foki. W końcu Edna odpływa za nimi z dziwnym sapaniem. Dopiero wtedy widzę, że tak naprawdę jest ogromną foką czy słoniem morskim, z tych, co to żyją w grotach na południowym wybrzeżu. Są jasnobrażowe, wielkie, tłuste i wspaniale pływają.

Ten sen mnie niepokoi, bo nie jest prawdziwy. Nie jestem człowiekiem, który zrobiłby coś takiego. Głupio się czuję, jak sobie przypominam to jej sapanie, gdy wchodzę do sklepu, a Edna stoi przy kasie. Zawsze patrzę jej na ręce, żeby mieć pewność, że dobrze wbiła cenę i wydała ile trzeba reszty. Z kobietami najgorsze jest to, że nie można na nie liczyć. Nie są w pełni cywilizowane.

*Roger Hiddenstone*

Tylko czasem przyjeżdżam do miasta. Nieregularnie, jak wypadnie. Gdy się uda, dobrze, ale jak nie, to nie rozpaczam. Przy dwustu tysiącach akrów i takim stadzie bydła zawsze mam co robić. Czasem patrzę wieczorem na niebo i dziwię się, że księżyc jest w nowiu, chociaż przysięgłbym, że dopiero wczoraj była pełnia. Lata przechodzą jedno po drugim jak byczki przez bramkę. Zimą jednak bywa, że czas zamarza jak woda w strumieniu i przez trochę nic się nie dzieje. Tutaj, wysoko na

pustyni, powietrze robi się zimą czyste i nieruchome, tak że widzę wszystkie okoliczne szczyty gór, począwszy od Bakera i Rainiera na północy, przez Hooda i Jeffersona, Three-Fingered Jacka i Sisters na wschodzie, po Shastę i Lassen na południu. W blasku słońca wyrastają na osiemset albo i tysiąc mil. Kiedyś lubiłem latać w takie dni. Z ziemi nigdy nie widać ich równie dobrze. Z ziemi najlepiej obserwuje się niebo, zwłaszcza nocami.

Potem jednak zamieniłem moją dwumiejscową cessenę na klacz rasy quarterhorse, [Odważne, silne i spokojne konie hodowane w USA do pracy przy bydłe, ale także na rodeo i do gonitw, zwłaszcza na ćwierć mili, stąd nazwa.] chociaż zazwyczaj jeżdżę fordem pikapem. Czasem używam jeszcze chevroleta. Każdy z nich dowiezie mnie do miasteczka, no chyba że sypnie na drogę więcej niż kilka stóp śniegu. Lubię tam ostatnio podjeżdżać. Na śniadanie jem sobie w barze omlet denver, odwiedzam żonę i syna, wypijam drinka w Two Blue Moons. Nocuję w hotelu i rano jestem już gotowy wracać na farmę, żeby sprawdzić, co się popieprzyło podczas mojej nieobecności. Zawsze coś się porobi.

Odkąd się pobraliśmy, Edna była na ranczu tylko raz. Spędziła tu trzy tygodnie. Byliśmy tak zajęci sobą w łóżku, że mało co innego pamiętam prócz tego dnia, kiedy chciała nauczyć się jeździć konno. Wsadziłem ją na Sally, tę bystrą klaczkę, którą dostałem za cessenę z dopłatą tysiąca pięciuset dolarów. Była bardzo zrównoważona i mądrzejsza niż większość republikanów. Jednak Ednie starczyło dziesięć minut, żeby ją kompletnie rozpaskudzić. Próbowałem wyjaśnić mojej żonie, co znaczą dla konia poruszenia kolanami, gdy Edna zaczęła nagle szaleć na niej jak na dzikim mustangu. Wypadły z zagrody przed domem z takim zapędem, że zatrzymały się chyba w pół drogi do Ontario. Pojechałem za nimi na moim starym wywałaszonym dereszku i spotkałem je, jak już wracały. Sally nic się nie stało, ale Edna była wieczorem cała obolała i nie do tknięcia. Powiedziała, że wytrzęsło z niej całą miłość. Chyba rzeczywiście tak było, przynajmniej w ogólniejszym sensie, bo niedługo potem stwierdziła, że chce wracać do Ether. Myślałem, że rzuciła pracę w spożywczym, ale okazało się, że wzięła tylko miesiąc wolnego. Powiedziała, że Needless będzie jej potrzebował przed Gwiazdką, bo wtedy jest większy ruch. Pojechaliśmy więc do miasteczka, które przez ten czas przewędrowało trochę na zachód, w bardzo ładną okolicę u stóp gór Ochoco, i spędziliśmy szczęśliwe Święta z dziećmi, w domu Edny.

Nie wiem, czy Archiego poczęliśmy tam, czy na farmie. Lubię myśleć, że na farmie, bo to mogłoby przyciągnąć go tutaj pewnego dnia. Nie wiem, komu to wszystko zostawię. Charlie Echeverria dobrze sobie radzi z bydłem, ale nie potrafi wybiec myślą naprzód na więcej niż dwa dni i nie umie rozmawiać z kupcami, o wielkich firmach nie wspominając. Nie chcę, żeby korporacje ciągnęły zyski z mojej pracy. Pomocników mam świetnych, ale oni tu nie osiadają. Nawet im to przez myśl nie przejdzie. Kowboje nie chcą ziemi. Ziemia przywiązuje cię do siebie, zawłaszcza. Musisz się z tym pogodzić. Czasem jest mi tak ciężko, jakby wszystkie kamienie z dwustu tysięcy akrów mojej ziemi zwały mi się na piersi. Mam wtedy wrażenie, że sam zmieniam się w skałę. I zwierzęta, które tędy wędrują. I krowy stojące z cielętami na wietrze, który siecze po równinach marcowym śniegiem nie gorzej niż piaskiem. Próbuję zrozumieć tę ich cierpliwość.

### *Gracie Fane*

Dziś widziałam na Main Street tego starego farmera, pana Hiddenstone'a, który ożenił się kiedyś z Edną. Szedł tak, jakby doskonale wiedział, gdzie idzie, ale gdy ulica wyprowadziła go nagle na wysokie urwisko, całkiem zgłupiał. Obrócił się na pięcie w tych butach na wysokim obcasie i pomaszerował z powrotem. Ma długie nogi, a stopy stawia jak kot. Tak jak chodzą kowboje. Jest stary i chudy. Poszedł do Two Blue Moons. Pewnie chciał poszukać w paru drinkach natchnienia, jakby tu wrócić do wschodniego Oregonu. Mi tam nie robi, czy nasze miasto jest na wschodzie, czy

na zachodzie. W ogóle mnie nie obchodzi. Jest byle jakie i leży byle gdzie, a po prawdzie to nigdzie. Zamierzam stąd wyjechać do Portlandu. Zatrudnię się w Intermountain, dużej firmie przewozowej, i zostanę kierowcą wielkiej ciężarówki. Nauczyłam się prowadzić, gdy miałam pięć lat. Na traktorze dziadka. Gdy skończyłam dziesięć, wsiadłam do dodge'a taty, a odkąd mam prawo jazdy, jeżdżę pikapami i furgonami dostawczymi. Dowożę towar dla pana Needlessa i mamy. Zeszłego lata Jase dał mi kilka lekcji na swoim osiemnastokółowcu. Naprawdę dobrze sobie radziłam. Jase powiedział, że jestem urodzoną kierowcą. Ale tylko dwa razy wyjechaliśmy na piątą międzystanową. Powtarzał, że brakuje mi jeszcze praktyki. Szczególnie gdy chodzi o podjeżdżanie do rampy, parkowanie i zmianę biegów. Chętnie bym dalej poćwiczyła, ale gdy zatrzymałam ciężarówkę, to chciał, żebym przeszła z nim na to łóżko, które ma za siedzeniami, i ściągnęła dzinsy. Musiałam się z nim kochać, żeby znowu zaczął mnie uczyć. Ja wołałabym najpierw pojechać daleko, żeby jak najwięcej skorzystać, potem zatrzymać się gdzieś na kawę i seks i wrócić inną drogą, może przez wzgórza, żebym mogła poćwiczyć hamowanie i zmianę biegów. Ale mężczyźni wolą chyba inną kolej rzeczy. Nawet gdy prowadziłam, obejmował mnie od tyłu i ugniatał mi balony. Ma tak wielkie łapy, że jedną międlął mi oba naraz. Przyjemna sprawa, ale nie mógł się przez to skoncentrować na lekcji. Ciągłe powtarzał „Jesteś wspaniała, maleńka” i myślałam, że chodzi mu o to, jak prowadzę, ale w końcu zaczął postękiwać i musiałam znaleźć miejsce, żeby zaparkować, zatrzymać i znów pójść z nim do tyłu na to niby-łóżko. Gdy mnie pieprzył, powtarzałam sobie w myślach kolejność zmiany biegów i to bardzo pomagało. Łatwiej mogłam nim operować. Gdy wprowadzałam go już na najwyższy bieg, krzyczałam „Robię osiemdziesiąt!” i jeszcze „Gliny na ogonie!” A potem pohukiwałam jak syrena. Taką właśnie mam ksywkę w CB: Syrena. Jase pojechał w trasę w sierpniu, ale ja wiem już, co zrobię. Do siedemnastych urodzin będę dowozić towar do spożywczego i odkładać pieniądze, ale potem pojedę do Portlandu pracować w Intermountain Company. Będę kursować piątą międzystanową z Seattle do LA albo i do Salt Lake City. Do czasu, bo potem kupię własną ciężarówkę. Dobrze to sobie wszystko zaplanowałam.

### *Tobinye Walker*

Wszyscy młodzi chcą wyjechać z Ether. Młodzi Amerykanie w małych miastach pragną się przebudzić i wyruszyć w świat.

I niektórzy to robią, a inni z czasem przestają opowiadać, gdzie, kiedy i do czego dojdą, i dochodzą do siebie tam, gdzie są. Ich problem, o ile to jest problem, nie różni się szczególnie od mojego. Sposobność nie trwa wiecznie: drzwi uchylają się na chwilę i zatrząskują. Zwykłem przebiegać lata równie łatwo, jak dziecko przechodzi tu przez ulicę, ale potem okulałem i nie mogłem się już poruszać. I taki jest ten mój czas, moja pełnia młodości, czas kwitnienia.

Na początku naszej znajomości Edna powiedziała mi coś dziwnego. Rozmawialiśmy, nie pamiętam już o czym, gdy nagle urwała w pół zdania i spojrzała na mnie.

– Masz spojrzenie nie narodzonego dziecka – powiedziała. – Patrzysz na wszystko jak nie narodzone dziecko.

Nie kojarzę, co odpowiedziałem, i dopiero później zastanowiłem się, skąd ona mogła wiedzieć, jak patrzy takie dziecko, i czy miała na myśli płód w łonie matki, czy dziecko, które nigdy nie zostało poczęte. Może zresztą myślała o nowo narodzonym dziecku. Chociaż nie, sądzę, że użyła tego słowa, które chciała użyć.

Kiedy pierwszy raz się tu zatrzymałem, jeszcze przed wypadkiem, nie było oczywiście miasta ani nawet osady. Ludzie przechodzili i odchodzili, czasem rozkładali się obozowiskiem na lato, ale nikt nie wytyczał żadnych granic, chociaż nadawano temu miejscu różne nazwy. W tamtych czasach

ludzie nie tęsknili tak za stabilizacją, wiedzieli, że rzeka jest rzeką tylko tak długo, jak toczy wody. Wtedy tylko bobry budowały tu tamy. Ether zawsze zajmowało dużą przestrzeń i dbało o swoje, ale żadne prawa własności nie trwają wiecznie.

Ludzie, których wtedy tu spotykałem, mówili najczęściej, że przyszedli wzdłuż Humbug Creek od rzeki w górach, chociaż z tego, co wiem, Ether nigdy nie leżało w Górach Kaskadowych. Niekiedy widać je na zachodzie, chociaż zwykle to miasto jest na zachód od nich, a czasem nawet na zachód od Gór Nadbrzeżnych, blisko oceanu, w krainie drwali i mleczarzy. Bywa też, że przewędruje i nad morze. Ma bardzo zmienną lokalizację. To niezwykle miejsce. Chętnie wróciłbym tam, skąd przyjechałem, żeby o tym opowiedzieć, ale nie mogę już chodzić. Muszę kwitnąć tutaj.

### *J. Needless*

Ludzie myślą, że rdzenni mieszkańcy Kalifornii są mitem. Że tak naprawdę to w ogóle ich nie ma, bo nikt nie wraca z tej ziemi obiecanej, chociaż kto żyw tam wędruje. Niektórzy nawet umierają po drodze, gdzieś na pustyni, i doczekują się co najwyżej skromnych grobów na poboczu. Czasem myślę sobie o tym, bo ja przybyłem z Kalifornii. Urodziłem się tam, w dolinie San Arcadio. Nic tylko sady. Białe morze kwiatów pomarańczowych u podnóża błękitno-brunatnych gór. Powietrze pełne słońca, jak krystalicznie czysta woda, tylko się zanurzyć, czysty żywioł. Mieliśmy tam dom z widokiem na dolinę. Ojciec był menedżerem w pewnej firmie. Pomarańcze kwitną biało, pachną miło i bardzo słodko. To przedsionek nieba, powiedziała raz moja mama, gdy wieszała pranie. Pamiętam tę scenę. Mieszkaliśmy w przedsionku nieba.

Zmarła, gdy miałem sześć lat, i nic więcej nie utkwilo mi w pamięci. Teraz uświadamiam sobie, że moja żona nie żyje od tak dawna, że i jej obraz prawie się zatarł. Zmarła, gdy nasza córka, Corrie, miała sześć lat. Wtedy wydawało mi się, że to jakiś znak, ale do dziś nie potrafię powiedzieć czego.

Dziesięć lat temu, gdy Corrie kończyła dwadzieścia jeden lat, powiedziała, że chce jechać na urodziny do Disneylandu. Ze mną. I, cholera, udało jej się mnie tam zaciągnąć. Spędziłem masę czasu, gapiąc się na ludzi przebranych za myszy, z wodą zamiast mózgu. W miejscach, które wyglądają strasznie nieprawdziwie. Sądzę, że o to chodzi. Uprzątnęli całą ziemię, aż zrobiło się tak czysto, że aż jałowo, i potem rozrzucili sztuczną ziemię, żeby na pewno nikt się nie pobrudził. Razem w Waltem masz tam nad wszystkim pełną kontrolę. Gdziekolwiek jesteś, czy to w kosmosie, czy na oceanie, czy w hiszpańskich zamkach, wszędzie jest czysto, ani grama jakiejś obcej substancji. W dzieciństwie pewnie bym to nawet polubił, bo wtedy myślałem, że należy się starać nad wszystkim zapanować. Potem mi się odmieniło i otworzyłem sklep spożywczy.

Corrie chciała zobaczyć, gdzie się wychowałem, więc pojechaliśmy do San Arcadio. Ale tamtej doliny już nie było. Nic tylko dachy, domy, ulice, domy i tak dalej. Smog tak gęsty, że zasłaniał góry, a słońce świeciło na zielono. Cholera, wynośmy się stąd, powiedziałem, nawet kolor słońca zmienili. Corrie chciała spojrzeć na dawny dom moich rodziców, ale ja się uparłem. Wynośmy się, to jest to samo miejsce, ale w złym czasie. Walt Disney może wypucować i wycementować swoje tereny na błysk, jego działka, jego wola i ochota, ale to już za dużo. To jest moje.

I tak się czułem. Jakbym miał coś swojego, a oni odarli to z okrywy ziemi, aż odsłonili cement i wszystkie przewody, całą tę ich elektronikę. Wolałbym tego nie widzieć. Ludzie przejeżdżają przez Ether i pytają, jak mogę żyć w mieście, które nie leży ciągle w tym samym miejscu. A byli w Los Angeles? To miasto panoszy się wszędzie.

Cóż, skoro straciłem Kalifornię, co mi zostało? Całkiem dobrze prosperujący interes. I Corrie ciągle tu jest. Ma głowę na karku i jest wygadana. Radzi sobie w barze jak trzeba. Z mężem też sobie nieźle radzi. Coto właściwie znaczy, gdy mówię, że miałem matkę, miałem żonę? Tylko tyle, że

pamiętam zapach kwiatów pomarańczy, biel, blask słońca. Noszę to w sobie. Pamiętam imiona: Corinna i Silvia. Ale co mam?

To, czego nie mam, jest codziennie w zasięgu ręki. Codziennie prócz niedzieli. Każdy mężczyzna w mieście dał jej po dziecku, a ja daję jej tylko tygodniówkę. Wiem, że mi ufa. To pewien kłopot, ale i tak jest już za późno. Do diabła, co by zyskała, biorąc mnie do łóżka? Zwrot kosztów z federalnego funduszu opieki zdrowotnej?

### *Emma Bodely*

Wszędzie teraz głośno o seryjnych mordercach. Podobno fascynacja takimi ludźmi jest całkiem naturalna. Takimi, którzy zupełnie bez powodu planują i popełniają jedno morderstwo po drugim, chociaż wcale nie wiedzą, kogo właściwie zabijają. W mieście schwytali niedawno pewnego mężczyznę, który torturował i zadręczył trzech małych chłopców i jeszcze robił im przy tym fotografie. A teraz, gdy już ich zabił i obfotografował ich ciała, władze zastanawiają się, co zrobić z tymi zdjęciami. Mogliby je wydać. W książce. Zarobiliby masę pieniędzy. Policja przyłapała go, gdy namawiał kolejnego małego chłopca, by z nim poszedł, jak w koszmarnym śnie. Tacy sami ludzie byli w Kalifornii i Teksasie, a pewnie i w Chicago. Wszyscy oni porąbali na kawałki i pogrzebali niezliczone ofiary. A jeśli sięgnąć do historii, to był też Kuba Rozpruwacz, który zabijał ubogie kobiety i należał podobno do angielskiej rodziny królewskiej, wcześniej zaś też na pewno było wielu innych seryjnych morderców. Niejeden wywodził się z rodu królewskiego albo był cesarzem lub generałem. Zabijali ludzi tysiącami. Jednak na wojnie ludzie giną mniej więcej równocześnie, nie jeden po drugim, tak więc to byli raczej mordercy masowi, a nie seryjni, chociaż nie jestem pewna, czy to wielka różnica. I tak każdy może zginąć tylko raz.

Zdziwiłabym się, gdybyśmy się dorobili seryjnego mordercy tutaj, w Ether. Większość naszych mężczyzn była żołnierzami i walczyła na którejś z wojen, chyba że dostawali papierkową robotę. Nie widzę wśród nich kandydata na seryjnego mordercę. Chociaż ja i tak dowiedziałabym się ostatnia, oczywiście. Bycie niewidzialną działa w obie strony. Obecnie często dostrzegam o wiele mniej niż wtedy, gdy byłam widzialna. Skądinąd jednak niewidzialność zmniejsza prawdopodobieństwo zostania ofiarą seryjnego mordercy.

Ciekawe, że ta naturalna fascynacja nie obejmuje ofiar. Może ja patrzę na to nienaturalnie, gdyż przez trzydzieści pięć lat byłam nauczycielką, ale tak czy owak, nie potrafię przestać myśleć o tych trzech małych chłopcach. Mieli po trzy albo cztery lata. Jakie to straszne, że całe ich życie zamknęło się w tak krótkim czasie, jak u kota. Matka zniknęła z ich świata, a na jej miejscu pojawił się obcy mężczyzna, który zapowiedział, że ich skrzywdzi. I zrobił to. Nagle w ich życiu nie było już nic prócz strachu i bólu. I tak umierali, w strachu i bólu. Jednak wszyscy reporterzy rozwodzą się nad naturą obrażeń oraz stopniem rozczłonkowania ciał, i tylko nad tym. To byli mali chłopcy, a nie mężczyźni. Zatem nie są fascynujący. Są tylko martwi. Ale o tym seryjnym mordercy mówią wszystko, i to w kółko. Roztrząsają niuanse jego psychiki i opowiadają, jak to go rodzice skrzywdzili, że zrobił się taki fascynujący, będzie więc żył wiecznie, jak Kuba Rozpruwacz czy Hitler Rozpruwacz. Wszyscy świetnie pamiętają, jak nazywał się ten mężczyzna, który gwałcił, fotografował, torturował i na końcu zabijał małych chłopców. Nazywał się Westley Dodd. A kto pamięta imiona jego ofiar?

Oczywiście my, naród, zamordowaliśmy go w odwecie. Tego właśnie chciał. Chciał, żebyśmy go zamordowali. Wszyscy się do tego zabraliśmy, jak na wojnie, więc to było masowe morderstwo, niemniej każdy z osobna się do tego przyłożył, bo musiało być demokratycznie, więc to zapewne też seryjny mord. Tak oto mogę być zarazem seryjnym mordercą i ofiarą seryjnego mordu, ale nikt nie dał mi wyboru.

Zresztą moja możliwość wyboru raczej maleje, nigdy zresztą nie była duża, gdyż moje skłonności seksualne nie przystawały jakoś do pozycji, która mi przypadła w życiu. Nikt, kogo kochałam, nigdy się o tym nie dowiedział. Dobrze, że Ether przemieszcza się ciągle w nowe miejsca, bo to zawsze kojarzy się z wyborem miejsca życia, tyle że nie ja go dokonuję. Zdolna jestem tylko do bardzo drobnych wyborów. Co zjeść na śniadanie: owsiankę czy płatki kukurydziane? A może tylko owoce? Kiwi były w spożywym po piętnaście centów od sztuki i kupiłam pół tuzina. Kiedyś były superegzotyczne, import z Nowej Zelandii, po dolarze. Teraz uprawiają je w całej dolinie Willamette. Chociaż dla kogoś z Nowej Zelandii dolina Willamette może być całkiem egzotyczna. Lubię to wrażenie chłodu, z jakim rozplływają się w ustach. Ich widok też dodaje rzeźkości, gładki zielony miąższ, przez który można wejrzeć do środka, jak w jadesit. Wciąż widzę wszystko wyraźnie i czysto, dopiero gdy przychodzi do ludzi, oczy robią mi się jakby przezroczyste, nikt, tak że nie zawsze dostrzegam, co kto robi, a oni patrzą przeze mnie, na wskroś przez moje oczy, jakby to było tylko powietrze, i pytają: „Cześć, Emma, jak ci się wiedzie?”

Jak ofierze seryjnego mordu, dziękuję.

Ciekawa jestem, co ona widzi, gdy na mnie patrzy. Mnie czy powietrze? Jest nieśmiała i żyje w świecie marzeń. Gdybym tylko mogła o nią zadbać. Ona potrzebuje opieki. Filiżanki herbaty. Ziołowej herbaty, może z eczewerii, bo wydaje mi się, że jej układ odpornościowy wymaga wzmocnienia. Nie jest praktyczna. Ja wręcz przeciwnie. Lokuję się sporo poniżej poziomu jej marzeń.

Lo ciągle mnie widzi. Oczywiście Lo jest seryjnym zabójcą, przynajmniej jeśli chodzi o ptaki i krety, ale chociaż smuci mnie widok nie dobitego ptaka, to jednak co innego niż w wypadku mordercy fotografującego cierpiące ofiary. Pan Hiddenstone powiedział mi kiedyś, że to instynkt każe kotom przynosić żywe myszy albo ptaki, żeby kocięta mogły wprawiać się na nich do polowania, więc to nie okrucieństwo, ale bardzo celowe działanie. Teraz już wiem, że niektóre kocury zabijają kocięta, i nie sądzę, by jakikolwiek kocur wychował kiedyś młode albo celowo uczył je polować. Tym zajmują się kotki. Kocury są jak ten Kuba Rozpruwacz z domu panującego. Jednak Lo został wykastrowany, zatem wobec kociąt zachowywałby się pewnie raczej jak kotka albo dobry wujek i przynosiłby im ptaki, by mogły ćwiczyć instynkt łowiecki. Nie wiem zresztą. Niezbyt garnie się do innych kotów. Trzyma się domu, obserwuje ptaki, krety i mnie. Gdy budzę się w środku nocy i widzę, jak Lo siedzi na łóżku obok mojej poduszki i mruczy, i patrzy na mnie uważnie, wiem, że nie jestem tak do końca niewidzialna. Mam wrażenie, że budzi mnie tym spojrzeniem. Trochę to niesamowite, ale miło jest się tak obudzić, wiedząc, że on mnie widzi, nawet w ciemności.

### *Edna*

No dobrze, a teraz chcę odpowiedzi. Odkąd skończyłam czternaście lat, przez całe życie kształtowałam swoją duszę. Nie wiem, jak inaczej to nazwać, ale tak właśnie o tym myślałam, gdy miałam czternaście lat i zaczęłam o sobie decydować, i dowiedziałam się, czym jest odpowiedzialność. Odtąd nie miałam czasu poszukać na to lepszej nazwy. Być odpowiedzialnym znaczy, że musisz odpowiadać. Nie możesz nie odpowiadać. Możesz nie chcieć, ale musisz. Gdy odpowiadasz, kształtujesz swoją duszę, tak że przybiera jakąś postać, zyskuje na wielkości i na sile. Zrozumiałam to w trzynastym roku życia i na początku czternastego, tej długiej zimy w Siskiyous. No i odtąd robiłam wszystko zgodnie z tym, co rozumiałam. I pracowałam. Robiłam wszystko, co należało zrobić, starałam się, na ile tylko umysł i ciało mi pozwalały. Pracowałam zawodowo, jako kelnerka i urzędniczka, ale przede wszystkim zajmowałam się zwykłymi pracami, wychowywaniem dzieci i prowadzeniem domu, tak że ludzie, z którymi żyłam, mogli się cieszyć dostatkiem, zdrowiem



i spokojem. No i odpowiadałam jeszcze na oczekiwania mężczyzn. To chyba powinno być najważniejsze. Można by sądzić, że nic nie było dla mnie nigdy istotniejsze niż zaspokajanie potrzeb mężczyzn, zadowalanie mężczyzn i zadowalanie siebie, ale dobre nieba wiedzą, jaka to radość móc odpowiedzieć na podobne oczekiwanie, gdy ten, kto prosi, jest miłym mężczyzną. Chociaż wedle mojego porządku rzeczy dzieci były zawsze przed ich ojcami. Może dlatego, że byłam najstarszą córką i miałam cztery siostry, a mój ojciec sobie poszedł. No dobrze, z odpowiedzialnością jest jak mówię, a oto są pytania, na które zawsze poszukiwałam odpowiedzi: czy da się żyć w tym burdelu, jak dobrze wychować dzieci i jak być wiarygodnym.

Ale mam też jeszcze jedno, bardzo własne pytanie. Nigdy nie zadawałam pytań, bo ciągle byłam zajęta odpowiadaniem, ale tej zimy skończyłam sześćdziesiąt lat i myślę, że nadeszła już pora na moje pytanie. Jednak trudno je zadać. Oto ono. Ciągle tylko prowadziłam dom, wychowywałam dzieci, kochałam się, zarabiałam na nasze utrzymanie i myślałam, że przyjdzie taki czas albo znajdę takie miejsce, gdzie wszystko to zejdzie się razem. Słowa, które wypowiedziałam przez całe życie, wszystko, co zrobiłam. Takie rozrzucone słowa, jedno tu, drugie tam, zejdą się wreszcie w zdanie, które będę mogła odczytać. Z niego dowiem się, po co właściwie kształtowałam moją duszę.

Bo ukształtowałam moją duszę i nie wiem, co z nią począć. Komu ona jest potrzebna? Żyję już sześćdziesiąt lat. Cokolwiek jeszcze będę robić, to będzie to samo co dotąd, tylko coraz mniej, bo słabnę, zaczynam podchorowywać i kurczyć się. Wszystko co moje i wkoło mnie będzie się kurczyć, aż umrę. Nieważne, co robiłam czy wiem. Słowa nic nie znaczą. Powinnam porozmawiać o tym z Emmą. Ona jedna nie mówi niczego w rodzaju „Masz tyle lat, na ile się czujesz” albo „Ty nigdy się nie zestarzejesz, Edna”. Żadnych takich bzdur. Toby Walker też by tak nie gadał, ale on w ogóle mało mówi. Zatrzymuje swoje zdanie dla siebie. Te moje dzieciaki, które jeszcze tu mieszkają, znaczy Archie i Sook, nie chcą nic o tym słyszeć. Młodzi nie wierzą, że można się zestarzeć.

Czy więc cała odpowiedzialność, którą na siebie bierzesz, jest użyteczna w swoim czasie, a potem już nie? Nadaje się tylko do wyrzucenia? Więc jaki z tego pożytek? Wszystko, co się zrobiło, po prostu ginie i nic z tego nie wynika. Chociaż może się mylę. Mam nadzieję, że się mylę, chciałabym bardziej wierzyć, że umieranie ma sens. Może jednak warto, tak jak warto odpowiadać czy przenosić się w nowe miejsce. Tak właśnie czułam tamtej zimy w Siskiyou, gdy szłam po zaśnieżonej drodze pomiędzy czarnymi, na poły stopionymi i znów zamarzniętymi zaspami, pod niebem pełnym gwiazd. Byłam wielka jak wszechświat, byłam tym samym co wszechświat. Wiedziałam, że dalej na tej drodze czeka mnie chwała. Że z czasem do niej dojdę. Wiedziałam. I dlatego kształtowałam swoją duszę. Dla chwały.

I wiele jej zaznałam. Nie jestem niewdzięczna. Ale to wszystko minęło. Nie zebrało się razem, żeby stworzyć solidne miejsce do życia, dom. Przeminięło, a lata płyną. Co zostaje? Kurczyć się i zapominać, myśleć o tym, co boli, o nadkwasocie, raku, słabnącym pulsie i guzach na wielkich palcach u nóg. Czekać, aż cały świat zamknie się w jednym cuchnącym uryną pokoju. Czy ku temu szłam? Do tego prowadziły lata pracy, tego znakiem były kopnięcia nie narodzonych jeszcze dzieci i późniejsze ich spojrzenia, kochające dłonie, szalone wycieczki, blask światła nad wodą i jasne gwiazdy ponad śniegiem? Gdzieś w tym wszystkim musi jednak się kryć odrobina chwały.

### *Eruin Muth*

Od dłuższego czasu obserwuję pana „Toby’ego” Walkera. Niejedno sprawdziłem i gdyby mnie kiedyś spytano, mógłbym właściwie z całkowitą pewnością powiedzieć, że „pan Walker” nie jest Amerykaninem. Moje badania doprowadziły mnie nawet dalej, jednak są takie obszary, takie „szare strefy”, których większość ludzi nie potrafi ogarnąć bez przygotowania. To wymaga długiej praktyki.

Zwróciłem na niego uwagę przede wszystkim za sprawą tego, co znalazłem w archiwum miejskim podczas kwerendy prowadzonej w zupełnie innej sprawie. Starczy powiedzieć, że sprawdzałem tytuł własności ziemi Fane'ów w czasie, gdy pani Osey Jean Fane przekazała swój majątek w ręce Ervina Mutha Relaty'ego, czyli moje. Chodziło o toczony w 1939 roku spór dotyczący przebiegu wschodniej granicy terenu Fane'ów. Ponieważ zawsze byłem drobiazgowy i hołdowałem odpowiedzialnemu podejściu do podobnych spraw, wziąłem i sprawdziłem co trzeba. Ku swemu zdumieniu odkryłem, że przyległa parcela została już w 1906 roku opisana jako własność Tobinye Walkera. Tysiąc dziewięćset szósty! Oczywiście przyjąłem wówczas, że ten „Tobinye Walker” był ojcem „pana Toby'ego Walkera”, i więcej o tym nie myślałem, aż kwerenda w całkiem innej sprawie, bo dotyczącej parcel Essel/Emmer, doprowadziła mnie do odkrycia, że w archiwum miejskim znajdują się dokumenty wymieniające „Tobinye Walkera” jako nabywcę przedsiębiorstwa wynajmu koni mieszczącego się na tej samej parceli (czyli przy Main St. pomiędzy Rash St. a Goreman Ave.) w roku 1880.

Krótko potem kupowałem pewne niezbędne drobiazgi w sklepie spożywczym Needlessa i zdarzyło się, że zetknąłem się tam z panem Walkerem osobiście. Jako że byłem żartobliwie usposobiony, wspomniałem, że miałem ostatnio do czynienia z jego ojcem i dziadkiem. Uczyniłem to oczywiście tylko ze zwykłej uprzejmości. Ku memu zdumieniu pan „Toby” Walker zareagował w sposób, który skłonny byłbym uznać za podejrzliwy. Tak jakbym niezmiernie go zaskoczył. Chociaż ostatecznie zareagował śmiechem. Z całym zdecydowaniem mogę zaświadczyć, że wyraził się jak następuje: „Nie wiedziałem, że potrafi pan podróżować w czasie!”

Następnie spróbowałem wypytać go jak najdokładniej o inne osoby noszące to samo nazwisko, na których ślad natrafiłem podczas moich badań związanych z czynnościami urzędowymi. Zostałem zbyty takimi uwagami, jak: „Wie pan, mieszkam tu już trochę” oraz „Pamiętam, jak Lewis i Clark tędy przechodzili”, co miało się odnosić do znanych i szanowanych odkrywców, którzy wytyczyli Szlak Oregoni. Jak później ustaliłem, przebywali oni w stanie Oregon w 1806 roku.

Niedługo potem pan Toby Walker odszedł, kończąc tym samym rozmowę.

Jestem głęboko i niebezpiecznie przekonany, że „pan Walker” jest nielegalnym imigrantem z obcego kraju i że przywłaszczył sobie nazwisko ojca założyciela naszej świetnej społeczności, a mianowicie Tobinye Walkera, który kupił w roku 1880 przedsiębiorstwo wynajmu koni. Mam po temu swoje powody.

Moje badania wykazały ostatecznie, że wysłana przez prezydenta Th. Jeffersona wyprawa Lewisa i Clarka nie przechodziła przez żadną z okolic zajmowanych przez Ether w całych dziejach miasta. Ether nigdy nie posunęło się tak daleko na północ.

Jeśli Ether ma się rozwinąć i dopełnić swego przeznaczenia jako popularne uzdrowisko, perła wybrzeży i pustyni Oregonu, stać się, jak to widzę, centrum rozrywki i rekreacji przedsiębiorczej części społeczeństwa, miastem z licznymi motelami i w pełni wyposażonymi parkingami dla przyczep kempingowych oraz parkiem tematycznym, to podejście reprezentowane przez „pana” Walkera będzie musiało odejść w niepamięć. Amerykański sposób życia opiera się na nieustannym kupowaniu i sprzedawaniu domów oraz posesji i przenoszeniu się z miejsca na miejsce, by zdobyć wyższy status społeczny i majątkowy, a także doskonalić swą osobę. Stagnacja jest wrogiem amerykańskiego sposobu życia. Ta sama osoba posiadająca jedną i tę samą parcelę nieprzerwanie od 1906 roku to zjawisko nienaturalne i nieamerykańskie. Ether jest amerykańskim miastem i cały czas się przemieszcza. Takie jest jego przeznaczenie. W tej kwestii uważam się za eksperta.

Wiecznie jestem zakochana. Kochałam się w tym francuskim aktorze imieniem Gerard, chociaż nazwisko miał zupełnie nie do wymówienia. Francuzi mnie pociągają. Gdy oglądałam powtórki *Star Treku. Następnego pokolenia*, kocham kapitana Jean-Luca Picarda, ale nie mogę się też oprzeć komandorowi Rikerowi. Gdy miałam dwanaście lat, kochałam się w Heathcliffie, bo panna Freff dała mi *Wichrowe wzgórza* do przeczytania. I kochałam się w Stingu, zanim zdziwaczał. A czasem wydaje mi się, chociaż to dziwne, że kocham też porucznika Worfę, co ma tyle zmarszczek i rogi na czole, bo jest Klingonem, no ale nie to jest dziwne. Chcę powiedzieć, że on tylko w telewizji jest obcym. Naprawdę to człowiek nazwiskiem Michael Dorn. Więc to jest dla mnie dziwne. Bo nigdy nie widziałam nikogo naprawdę czarnego, prócz filmów i telewizji, oczywiście. Wszyscy w Ether są biali. Więc ktoś czarny byłby tu naprawdę obcym. Ciekawe, co by było, gdyby taki jak on wszedł tu pewnego dnia do drugstore'u – taki bardzo wysoki, z ciemnobrązową skórą i czarnymi oczami, i tymi bardzo wydatnymi wargami, które na oko bardzo łatwo jest skaleczyć – i poprosił o coś głębokim, bardzo głębokim głosem. Na przykład: „Czy dostanę aspirynę?” I pokazałabym mu, gdzie leży aspiryna i podobne środki. Stałby obok mnie przed regałem, naprawdę duży i wysoki, i ciemny, a ja czułabym ciepło płynące od niego jak od żelaznego piecyka na drewno. Powiedziałaby do mnie bardzo niskim głosem: „Nie jestem stąd”. A ja bym odpowiedziała: „Ja też nie”. A on: „Chcesz jechać ze mną?” Tyle że tak bardzo uprzejmie i fajnie, nie jak ktoś, kto nagabuje czy chce naciągnąć. Rozmawialibyśmy jak dwoje więźniów zamawiających się szeptem, żeby uciec razem z więzienia. Ja bym skinęła głową, a on by powiedział: „To o zmroku na stacji benzynowej”.

O zmroku.

Kocham to słowo. Zmrok. Jest jak barwa jego głosu.

Czasem dziwnie się czuję, gdy tak o nim myślę. No bo on naprawdę istnieje. Gdyby był tylko Worfem, to OK, bo Worf jest obcym w jednym starym, powtórkowym serialu. Ale on jest prawdziwym Michael Dornem. Więc wymyślanie o nim różnych historii jest trochę nie w porządku, bo to tak, jakbym widziała w nim zabawkę, coś, z czym mogę zrobić, co zechcę, jak z lalką. I to wydaje mi się trochę nie w porządku wobec niego. I czuję się zakłopotana, gdy pomyślę, że przecież on ma swoje własne życie i nic go nie łączy z jedną głupią dziewczyną z prowincjonalnej miejsciny, o której nigdy nawet nie słyszał. Wtedy próbuję znaleźć kogoś innego do takich historii. Ale mi nie wychodzi.

A tak naprawdę to próbowałam tej wiosny zakochać się w Morriem Strombergu, ale się nie udało. Jest piękny, a gdy zobaczyłam, jak rzuca do kosza, pomyślałam, że może mogłabym się w nim zakochać. Ma długie, smukłe ręce i nogi, rusza się płynnie i ma krótkie, jasne włosy, jest opalony. Ale łądzi zawsze tylko z paczką Joego i rozmawia wyłącznie o sporcie i samochodach, a raz mówił w klasie z Joem o mnie i słyszałam, jak powiedział między innymi: „Starra jest OK, ale wiesz, ona czyta książki!” Nie, żeby mną pogardzał, on mówił to tak, jakbym była obcym z innej planety, kimś całkowicie, kompletnie odmiennym. Tak jak mógłby się tu czuć Worf albo Michael Dorn. Bo to OK znaczyło, że może ona jest OK, ale na pewno nie tutaj. Nie pasuje. Gdzie indziej to proszę, tam może sobie być OK. A przecież czy nie mieszkali tu kiedyś Indianie? I wcale już ich tutaj nie ma, prawda? Więc kto tu jest na swoim miejscu? I co to w ogóle za gadanie?

Jakiś miesiąc temu mama powiedziała mi, czemu odeszła od mojego ojca. Ja tego nie pamiętam. W ogóle nie pamiętam żadnego ojca. Nie pamiętam niczego sprzed Ether. Powiedziała, że mieszkaliśmy w Seattle. Mieli sklep, w którym sprzedawali kryształy, olejki aromatyczne i różne rzeczy związane z New Age. Gdy wstała pewnej nocy, żeby pójść do łazienki, on był w moim pokoju i obejmował mnie. Chciała mi dokładnie opowiedzieć, co robił i o co chodziło, ale wtrąciłam się: „Znaczy molestował mnie”. Ona powiedziała, że tak. „I co zrobiłaś?” spytałam. Myślałam, że zrobiła

mu potem wielką awanturę, ale ona powiedziała, że nic nie powiedziała, bo się go bała. „Widzisz, on uważał mnie i ciebie za swoją własność. A gdy się postawiłam, wściekł się”. Sądzę, że w ogóle musiało być między nimi kiepsko, bo o tym akurat coś wcześniej wspominała. Tak czy inaczej, następnego dnia spakowała trochę kryształów i innego towaru, który trzymali w domu, wciąż to mamy, wzięła część pieniędzy z puszek w kuchni, bo chowała je tam tak samo jak tutaj, i wyszła ze mną na autobus do Portlandu. Potem ktoś znajomy przywiózł ją tutaj. Nic z tego nie pamiętam. Dla mnie to tak, jakbym się tutaj urodziła. Spytałam, czy próbował jej kiedykolwiek szukać, a ona powiedziała, że nie wie, ale gdyby spróbował, to trudno by mu było ją znaleźć. Zmieniła nazwisko na Amethyst, bo ametyst to jej ulubiony kamień. Walinow była z domu. Mówi, że to polskie nazwisko.

Nie wiem, jak on się nazywał. Nie wiem, co zrobił. Nie obchodzi mnie to. Dla mnie to tak, jakby nic się nie stało. Nigdy nie zostanę niczyją własnością.

Wiem za to, że będę kochać ludzi. Oni nigdy się o tym nie dowiedzą, ale i tak będę w tym dobra. Wiem już, jak do tego dojść. Ćwiczyłam. Taka miłość nie jest jak wtedy, gdy należysz do kogoś lub ktoś należy do ciebie i tak dalej. To akurat zrobiła Chelsey, gdy wyszła za Tima, bo chciała mieć wesele i męża, i kuchnię z podłogą, której nie trzeba woskować. Chciała posiadać.

Ja nie chcę posiadać, ja chcę po prostu kochać. Jak teraz, gdy mieszkamy z mamą w tej budzie, gdzie brakuje nie tylko nowoczesnej podłogi w kuchni, ale i samej kuchni nie ma, gdzie wszędzie stoją kryształy i pełno jest kocich sików od tych dziczków, co je mama przygarnia, a mama sprząta w salonie piękności Myrelli i dostaje pryszczki na twarzy, bo je batoniki zamiast normalnego jedzenia. Mama musi się z tym mordować, ale ja mam wybór i chcę żyć inaczej.

Myślałam, że jakimś sposobem na miłość będzie seks, więc zaczęłam go uprawiać zeszłego lata z Dannym. Mama kupiła nam kondomy, ustawiła na stole woskową świecę i wzięła mnie za rękę, tak że świeca była między nami w środku, i opowiedziała mi o Przejściu w Kobięcość. Chciała, żeby Danny też z nami był, ale jej wyperswadowałam. Seks był OK, ale mnie zależało na miłości. Nie wyszło. Może to był zły sposób. On przyzwyczał się do tego, że uprawiamy seks, i przychodził potem przez całą jesień, mówiąc: „Wiem, że tego potrzebujesz, dziecinko”. Ani razu nie powiedział, że to on tego potrzebuje. Gdybym ja tego potrzebowała, mogłabym sama zrobić to o wiele lepiej niż on. Ale mu tego nie powiedziałam. Byłam już tego bliska, gdy nie chciał zostawić mnie w spokoju po tym, gdy mu powiedziałam, żeby przestał. Gdyby nie zaczął w końcu chodzić z Daną, pewnie by to w końcu usłyszał.

Nie znam tu nikogo więcej, w kim mogłabym się zakochać. Chciałabym spróbować z Archiem, ale jaki sens próbować, gdy on jest z Gracie Fane? To byłoby głupie. Myślałam, żeby poprosić przy najbliższej okazji pana Hiddenstone’a, ojca Archiego, żeby dał mi popracować na swoim ranczu. Mogłabym przyjeżdżać w odwiedziny do mamy, a może spotkałabym tam jakichś chłopców do pomocy albo kowbojów. Albo i Archie przyjechałby kiedyś bez Gracie. Zresztą jest jeszcze sam pan Hiddenstone. Bardzo przypomina Archiego. Jest nawet przystojniejszy. Ale chyba za stary. Ma twarz jak pustynia. Zauważyłam, że jego oczy są tej samej barwy co turkusowy pierścionek mamy. Ale nie wiem, czy potrzebuje kogoś do gotowania, a w ogóle moje piętnaście lat to chyba dla niego za mało.

### *J. Needless*

Nie mam pojęcia, skąd przybyli hohowarowie. Ktoś powiedział, że z Białorusi. Może być. To by pasowało. Wszyscy są wysocy i mocno zbudowani, mają włosy tak jasne, że aż białe, i małe, błękitne oczy. Nigdy nie patrzą wprost na ciebie. Nosy mają jak młode kartofelki. Ich kobiety w ogóle się nie odzywają. Dzieci też nie, a mężczyźni, jak już coś powiedzą, to brzmi to mniej więcej tak: „Wa uże łeby, czy uszki łowowiny”. Nigdy nie mówią cześć ani do widzenia, nigdy nie dziękują.

Ale są uczciwi. Płacą od razu, gotówką. W miasteczku zawsze pojawiają się ubrani od stóp do głów, kobiety i dziewczynki, wszystkie tak samo, w długich i sztywnych sukniach z masą ozdób na samym dole i wokół rękawów. Nawet te najmłodsze, zupełne dzieciaki, one też. I chodzą jeszcze w czymś, co przypomina babciny czepek. Kryją pod nim włosy. Dzieci nie podnoszą oczu. Mężczyźni i chłopcy w długich spodniach i koszulach, i płaszczach. Nawet tutaj, na pustyni, gdzie w lipcu jest sto pięć stopni. Trochę jak amisz na Wschodnim Wybrzeżu. Tyle że hohowarowie używają guzików. I to w dużej ilości. Te niby kamizelki, co to ich kobiety je noszą, mają każda pewnie po tysiąc guzików. Rozporki mężczyzn to samo. W razie potrzeby muszą się solidnie napracować. I naczekać. Ale wszyscy mówią, że jak hohowarowie wracają do siebie, to guziki przestają im sprawiać kłopoty. Wszystko idzie precz. Rozbierają się do naga i idą do kościoła. Tom Sunn przysięga, że ich tak widział. Corrie też. Podobno przekradała się tam nieraz w niedziele, razem z innymi dzieciakami, żeby popatrzeć, jak hohowarowie idą całkiem nadszy za wzgórze i śpiewają w swoim języku. To musi być widok, kiedy wszystkie te wysokie, masywne białoskóre kobiety z wielkimi zadami i cyckami jak melony paradują za górkę. I na dodatek boso. Co, u diabła, robią w tym kościele, to już nie wiem. Tom mówi, że cudzołożą, ale Tom Sunn też gównem widział. Wszyscy gadają swoje, a nikt, kogo znam, nie był nigdy za wzgórzem.

W niektóre niedziele słyszeć, jak śpiewają.

W Ameryce religia to ciekawa sprawa. Według chrześcijan tylko jedna coś znaczy, ale na mój rozum to każda znaczy swoje. Nawet tutaj, w Ether, mamy wedle mojej wiedzy baptystów, co oczywiste, metodystów, Kościół Chrystusowy, luteran, prezbiterian, katolików, chociaż w mieście nie ma ich kościoła, kwaków, jednego świeckiego Żyda, wiedźmę, hohowarów i stado wielbicieli jakiegoś guru, czy kto tam siedzi na folwarku. A nie liczę tych wszystkich, w sumie większości, którzy nie są związani z żadną religią i co najwyżej czasem najdzie ich ochota, żeby się poudzielać.

To zastanawiająca różnorodność jak na miasto tej wielkości. Co więcej, ludzie zagląдают do różnych kościołów. Sprawdzają, co się w nich dzieje, krążą. Może to natura naszego miasteczka tak nas napędza. Niemniej ludzie w Ether zwykle żyją dość długo, choć nie tak długo jak Toby Walker. Mamy czas, żeby popробować rozmaitych rzeczy. Moja córka Corrie była jako nastolatka baptystką, potem zakochała się w Jimie Fry'u i przeszła na metodyzm, a potem jeszcze na luteranizm. Wzięła sobie męża metodystę, ale teraz należy do kwaków i czyta jakąś ich książkę. Ale i to może się zmienić, bo ostatnio rozmawiała z wiedźmą, panią Pearl W. Amethyst, i czytała inną książkę, zatytułowaną *Kryształ i ty*.

Edna mówi, że ta druga książka to wszystko bzdury. Ale Edna zawsze była bardziej niezależna od innych.

Ona jest moją religią. Tak myślę. Nawróciłem się na nią lata temu.

Co do ludzi z folwarku, tych od guru, to narobili trochę zamieszania, gdy przyjechali dziesięć lat temu. Chociaż teraz to już raczej dwadzieścia. No tak, to było gdzieś tak w latach sześćdziesiątych. Jak pomyśleć, to wychodzi, że siedzą już u nas dość długo. Żyła jeszcze wtedy moja żona. No więc u tych z folwarku religia miesza się z polityką. Co nie znaczy, że z innymi religiami jest całkiem inaczej.

Gdy przyjechali do Ether, mieli masę forsy do wyrzucenia, chociaż po mojemu jej nie marnowali. Kupili stary folwark i trzydzieści akrów przyległego pastwiska. Ogrodzili wszystko płotem i głowę dam, że podłączyli go do prądu. I nie myślę o takim prądzie, którym straszy się cielaki, to pewnie kopie tak, że słonia by zabiło. Przebudowali folwark, dodali stajnie i baraki, podłączyli nawet generator. Wszyscy w środku mieli dzielić się wszystkim po równo z każdym wewnątrz ogrodzenia. Tyle że jak patrzyło się zza płotu, to guru chyba wydzielał sobie równiej niż

reszcie. To był właśnie ten polityczny podtekst. Socjalizm. Morowy socjalizm. Szczury go przenoszą i nie ma na niego szczepionki. Mówię wam, ludzi to ruszyło. Zupełnie jakby już w przyszły wtorek miały zwalić się tu w komplecie masy ludowe zza żelaznej kurtyny i jeszcze wszyscy hipisi z Kalifornii na dokładkę. Niektórzy zaczęli przebąkiwać o ściągnięciu Gwardii Narodowej, żeby broniła praw obywatelskich. Ja wolę już hipisów od Gwardii. Oni nie są uzbrojeni. Podobno zabijają samym smrodem. W końcu jednak utrwalił się stan oblężenia. Duchowego. Oni oblegają nas zza ogrodzenia ze swoim socjalizmem, a my ich od zewnątrz, z naszymi prawami obywatelskimi, żeby być białym i nie być cudzoziemcem, i nie dzielić się wszystkim z kim popadnie.

Z początku wyznawcy guru przychodzili do miasteczka ubrani w pomarańczowe T-shirty. Robili trochę zakupów, rozmawiali uprzejmie, zapraszali młodych do siebie. Wtedy nazywali swój folwark ośrom. Corrie opisała mi ich ołtarz z nagietkami i wielką fotografią guru Jaya Jaya Jaya. Ale nie byli naprawdę przyjaźni i ludzie nie przyjęli ich zbyt dobrze. Szybko przestali się pojawiać w mieście, jeździli tylko gdzieś pomarańczowymi buickami. Podobno ten ich Jaya Jaya Jaya miał przyjechać z Indii, żeby odwiedzić ich ośrom. Nigdy się nie pojawił. Podobno zamiast tutaj, pojechał do Ameryki Południowej i założył ośrom dla starych nazistów. Starzy naziści mają pewnie więcej pieniędzy, by się z nim dzielić. Więcej niż młodzi Oregończycy. A może nawet i przyjechał, ale nie znalazł swojego ośromu tam, gdzie mu powiedzieli, że jest.

Przykro było patrzeć, jak T-shirty im płowieją, a buicki sypią się i psują. Teraz zostały im chyba góra dwa samochody na dziesięć czy piętnaście osób. Reszta odeszła. Wciąż uprawiają ogród warzywny, a w nim oberżynę, wszystkie rodzaje pieprzu, dynie, melony, pomidory, kukurydzę, fasolę, zwykłą zieleninę, a także borówki, truskawki i poziomki. Nawet dobrze im wychodzi. Żeby zbierać plony w miejscu, gdzie klimat zmienia się z dnia na dzień, trzeba naprawdę coś umieć. Zrobili wspaniały system nawadniający i nie trują ziemi. Widziałem, że ręcznie zbierali szkodniki z roślin. Parę lat temu dogadałem się z nimi, że będą zaopatrywać mój dział warzywny, i nie żałują. Tym bardziej że Ether powinno być samowystarczalne. Ile razy umawiałem się z dostawcami z Cottage Grove czy Prineville, zawsze nas przerzucało. Musiałem dzwonić i przeproszać, że niestety, ale w tym tygodniu znowu jesteśmy po drugiej stronie gór, nie wezmę tych kantalup. Handlowanie z wyznawcami guru jest łatwiejsze. Ich miota razem z nami.

W co takiego wierzą poza zdrową uprawą żywności, tego już nie wiem. Ten ich guru Jaya Jaya Jaya ma pewnie jakieś sztywne przekonania, oni jednak wydają się gotowi uwierzyć w cokolwiek. Niech tam, ja wierzę w Ednę.

### *Archie Hiddenstone*

Tata wczoraj znów błąkał się po mieście. Zajrzał na chwilę, żeby sprawdzić, czy nie cofnęło nas przypadkiem na wschód. Ostatecznie wyprowadził swojego starego forda na drogę do Eugene, żeby wrócić drogą McKenzie River na ranczo. Powiedział, że chętnie zostałby dłużej, ale wtedy Charlie Echeverria na pewno napytałby jakiejś biedy. Tata nie lubi opuszczać gospodarstwa na dłużej niż dwie doby. Trochę trudno mu dojeżdżać, gdy przenosimy się aż na wybrzeże, jak teraz.

Wiem, że by chciał, abym z nim wrócił. Pewnie powinienem. Powinienem z nim mieszkać. Mamę mógłbym widywać za każdym razem, gdy Ether znajdowałoby się w pobliżu. Tyle że jest inaczej. A przecież powinienem sam z siebie wiedzieć, czego chcę. Powinienem pójść na studia. Wyjechać z tego miasta. Wydostać się stąd.

Gracie pewnie i tak mnie nie zauważa. Nie robię niczego, co by ją interesowało. Nie jeżdżę półciężarówką.

Powinienem się nauczyć. Gdybym prowadził, toby mnie zauważyła. Mógłbym dojeżdżać do

Ether z piątej międzystanowej albo z osiemdziesiątej czwartej, skądkolwiek. Jak ten dupek, który zatrzymywał się tu przez całe zeszłe lato. Oszalała na jego punkcie. Ciągłe zaglądał do Seven-Eleven po gatoradę. Nazywał mnie chłopcem. Chłopcze, wydaj mi resztę w ćwierćdolarówkach. Ona siedziała w tym czasie w jego osiemnastokółowcu i bawiła się dźwignią biegów. Nigdy nie weszła. Nawet nie spojrzała. Wyobrażałem sobie, że siedzi tam bez dzinsów. Gołym tyłkiem na fotelu. Nie wiem, czemu tak myślałem. Chociaż może faktycznie była bez spodni.

Nie chcę prowadzić tej przeklętej, cuchnącej półciężarówki, nie chcę karmić stada bydła na przeklętej pustyni. Ale nie chcę też sprzedawać przeklętych batoników trzepniętym babom z purpurowymi kłakami. Powinienem pójść na studia. Nauczyć się czegoś. Prowadzić sportowe samochody. Naprawdę mam sprzedawać gatoradę do usranej śmierci? Powinienem stąd gdzieś wyjechać. Naprawdę Gdzieś.

Śniło mi się, że księżyc jest z papieru. Potarłem zapalną i podпалиłem go. Zajął się jak gazeta. Płonące strzępki zaczęły opadać na dachy. Mama wyszła ze spożywczego i powiedziała: „Ocean się zapali”. Wtedy się obudziłem i usłyszałem szum oceanu, który zajął miejsce wzgórz porośniętych krzakami sagowca.

Chciałbym, żeby tata mógł być ze mnie dumny gdziekolwiek, byle nie na ranczu. Ale on mieszka tam i tylko tam. Nie prosi mnie nawet, żebym z nim pojechał. Wie, że nie pojedę. Chociaż powinienem.

### *Edna*

Och, jakże moje dzieci szarpią mi duszę, zupełnie jak wcześniej ciągnęły za piersi. Aż chcę krzyknąć: Przestańcie! Nic już nie mam, wszystko wyszło! Wyczerpaliście mnie do ostatniej kropli już lata temu! Kochany głupi Archie, biedny chłopak. Cóż ja mogę dla niego zrobić. Jego ojciec znalazł swoją pustynię. A Archie ma tylko małą oazę, którą boi się opuścić.

Śniło mi się, że księżyc jest z papieru, a Archie wyszedł na dwór z pudełkiem zapalek i próbował go podpalić, a ja wystraszyłam się i uciekłam do morza.

Z morza wyszedł Ady. Tego ranka na plaży były tylko jego ślady, prowadziły od linii przyboju. Ostatnio akurat o nim myślałam. Wciąż o nim myślę. O Needlessie. Nie wiem czemu. Może dlatego, że nigdy za niego nie wyszłam. Dlaczego wyszłam za paru innych, pojęcia nie mam. Nie potrafię powiedzieć, jak do tego doszło. Może bez powodu. Zresztą czy ktoś by się domyślił, że spałam z Tomem Sunnem? Ale jak mogłam odmówić komuś w tak rozpaczliwej potrzebie? Ile razy zobaczył mnie po drugiej stronie ulicy, rozporek aż mu się ruszał. Chociaż spanie z nim było jak nocleg w jaskini. Ciemno, niewygodnie, same echa, a gdzieś w głębi czochrają się niedźwiedzie. I jeszcze kości na ziemi. Ale ogień płonął. Tak naprawdę to w duszy Toma płonie wielki ogień, chociaż on o tym nie wie. Nie dorzuca mu paliwa, dusi go w wilgotnych popiołach i sam jest dla siebie jaskinią. I po wszystkim siedzi w niej, obgryzając kości. Kobięce kości.

Jednak Mollie jest zagwią, która zajęła się od jego ognia. Brakuje mi Mollie. Gdy znów się znajdziemy na wybrzeżu, pojedę do Pendleton zobaczyć ją i wnuki. Ona się tu nie zjawia. Nigdy jej się nie podobało, że Ether wędruje. To osiadła dusza. Mówi, że przez te ciągłe przenosiny obawiałyby się o dzieci. Chociaż jej nigdy to nie zaszkodziło. Po prawdzie sprzeciwia się temu Erie. To snob. Urzędnik więzienny. Też mi praca. Co wieczór wraca z miejsca, gdzie trzyma się ludzi pod kluczem. A może nawet w kajdanach i z kulą u nogi. Kto by chciał z tym pływać, zaraz by utonął.

Zastanawiam się, skąd mógł wypłynąć Ady. Gdzieś z głębi. Kiedyś powiedział, że jest Grekiem i że pracował na australijskim statku. Innym razem, że mieszkał na wyspie na Filipinach, gdzie mówili językiem, którego nie znają nigdzie indziej. Mówił też, że urodził się w czólnie na morzu. To

wszystko może być prawda. Albo i nie. Może Archie powinien pójść na morze. Wstąpić do Marynarki lub Straży Wybrzeża. Chociaż nie, utonąłby.

Tad wie, że nigdy nie utonie. To syn Ady'ego, może oddychać pod wodą. Ciekawe, gdzie teraz jest. To też dokuczają, gdy nie wiadomo, co dzieje się z dzieckiem. Tyle że ten ból przestajesz zauważać, bo on nigdy nie mija. Czasem jednak zmusza cię, żeby odwrócić głowę i spojrzeć w innym kierunku. Jak ciernisty krzak, co nagle uczepli się człowieka i zatrzyma w marszu. Albo prąd morski. W ten sam sposób Księżyc wywołuje pływy.

Wciąż myślę o Archie, myślę o Needlessie. O tym drugim, odkąd zauważyłam, jak patrzy na Sook. Wiem, o co chodzi. To ten sen, który miałam zaraz po śnie o Archie. Śniłam coś, co trudno uchwycić, coś o bardzo długiej plaży, na której leżałam. Tak jakby wyrzuciło mnie na brzeg. Właśnie, dokładnie tak. Byłam sama i nie mogłam się ruszać. Wysychałam, ale nie potrafiłam wrócić do wody. I wtedy zobaczyłam daleko na plaży kogoś, kto szedł w moim kierunku. Na piasku ciągnęły się przed nim jego ślady. Stawiał stopy dokładnie na nich, a gdy je unosił, ślady znikają. Szedł prosto na mnie i wiedziałam, że jeśli do mnie dojdzie, będę mogła wrócić do wody i ocaleję. Gdy był już blisko, poznałam, że to on. Needless. Dziwny sen.

Gdyby Archie poszedł na morze, utonąłby. To szczer lądowy. Jak jego ojciec.

Sook natomiast jest córką Toby'ego Walkera. Ona o tym wie. Sama mi kiedyś wspomniała. Ja jej tego nie powiedziałam. Sook chodzi własnymi drogami. Nie wiem, czy on o tym wie. Pewnie nie. Sook ma moje oczy i włosy. Poza tym w tamtym czasie było jeszcze kilka innych możliwości, a ja nie uważam, żeby należało o tym mówić mężczyźnie, o ile nie spyta. Toby nie spytał przez to, co myśli o sobie. Ale ja dokładnie wiem, której nocy i w której chwili ją poczęliśmy. Czułam dziecko rzucające się we mnie niczym ryba w morzu, jak łosoś płynący w górę rzeki. Lśniący, przeskakujący skały i progi. Toby powiedział mi, że nie może mieć dzieci, „nie z żadną normalną kobietą” – mówił ze smutkiem w oczach. Tamtej nocy o mało co powiedziałby mi, skąd jest. Ale nie spytałam. Może przez to, co myślę o sobie, że mam tylko to swoje życie i żadnego wyboru, żadnej możliwości, by wybrać się w takie tajemne miejsca.

Tak czy owak, powiedziałam mu, że to nieważne, bo ja się czuję, jakby sama myśl mogła mnie zapłodnić. I według mnie tak właśnie się stało. Wymyśliłam Sookie i urodziła się czerwona jak łosoś, szybka i lśniaca. Jest najpiękniejszym dzieckiem, dziewczyną, kobietą. Po co miałyby zostawać tutaj, w Ether? Żeby skończyć jako stara nauczycielka, jak Emma? Albo na stacji benzynowej czy przy kasie w spożywczym? Kogo tu może spotkać? No dobrze, Bóg wie, ilu ja spotkałam. Ale ona mówi, że podoba jej się w Ether. Że lubi, kiedy nie wie, gdzie się obudzi. Jest jak ja. Ale i tak boli, dręczy mnie ta sucha tęsknota. Chyba miałam za wiele dzieci. Ciągłe patrzę to tu, to tam, kręcę się jak kompas, któremu ciągle północ gdzieś przestawiają. Jednak w końcu zawsze idę w jednym i tym samym kierunku i wstawiam stopy w moje ślady, które znikają, gdy podniosę nogę.

Długa jest droga od gór. Stopy mnie bolą.

### *Tobinye Walker*

Powiadają, że człowiek jest zwierzęciem, które liczy czas. Ciekawe. Jesteśmy ograniczeni czasem. Wiąże nas. Przenosimy się z miejsca na miejsce, ale w czasie możemy podróżować tylko w pamięci, snach, marzeniach i wieszczych widzeniach. Za to czas podróżuje w nas. Wykorzystuje nas jak autostradę. Podąża nią bez ustanku i zawsze w jednym kierunku. I nie ma z tej autostrady żadnych zjazdów.

Mówię „my”, bo jestem naturalizowanym obywatelem. Nie od zawsze. Kiedyś czas był dla mnie



tym, czym tyły domu dla kota Emmy. Płoty betka, granice nieważne. Jednak zmusiło mnie, żeby się zatrzymać, osiąść, przylączyć do tutejszych.

Przyznaję, że zastanawiałem się, czy to nie ja sprawiam, że Ether wędruje, zamiast trzymać się jednego miejsca. To może być skutek mojego wypadku. Czy utraciwszy zdolność normalnego chodzenia, nie wymuszam przypadkiem zmiany lokalizacji całego miasta? Czy te podróże nie są skutkiem końca moich podróży? Jednak nawet jeśli tak, to nie wiem, na czym to polega. Na oko się zgadza, jest logiczne, ale chyba jednak nie tak. Chociaż może tylko uchylam się od odpowiedzialności. Niemniej, od kiedy tylko pamiętam, Ether było zawsze prawdziwie amerykańskim miastem, którego nigdy nie ma tam, gdzie je zostawiłeś. Nawet gdy tu mieszkasz, też jest ciągle gdzie indziej, niż myślisz. Ciągle nieobecne, niespokojne. Zawsze gdzieś za górami, w jednym wymiarze nadrabia to, czego nie dostaje mu w drugim. Gdyby tak się nie poruszało, dawno już powstałyby tu jakieś markety. A tak nie mogą za nim nadążyć i nikt się już nie dziwi, że znów zniknęło. Oto brzemię białego człowieka. I nie ma gdzie go złożyć. Wyjechać możesz stąd bez problemu, ale powrót to trudna sprawa. Wracasz, skąd wyjechałeś, a zastajesz tylko parking dla budowanego właśnie marketu i olbrzymiego żółtego kłowna. Wyszczerezonego i w całości z baloników. To wszystko? pytasz sam siebie. Lepiej w to nie wierz, bo naprawdę tyle tylko ci zostanie: kawał asfaltu, trochę pustaków i zamazane zdjęcie uśmiechniętego chłopca. Ten chłopiec został zamordowany razem z wieloma innymi. To nie wszystko, jest coś więcej, coś starego i szlachetnego, ale trudno tam trafić, chyba że przypadkiem. Tylko Roger Hiddenstone wraca zawsze, kiedy chce. Przyjeżdża starym ffordem albo na równie starym koniu, bo Roger ma tylko pustynię i szczerze serce. No i to jest też tam, gdzie Edna. Gdziekolwiek by akurat była.

Wygłoszę prorocstwo. Kiedy Starra i Roger padną sobie w czułe ramiona, choć ona szesnastoletnia, a on z szóstym krzyżykiem na karku, kiedy gdzieś na drodze do hohowarów Gracie i Archie roztrzęsą pikapa na luźne blachy, kochając się na materacu rozłożonym na skrzyni ładunkowej, kiedy Ervin Muth i Thomas Sunn upiją się z farmerami z aśramu i będą tańczyć, i śpiewać, i płakać z nimi przez całą noc, kiedy Emma Bodely i Pearl Amethyst spojrzą sobie czule w lśniące oczy pośród kotów i kryształów – tej samej nocy Needless ze spożywczego przyjdzie wreszcie do Edny. Ona nie da mu dziecka, tylko samą radość. I na ulicach Ether zakwitną drzewa pomarańczowe.

# WPÓŁ DO PIĄTEJ

## NOWE ŻYCIE

Stephen zarumienił się. Jasnoskóry i łysy, rumienił się na różowo. Gdy Ann całowała go w policzek, objął ją ramieniem.

– Miło cię widzieć, kochanie – powiedział, odsuwając się i patrząc gdzieś obok niej. Uśmiechał się przy tym jakby z lekką desperacją. – Ella właśnie wyszła. Dziesięć minut temu. Ma coś do przepisania dla Billa Hoby’ego. Ale poczekaj, aż wróci. Byłoby jej przykro, że się z tobą rozminęła.

– Jasne – odparła Ann. – Mama czuje się dobrze, złapała tę grypę, ale nie przeszła jej tak źle jak niektórzy. Z wami w porządku?

– O tak, pewnie. Chcesz kawy? Coli? Wejdz.

Przepuścił ją i przez salonik zapchany jasnymi meblami poszedł za nią do kuchni, gdzie żółte metalowe żaluzje kierowały pasy płynnego słonecznego blasku na blat stołu.

– Uff, ale gorąco – sapnęła Ann.

– Chcesz kawy? Mamy bezkofeinową mokkę z cynamonem, Ella ciągle ją pije. Dziś sobota, więc na pewno jest. Gdzieś tu musi stać.

– Nie chcę niczego.

– A coli? – Zamknął szafkę i otworzył lodówkę.

– A, tak. Dobra. Dietetycznej, jeśli masz.

Stojąc przy stole, patrzyła, jak wyciąga kubek, lód i półgalonową plastikową butelkę coca-coli. Woląta nie ruszać niczego w tej kuchni. Nie czuła się uprawniona nawet do zmiany kąta nachylenia żaluzji, by lepiej chroniły przed słońcem, chociaż u siebie zrobiłaby to natychmiast. Podał jej wysoki, czerwony, plastikowy kubek coli. Od razu wypila połowę.

– Tego mi było trzeba!

– Wyjdźmy na zewnątrz.

– Nie ma meczu?

– Zajmowałem się ogrodem. Z Toddiem.

Ann myślała, że chłopiec poszedł z matką. Nie, żeby miała po temu podstawy, ale kojarzyła go odruchowo z Ellą. Gdzie ona, tam i on. Jeśli ona wyszła, to on też. Teraz poczuła się prawie zdradzona.

Ojciec odsunął się i wskazał na kuchenne wyjście. Chciał, by poszła pierwsza. Zupełnie jakby oprowadzał ją po domu. Minęła zmywarkę, suszarkę, wiadro z mopem, miotły i otworzyła siatkowe drzwi. Zeszła po cementowym stopniu.

Zamknął drzwi stopą, aż trzasnęły, i stanął obok niej na ścieżce, która biegła między podchodzącymi pod ścianę domu kwietnikami. Szeroka na dwie długości cegły, prowadziła do okrągłej, okolonej krzewami łączki, na której skraju stały dwa małe, metalowe krzesła. Kiedyś pomalowano je na biało, teraz tu i ówdzie spod farby wyzierała rdza. Pomiędzy nimi ustawiono ogrodowy stół. Dalej, w cieniu zwartego żywopłotu, który okalał ogród, tuż obok wielkiej, kwitnącej abelii, kuczał odwrócony plecami Toddie.

Był wyższy, niż go pamiętała. Szeroki w ramionach jak dorosły mężczyzna.

– Hej, Toddie, przyszła... Ann przyszła! – zawołał Stephen. Jego szeroka twarz wciąż była zaróżowiona. Może wcale się nie rumienił, może to przez upał. W otoczonym gęstą zielenią ogrodzie odbite od białej ściany domu promienie słońca paliły żywym ogniem. Co chciał powiedzieć? „Przyszła twoja siostra”? Odezwał się głośno, jowialnie, ale Toddie nijak nie zareagował.

Ann rozejrzała się dokoła. Soczysta murawa, oślepiające sklepienie nieba i wysokie ściany żywopłotu, pomiędzy którymi stało w bezruchu powietrze. Obok stojaka na wąż kołysały się maki. Przepięknie blade i wybujałe na zdrowej, nawodnionej glebie. Wpatrzyła się w nie, odwróciwszy oczy od przycupniętej sylwetki po drugiej stronie trawnika. Nie chciała go widzieć, a ojciec nie miał prawa zmuszać jej do tego, narzucać jego obecności. Nawet jeśli to tylko gadanie, że w takich razach trzeba chronić dziecko. Głupie gadanie... bez dwóch zdań. Przesąd.

– Naprawdę ładne – powiedziała, dotykając mięciutkiego płątka otwartego kwiatu maku. – Niesamowite kolory. Bardzo miły ogród, tato. Musiałeś się nad nim sporo napracować.

– Nigdy tu jeszcze nie byłaś?

Potrząsnęła głową. Domu też nigdy dobrze nie obejrzała. Od ślubu Stephen i Elli wstąpiła do nich trzy, może cztery razy. Kiedyś była tu na niedzielnej herbatce. Ella ugościła ją w salonie, a Toddie przez cały czas oglądał telewizję. Pierwszy raz przyszła, gdy Ella nie była jeszcze żoną Stephen, lecz tylko jedną z jego sprzedawczyń. Podjechali pod jej dom, żeby zostawić jakieś papiery czy coś. Ann chodziła wtedy do szkoły. Kręciła się po salonie, a ojciec omawiał z Ellą zamówienia na buty. Wiedziała, że Ella ma opóźnione w rozwoju dziecko, i wołała, żeby chłopiec nie pojawił się w pokoju. Z drugiej strony chciałyby go zobaczyć. Gdy mąż Elli zmarł nagle na coś, ojciec Ann powiedział poważnie podczas obiadu: „Wielkie szczęście, że spłacili kredyt i mają własny dom”. Matka Ann odparła: „Biedna jest z tym dzieckiem. Co mu jest? Mongolizm?” Potem długo rozmawiali o mongolizmie i o tym, jak często takie dzieci umierają, i że to miłosierne. Ten dzieciak jednak ciągle żył, a Stephen mieszkał z nim pod jednym dachem.

– Muszę do cienia – powiedziała, kierując się ku krzesłom. – Chodź, tato, porozmawiamy.

Poszedł za nią. Usiadła i zsunęła sandały, by ochłodzić bose stopy na trawie. On stanął obok. Spojrzała na niego. Krzywizna łysiny lśniła w słońcu niczym dostojne wzgórze wyrosłe ponad płataniną ulic. Twarz miał taką bardziej z przedmieścia, mniej lub bardziej szczególne cechy tłoczyły się na niej jedna przy drugiej. Wydatna broda i także wargi, spore nozdrza mięsistego nosa, małe, jasnoblękitne i czujne oczy. Dopiero w okolicy czoła robiło się przestronniej. Było szlachetne jak kalifornijskie góry.

– I jak się miewasz, tato?

– Dobrze, całkiem dobrze – odparł, częściowo się od niej odwracając. – Sklep w Walnut Creek prosperuje jak nigdy. Buty idą jak woda. – Pochylił się i wyrwał z krótko przystrzyżonego trawnika mały pęd mleczu. – Zwykle obuwie sprzedaje się teraz dwa razy lepiej niż buty do biegania. A ty szukasz pracy? Rozmawiałaś już z Krimem?

– O tak, kilka tygodni temu. – Ann ziewnęła. Upał i woń świeżo skopanej ziemi sprawiły, że zachciało jej się spać. Jak wszystko ostatnio. Nawet przebudzenie zachęcało ją do snu. Znowu ziewnęła. – Przepraszam. Powiedział, że może otworzy coś w maju.

– To dobrze, dobrze. Dobrze szukasz – rzekł Stephen, rozejrzał się po ogrodzie i odsunął od niej o kilka kroków. – U właściwych ludzi.

– Ale ze względu na dziecko będę musiała przerwać pracę w lipcu, więc nie wiem, czy warto.

– Zaczynaj poznawać ludzi, zaczynaj coś robić – rzucił niewyraźnie. Podszedł do abelii. – Hej, wspaniała robota, Toddie! – krzyknął radośnie. – No popatrz! Mój chłopak! Dobrze!

Błada twarz o niewyraźnych rysach uniosła się na moment. Chłopiec spojrzał na niego z cienia.

– No popatrz. Idziesz jak burza. Jesteś prawdziwym ogrodnikiem. – Stephen odwrócił się do Ann. – Toddie chce tu zasadzić jeszcze trochę kwiatów – powiedział przez ścianę rozpalonego powietrza. – Cebulki i nasiona. Na jesień.

Ann dopiła wodę z roztopionego lodu i wstała z niziutkiego krzesła, które zdążyło pobrudzić

rdzą jej białą bawełnianą koszulkę. Podeszła do ojca i spojrzała na przekopaną grządkę. Duży chłopiec kuczał w bezruchu, z łopatką ogrodniczą w dłoni i opuszczoną głową.

– Popatrz, może by zaokrąglić ten narożnik? – powiedział Stephen, przechodząc trochę dalej. Pokazał chłopcu punkt na ziemi. – Tak dotąd. Jak myślisz?

Chłopiec skinął głową i zaczął kopać. Powoli, z wysiłkiem. Dłonie miał białe i szerokie, z krótkimi, szerokimi paznokciami obwiedzionymi czarną otoczką brudu.

– A może dokopałbyś do tego krzaku róży? To chyba lepsze miejsce dla cebulek. Nie sądzisz?

Toddie znów na niego spojrzał. Ann dostrzegła niekształtne usta, ciemny zarost nad górną wargą.

– Tak, no – mruknął Toddie i pochylił się nad grządką.

– Przekop się łukiem do tego krzaka róży – powiedział Stephen i obejrzał się na Ann. – To urodzony rolnik – rzekł z pogodną, prawie radosną miną. – Cokolwiek posieje, rośnie jak szalone. Uczy mnie dbać o ogród. Czy to nie świetnie, Toddie? Ty mnie uczysz!

– Chyba tak – rozległ się niski głos. Chłopiec nie uniósł głowy. Serdelkowate palce dłużyły w ziemi.

Stephen uśmiechnął się do Ann.

– Uczy mnie – powtórzył.

– To miłe – stwierdziła. Kącik ust dziwnie jej zdrętwiał, gardło zaczęło boleć. – Słuchaj, tato, zajrzałam tu tylko na chwilę: jadę do Permanente i muszę już lecieć. Nie, sama zostawię kubek w kuchni, do furtki też trafię. Fajnie było cię zobaczyć.

– Naprawdę musisz już iść...?

– Tak, chciałam tylko zerknąć, co u was. Pozdrów ode mnie Ellę. Szkoda, że na nią nie trafiłam. – Wsunęła sandały, zaniósła pusty kubek do kuchni, wstawiła go do zlewu i zalała wodą. Wróciła do ojca; stał w pełnym słońcu na ceglanej ścieżce. Wsparła stopę na cementowym schodku, żeby zapiąć sandał. – Kostki mi puchną – powiedziała. – Doktor Schell kazał mi odstawić sól. Niczego nie mogę solić, nawet jajek.

– Tak, wszyscy powinniśmy uważać na sól – mruknął Stephen.

– Właśnie – zgodziła się Ann i umilkła na chwilę. – Tyle że ja muszę zrezygnować z niej przez ciążę. Ciśnienie mi skoczyło i jak nie będę ostrożna, to naprawdę spuchnę. – Zerknęła na ojca. Patrzył na drugą stronę trawnika. – Wiesz, tato, nawet jeśli dziecko nie ma ojca, może przecież mieć dziadka – powiedziała, zaśmiała się i poczuła mrowienie pod włosami, gdy gorący rumieniec wypełził jej na twarz.

– Tak, jasne, na pewno – mruknął. – No przecież – dodał, jakby kończył zdanie. Dla niej niezbyt zrozumiałe. – Wszyscy musimy o to dbać.

– Właśnie. Ty też dbaj o siebie, tato. – Pocałowała go w policzek. Idąc do furtki, czuła na wargach lekko słonawy smak jego potu. Minęła kubły na śmieci, przeszła pod baldachimem purpurowych kwiatów jacarandy na chodnik i zamknęła za sobą furtkę.

## TRWANIE

– Plecy mnie swędzą.

Ann wyciągnęła pazurki ogrodnicze i podrapała nimi lekko grzbiet brata.

– Nie tutaj. Tam. – Wykręcił ramię do tyłu, żeby pokazać właściwe miejsce. Poruszył w powietrzu palcami; paznokcie miał obwiedzione czernią.

Odłożyła pazurki i podrapała go energicznie ręką.

– Tutaj? – Aha.

– Chcę lemoniady.

– Aha – powiedział Todd, gdy wstała i otrzepała ziemię z nagich kolan. Z trudem się pochyliła, żeby ich dosięgnąć.

W żółtej kuchni było gorąco. Przez tę wszechobecną barwę kojarzyła się z ulem, małym pomieszczeniem pełnym żółtego blasku i słodkiej woni wosku. Pszczelim larwom na pewno by się tu spodobało. Ann przygotowała lemoniadę z proszku, nalała ją do wysokich plastikowych kubków z lodem i wyniosła na zewnątrz. Zatrzasnęła nogą siatkowe drzwi.

– Proszę, Todd.

Wyprostował się na klęczkach i nie wypuszczając łopatkę z prawej dłoni, wziął kubek lewą. Wypił połowę i znów zaczął kopać. Kubek wciąż ścisnął w palcach.

– Możesz go postawić pod krzakiem – poradziła Ann.

Umieścił go ostrożnie pomiędzy chwastami i zajął się grządką.

– Ale to dobre! – powiedziała Ann, popijając lemoniadę. Prysnęła przy tym śliną jak zraszacz ogrodowy. Przysiadła na trawie z głową w cieniu i nogami na słońcu. Powoli obracała w ustach kostkę lodu.

– Nie kopiesz – stwierdził po chwili Todd.

– No – przyznała. – Wypij lemoniadę – rzuciła po chwili. – Lód topnieje.

Odłożył łopatkę i uniósł kubek. Opróżnił go i odstawił w to samo miejsce.

– Ann? – zagadnął zwrócony do niej szerokimi, nagimi i bladymi plecami. Nie wrócił do kopania.

– Tak, Todd?

– Czy tata przyjedzie na Gwiazdkę?

Trwało chwilę, nim skojarzyła, o co pyta. Była zbyt śpiąca.

– Nie. On w ogóle nie przyjeżdża. Wiesz przecież.

– Myślałem, że może na Gwiazdkę... – szepnął jej brat, ledwie słyszalnie.

– Gwiazdkę spędzi ze swoją nową żoną, z Marie. Mieszkają w Riverside i tam jest teraz jego nowy dom.

– Pomyślałem, że mógłby nas odwiedzić na Gwiazdkę.

– Nie. Nie odwiedzi.

Todd zamilkł. Uniósł łopatkę i znów ją odłożył. Ann wiedziała, że ta odpowiedź go nie zadowoliła, ale nie pojmowała, na czym polega problem. Wołałaby uniknąć jakichkolwiek problemów. Siedziała oparta plecami o pień drzewa kamforowego, słońce grzało ją w nogi, trawa łaskotała, krople potu spływały między piersiami, a dziecko poruszało się łagodnie głęboko w niej. Tak bardziej po lewej stronie swego wszechświata.

– Może poprosimy go, żeby przyjechał na Gwiazdkę? – spytał Todd.

– Kochanie, nie możemy. On i mama rozwiedli się, żeby mógł się ożenić z Marie. Rozumiesz? Teraz spędzi święta z nią. Z Marie. A my zrobimy sobie Gwiazdkę jak zwykle. Dobrze? – Czekwała, aż skinie głową. Poruszył nią, ale czy to było przytaknięcie? Tak czy owak dodała: – Jeśli bardzo ci go brakuje, możemy mu o tym napisać.

– A może moglibyśmy go odwiedzić?

Jasne, w te pędy. Cześć tato, to my, twój niedorozwinięty syn i twoja brzemienna, niezamężna córka na zasiłku, cześć Marie. Śmieszne? Może, ale jakoś nie było jej do śmiechu.

– Nie możemy. Popatrz, jeśli dokopiesz tutaj do końca, to będziemy mogli posadzić przed różami te cebulki kanny, które mama przyniosła. Wyglądają obiecująco. Wyrosną z nich wielkie

i bardzo czerwone kwiaty, jak lilie.

Todd uniósł łopatkę, lecz zaraz ją odłożył w to samo miejsce.

– Po Gwiazdce musi przyjechać – powiedział.

– Dlaczego? Dlaczego musi?

– Do dziecka – odrzekł jej brat, cicho i niewyraźnie.

– A... Cholera. Dobra, słuchaj, Toddie. Wiesz, że będę miała dziecko.

– Po Gwiazdce.

– Tak. To będzie moje dziecko. Nasze. Ty i mama pomożecie mi je wychować, prawda? Tylko tyle nam trzeba. Więcej nie chcę. Tyle potrzebne jest dziecku. Ty i mama. Tak? – Poczekala znów, aż skinie głową. – Pomożecie mi z dzieckiem. Będziecie mi mówili, jak zacznę płakać. Bawili się z nim. Jak z tą dziewczynką w szkole, z Sandy. Pomogasz jej, prawda? Dobrze, Toddie?

– Tak, na pewno – odparł jej brat głosem, którym rzadko się odzywał: męskim i rzeczowym, jakby budził się w nim na chwilę ktoś dorosły. Klęczał prosto z dłońmi na okrytych dzinsami udach. Twarz i tors rozjaśniały mu zielonkawo odbite od trawy promienie słońca. – Ale on jest starszym rodzicem.

„Jest byłym rodzicem”, odpowiedziałyby o mały włos Ann. Ale pohamowała się.

– Owszem. I co z tego?

– Starsi ojcowie często mają dzieci z Downem.

– Starsze matki też. Zgadza się. I co?

Spojrzała na okrągłą, z gruba ciosaną twarz Todda z rzadkim wąsem nad górną wargą. Odwrócił ciemne oczy.

– Więc twoje dziecko też może mieć Downa – powiedział.

– Owszem, ale ja nie jestem taka stara, kochanie.

– Ale tata jest.

– A! – Ann umilkła na moment. – Jasne. – Przesunęła się ciężko w cień, zagłębiając bosa stopy w świeżo skopaną przez Todda ziemię. – Słuchaj. Tata jest twoim ojcem. Jest też moim ojcem, ale nie jest ojcem mojego dziecka, rozumiesz? – Brak reakcji. – To dziecko ma całkiem innego ojca. Nie znasz go, mieszka w Davis, tam, gdzie ja mieszkałam. A tata...jego to wszystko nie obchodzi. Ma teraz nową rodzinę, nową żonę. Może będą mieli dziecko. Oni są starsi wiekiem. Ale to dziecko nie będzie ich, tylko moje. Nasze. Ono nie ma ojca. Nie ma dziadka. Ma tylko mnie, mamę i ciebie. Rozumiesz? Będiesz jego wujkiem. Wiedziałaś? Zostaniesz dla niego wujkiem Toddem?

– Tak – odparł niezbyt radośnie chłopak. – Jasne.

Kilka miesięcy temu przepłakiwała każdą chwilę, kiedy tylko mogła sobie na to pozwolić, ale teraz nabrała dystansu do świata. Emocje miały przez to sporą drogę do przebycia, docierały do niej wyciszone i spokojniejsze, wciąż silne, ale raniące. Jak wielkie, nie załamujące się fale na środku oceanu. Zamiast płakać, tylko o tym myślała. Tkwiło to w niej jak cierń. Wzięła ogrodnicze pazurki i spróbowała podrapać nimi Todda w głowę. Odsunął się.

– Cześć, dzieciaki – powiedziała matka, zatraskując za sobą siatkowe drzwi.

– Cześć, Ella – rzuciła Ann.

– Cześć, mamó – odezwał się Todd i pochylił głowę, wracając do kopania.

– W lodówce jest lemoniada – oznajmiła Ann.

– Co robicie? Sadzicie te stare cebulki? Sama już nie pamiętam, kiedy je wykopałam. Założę się, że nic z nich nie wyrośnie. Uff, ale się zgrzałam! W mieście jest prawdziwy piec! – Przeszła przez trawę w pantofelkach na wysokim obcasie. Poza tym była w rajstopach, żółtym bawełnianym kostiumie, miała jedwabną apaszkę, kompletny makijaż, lakier na paznokciach, trwałą... Oficjalny

mundur sekretarki, pełna zbroja. Pochyliła się i pocałowała syna w czubek głowy. Trąciła przy tym obcasem podbicie stopy Ann. – Brudne jesteście, dzieci. Ale gorąco! Muszę wziąć prysznic! – powiedziała i wróciła do domu. Trzasnęły drzwi. Ann wyobraziła sobie, jak Ella wyzwala miękkie ciało z urzędowej uprząży, a makijaż znika pod strumieniami ciepłej wody spływającej po jej prawdziwej istocie. Odległej, ale bardzo obecnie bliskiej.

## TYGRYSICA

Ella włożyła żółtą suknię bez rękawów i ściągnęła ją czarnym paskiem. Dobrała do tego smoliście czarne kolczyki. Włosy potraktowała sprejem.

– Kto przychodzi? – spytała Ann z kanapy.

– Mówiłam ci wczoraj. Stephen Sandies. – Ella przestukała obok w sandałach na wysokim koturnie. Sztywno niczym cyrkowy kucyk. Zostawiła za sobą nikły ślad woni lakieru do włosów i perfum.

– Co to takiego?

– Moja żółta suknia z...

– Myślę o zapachu, ptasi mózdzku.

– Nie potrafię wymówić tej nazwy! – zawołała Ella z kuchni.

– Jardins de Bagatelle.

– Właśnie. Wiem, co to bagatelle. Grywałam. Ale tym razem pokazałam tylko na półkę i powiedziałam: „Ten flakon”. Wąchałam próbki u Krima. Podoba ci się?

– Tak. Podkrałam trochę zeszłego wieczoru.

– Co?

– Nieważne.

Ann z trudem uniosła nogę i spojrzała wzdłuż niej, jakby celowała. Rozpostarła palce na podobieństwo szczerbinki, złożyła je, znów rozpostarła.

– Ćwiczenia, ćwiczenia, wiecznie ćwiczenia – zanuciła, unosząc drugą nogę. – Enia, senia, tenia, bagatela wszystko zmienia.

– Co?

– Nic, mam!

Ella przystukała do salonu z wazonem czerwonych kann.

– „Widziałam Francję, widziałam Chiny, widziałam...” – zaczęła.

– Ćwiczę – przerwała jej Ann. – Gdy przyjdzie ten Stephen Sandmacho, będę tu leżała i ćwiczyła oddechy. Uff-sap-uff-sap-uff-sap. Kto to jest?

– Nazywa się Sandies. Pracuje w księgowości. Zaprosiłam go na drinka, nim wyjdziemy.

– Gdzie wyjdziecie?

– Do tego nowego wietnamskiego lokalu. Mają licencję tylko na piwo i wino.

– Miły ten Sandpimpek?

– Nie znam go dobrze – odparła szczerze Ella. – To znaczy... owszem, znamy się od lat z roboty. Jakiś czas temu rozszedł się z żoną.

– Aha-aha-aha – mruknęła Ann.

Ella odsunęła się od ułożonych pracowicie kwiatów.

– Dobrze wyglądają?

– Przewspaniale. A co ze mną? Mam tu leżeć, pokazywać majtki i wzorowo dyszeć?

– Chyba usiądziemy na patio.

– Więc kwiaty mają porazić go tylko przelotnie.

– Będzie nam miło, jeśli się przyłączysz, kochanie.

– Możemy go zaskoczyć – powiedziała Ann, siadając w pół-lotosie. – Mogłabym włożyć fartuch i robić za służącą. Mamy fartuch? Taki mały, biały fartuszek? Podałabym kanapki. Kanapkę, szanowny panie Sandlaluś?

– Nie wygłupiaj się. Mam nadzieję, że na patio będzie dość ciepło. – Wróciła do kuchni.

– Jeśli naprawdę chcesz zrobić na nim wrażenie, to lepiej mnie ukryj.

Ella pojawiła się natychmiast w drzwiach. Usta miała zaciśnięte, oczy płonęły jej niczym światła na lotnisku.

– Nie zamierzam słuchać takiego gadania, Ann.

– Sama widzisz: siedzę tu zasmarkana, pokazuję majtki, nie umyłam włosów, gapię się na swoje stopy i Bóg jeden wie co!

Ella jeszcze chwilę gromiła ją wzrokiem, po czym odwróciła się i zniknęła w kuchni. Ann pozbierała się, wstała i podeszła do drzwi.

– Pomyślałam tylko, że może wolelibyście zostać sami.

– Chcę, żeby poznał moją córkę – stwierdziła Ella, ucierając zawzięcie serek śmietankowy.

– No to się ubiorę. Świetnie pachniesz. Padnie z wrażenia. – Ann obwąchała kremową, lekko pomarszczoną skórę na szyi matki.

Ella obróciła głowę.

– Nie, nie rób, to łaskocze!

– Wamp jesteś! – wyszeptała jej zmysłowo Ann wprost do ucha.

– Przestań!

Ann poszła do łazienki i wzięła prysznic. Z rozkoszą stanęła pod strumieniem gorącej wody. Pośród pary i miłego szumu straciła poczucie czasu. Gdy wyszła naga na korytarz, usłyszała męski głos i natychmiast wskoczyła z powrotem do łazienki. Zatrzasnęła za sobą drzwi, ale zaraz je uchyliła, żeby posłuchać. Gość dotarł już do kwiatów. Wyśliznęła się z łazienki i przemknęła do swojego pokoju. Włożyła bikini i długą jak suknia bawełnianą koszulkę, która spłynęła obszernymi fałdami, miłosiernie maskując wielki brzuch. Podsuszyła włosy suszarką, przeczesując je palcami, nałożyła szminke, zdjęła nadmiar, sprawdziła w lustrze, jak wygląda, i całkiem spokojna, chociaż bosa, ruszyła korytarzem. Minęła kwiaty i wyszła na małe, wyłożone kamiennymi płytami patio.

Stephen Sandies wstał i zdecydowanie uścisnął jej rękę. Był w popielatej sportowej marynarce i białej koszuli bez krawata. Uśmiechając się, pokazał zęby, białe, ale bez przesady. Ciemne włosy siwiały mu malowniczo. Schludny, opalony, szczupły, około pięćdziesiątki, pewny siebie, ale nie nadęty. Wszystko pod kontrolą, chociaż i to w miarę. Wyraźnie nie wyłaził ze skóry, by nad sobą panować. Nada się. Dobra nasza, mamó! Ann mrugnęła do matki, która skrzyżowała nogi w kostkach i powiedziała:

– Zapomniałam przynieść lemoniadę, kochana. Gdybyś miała ochotę, jest w chłodziarce. – Ella była ostatnią osobą w Uprzemysłowionym Świecie Zachodnim, która wciąż nazywała lodówkę chłodziarką, sandwicze z francuska *canapes* i krzyżowała nogi w kostkach. Nim Ann wróciła ze szklanką lemoniady, Stephen zdążył się rozgadać w najlepsze. Usiadła na białym, plecionym krześle. Cicho, jak dobra dziewczynka. Upiła łyk; oni doszli już do drugiego drinka. Stephen miał łagodny głos, leciutko chropawy i bardzo seksowny. I miły. Wypij lemoniadę i zmiataj. Ale gdzie? Wysiadywać brzuch w sypialni? Cholera. Mowy nie ma. Zostanę i już. Taki fajny dzień. Akurat na zabawę w berka w Ogrodach Bagateli. Nie złapią mnie. Co on mówi o swoim synu?

– Cóż... – Westchnął. Głęboko i przeciągle. Spojrzał na Ellę, krzywiąc się lekko. Stosownie do



tematu. – Naprawdę chcesz o tym posłuchać?

Co? Miała zaprzeczyć?

– Tak – powiedziała Ella.

– Hmm, to długa i nudna opowieść. Batalie prawnicze zawsze są nudne, całkiem inaczej niż w hollywoodzkich filmach. Żeby się nie rozwodzić, powiem tylko, że gdy zdecydowałem się na separację z Marie, byłem tak zły i tak... oszołomiony, że zbyt pośpiesznie zgodziłem się na parę rzeczy. Uznałem jednak, że nie powinna wychowywać mojego syna. Że nie jest odpowiednią osobą. I zaczęły się klasyczne sądowe przepychanki. Szczerze mówiąc, nalegałem, by nie miała nawet prawa do widzeń. Ale w ostateczności gotów jestem na kompromis. Sąd oczywiście faworyzuje matkę. Zamierzam jednak wygrać. I tak będzie. Mam bardzo dobrych prawników. Szkoda tylko, że to idzie tak wolno. Trudno ścierpieć te wszystkie opóźnienia i zwłoki proceduralne, poza tym każdy dzień, kiedy jest z nią, trzeba będzie później odrobić. To jest dla niego jak choroba. Szczęśliwie jest na nią lekarstwo. Mam to lekarstwo, ale nie pozwalają mi zacząć leczenia.

Proszę. Taki przekonany o swoich racjach, chociaż mówi cicho. Bardzo pewny siebie. Ann przyjrzała się przelotnie jego twarzy. Przystojna, wyrazista, miła i smutna. Prawie jak oblicze Boga. Zarozumialec do kwadratu? A może jednak ma rację?

– Czy... czy ona pije? – zaryzykowała pytanie Ella, odstawiając szklankę.

– Nie, żeby była alkoholiczką, ale owszem – odparł Stephen w typowy dla siebie, wyważony sposób. Spojrzał na margaritę ze stopionymi częściowo kostkami lodu. – Nie lubię o tym mówić. Byliśmy małżeństwem jedenaście lat. I to były dobre lata.

– No tak – mruknęła ze współczuciem Ella, krzywiąc się boleśnie na znak, że rozumie tę jego małowówność. Dlaczego jednak nie było po nim widać cierpienia?

– Ale nic – powiedział. – Lepiej o tym nie myśleć! Nie pracuje, ale kartę kredytową owszem, ma. Na co idą pieniądze, które wysyłam na dziecko, naprawdę nie wiem. W ciągu dwóch lat Todd trzy razy zmieniał szkołę. Nieład, cygańskie życie. Gdyby jeszcze to było wszystko... ale nie jest. Najgorsze, że wystawia moje dziecko na niemoralne wpływy.

Ann przeraziła się nie na żarty. Tego się nie spodziewała. Długi, brud, nieporządek, owszem, ale niemoralność? Jej dziecko też może się z tym zetknąć. Nagie, podatne, bezradne i wystawione na ataki niemoralności. Sama je na to skaze, wydając niemowlę na świat. Narazi je przez to na kontakt z zepsuciem, nieładem i niemoralnymi aspektami kobiecego życia, jej życia. Ojciec dziecka przyjedzie z Riverside z sądowym nakazem wypisanym na czystym, porządnym papierze. Zabiorą jej dziecko, wywiozą, więcej go nie zobaczy. Pozbawią ją prawa do odwiedzin. Pozbawiają praw rodzicielskich. Albo poroni, dziecko zginie przez niemoralność, zanim jeszcze bezpośrednio się z nią zetknie.

Ella zacisnęła usta, opuściła oczy. Stephen wypowiedział właśnie słowo, które wszystko wyjaśniało. Ann akurat nie słuchała. Czy to słowo brzmiało „kobieta”?

– Rozumiesz więc, że nie mogę zostawić tam chłopca – stwierdził Stephen spokojnie, ale widać było, że cierpi. Zacisnął mocno dłoń na poręczy krzesła.

Ella pokiwała zgodnie głową.

– I te jej przyjaciółki. Wszystkie takie same. Dumne z tego, kim są.

Oczyrna wyobraźni ujrziała ten monstrualny regiment.

Stephen mówił dalej, poruszając lekko głową. Trochę spazmatycznie, sztywno.

– A chłopiec jest tam sam. Z nimi. Ośmiolatek. Dobre dziecko. Proste jak strzała. Nie mogę. Nie mogę tego znieść. Nie mogę o tym spokojnie myśleć. Że tam jest. Z nimi. Uczy się tego. Tego wszystkiego.

Każde jego słowo trafiało Ann jak pocisk z karabinu maszynowego. Odstawiła szklanę z lemoniadą na posadzkę, wstała ostrożnie i z nieśmiałym uśmiechem odsunęła się od konsumentów margarity. Broczyła złą krwią miesięczkową, krwawiła za całe dziewięć miesięcy z ran, które jej uczynił. Za nią matka mówiła do tego mężczyzny coś pocieszającego, aż nagle uniosła głos, słaby i cienki, prawie do krzyku.

– Ann?!

– Zaraz wracam, mammo.

Mijając płonące w półmroku kwiaty, słyszała jeszcze, jak Ella wyjaśnia:

– Ann wzięła rok urlopu z uczelni. Jest w piątym miesiącu ciąży. – Mówiła to dziwnym tonem.

Ostrzegawczym i chełpliwym. Pełnym pychy.

Ann weszła do łazienki. Brudne majtki, szorty i koszulkę rzuciła przed prysznicem gdzie popadło i wciąż tak leżały, a przecież gość mógł zechcieć się wysikać przed wyjściem. Gdyby je zobaczył, matka niechybnie umarłaby ze zgrozy. Ann pozbierała wszystko. Dziury po kulach zasklepiły się na dźwięk głosu matki. Krew przemieniła się w subtelniejszą postać, we łzy. Pochlipując, Ann wrzuciła rzeczy i mokre ręczniki do kosza na brudy. Płacząc z wdzięczności, obmyła twarz i otworzyła flakon Jardins de Bagatelle, perfum matki tygrysicy. Nabrała odrobinę na dłonie i wtarła w twarz, by czuć ich zapach.

## ŻYCIE W YINLANDII

Duffy zarzuciła plecak na ramię.

– Będę około siódmej – oznajmiła w przelocie i wyszła. Po chwili ryk jej motocykla ucichł w oddali, a w uszach zadzwoniła cisza. Salon zasłany był niedzielnymi gazetami. Dziś wstały dopiero w południe.

– Boże, wiesz, że mamy teraz okres jednocześnie, co do dnia? – powiedziała Ella, rzucając komiks.

– Naprawdę? Słyszałam, że tak bywa. Świetna sprawa.

– No, tyle że ja już go tracę. Ale nic, łatwo przyszło, łatwo poszło, jak mówią – parsknęła. – Chcę jeszcze kawy. – Wstała i postukotała do kuchni. – Ty też?! – zawołała.

– Nie teraz.

Ella przystukotała z powrotem. Nosiła różowe pantofle na obcasie, utkane piórami, które powiewały za każdym razem, gdy podnosiła stopę.

– Frywolne pantofle, El. Naprawdę.

– Duffy zamówiła je dla mnie w domu wysyłkowym. – Ella usiadła na kanapie, kubek z kawą postawiła na stole i uniosła jedną nogę, żeby spojrzeć na pantofel. – Uważa, że są akurat dla mnie. Po prawdzie jest tak jak z tymi prezentami, które dostawałam czasem od Stephena. Kompletnie niewypały.

– I jak z drobiazgami, które robi się dla rodziców w szkole, a potem biedacy muszą ich używać.

– I krawatami, które kupują mężczyznom kobiety. Święta prawda. Ja uwielbiam takie kwieciste, Stephen ich nie cierpiał. Mówił, że wyglądają, jakby kto robactwa narozgniatał na materiale. Takie wzorki. Nic o tym nie wiedziałam i wciąż kupowałam mu te przepiękne kwieciste krawaty.

– Czy to nie dziwne, jak...

– Jak co?

– ...jak niezupełnie do siebie docieramy? Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Niby się znamy, ale tylko po wierzchu. Masa rzeczy nam się wydaje, jak z tymi pantofelkami. Bo przecież je nosisz.

I jak myślałyśmy obie, że ta druga może się poczuć urażona. Wtedy, gdy się zbierałaś, żeby zadzwonić do mnie w sprawie sprzedaży domu matki i później. Ale czasem się nam udaje.

– Tak. Czasem. – Ella oparła obie pierzaste stopy na krawędzi stołu i spojrzała na nie krytycznie małymi błękitnymi oczami. Jej przyrodnia siostra, znacznie roślejsza, choć o piętnaście lat młodsza, siedziała na podłodze pośród komiksów, druków reklamowych i kubków po kawie. Miała na sobie purpurowe spodnie od dresu i również dresową, ale czerwoną bluzę z żółtą, pozbawioną wyrazu okrągłą twarzą podpisaną „Miłego dnia”.

– Tej miniaturowej popielniczki, którą zrobiłam w czwartej klasie, mama używała do śmierci – powiedziała Ella.

– Nawet gdy rzuciła palenie. El, lubiłaś mojego tatę?

Ella znów spojrzała na swoje stopy.

– Tak. Lubiłam. Wiesz, własnego ojca prawie nie pamiętam. Miałam ledwie sześć lat, gdy zginął, a wcześniej rok siedział za morzem. Zdaje się, że nigdy po nim nie płakałam, chyba że razem z mamą. Nie porównywałam ich więc, nie było jak. Chyba nie podobało mi się, gdy Marie wyszła za Billa. Nie mogłam już mieć jej tylko dla siebie. Wiesz, choćby tak, żeby włóczyć się razem. Dwie kobiety na łazędzie. Po części dlatego odpowiada mi Duffy. Tyle że w jej wypadku to ma chyba więcej wspólnego z seksem niż z solidarnością płci. No i z nią nie jest tak łatwo, trzeba uważać. Z mamą samo wychodziło. Z tobą też łatwo się dogadać.

– Trochę za łatwo?

– Nie wiem. Może. Ale lubię tak. Nie byłam nigdy zazdrosna o Billa, w żadnym razie. Miły był chłopak. Po prawdzie chyba trochę do niego przez jakiś czas uderzałam. Próbowalam konkurować z matką. Dla wprawy... – Usta Elli rozciągnęły się w rzadkim u niej, szerokim uśmiechu. Kąciki warg powędrowały w górę. – Do każdego wtedy uderzałam. Nauczyciel matematyki, kierowca autobusu, chłopak roznoszący gazety. Boże, wstawałam po ciemku i czekałam na niego w oknie.

– Zawsze mężczyźni? Ella skinęła głową.

– Wtedy jeszcze nie wynaleźli kobiet – powiedziała.

Ann wyciągnęła się płasko na podłodze i uniosła ku sufitowi najpierw jedną purpurową nogę, potem drugą.

– Ile miałaś, gdy wychodziłaś za męża? Dziewiętnaście?

– Dokładnie. Młoda byłam. A w tamtych czasach to znaczyło jeszcze mniejszą dorosłość niż dzisiaj. Ale nie byłam wcale taka głupia. Wiesz, Stephen był dobrym chłopakiem, a dla mnie wręcz księciem. Ty pamiętasz go pewnie tylko z tego, jak się upijał.

– Pamiętam wasze wesele.

– Chryste, tak. Sypałaś kwiaty.

– A synalek cioci Marie podawał obrączki. Potem się z nim pobiłam.

– Boże, tak, a Marie się popłakała i powiedziała, że nigdy nie sądziła, że będzie miała w rodzinie takie mniejszości, na co mama wpadła w szał i spytała, czemu od razu nie nazwie Billa meksem, więc Marie zaczęła krzyczeć: „Meks! Meks!” Histeryzowała tak, aż brat Billa, weterynarz, upił ją w zakrystii. Nic dziwnego, że poszło źle przy takim początku. Ale Steve był naprawdę bardzo mądry i kochany, tyle że sama rozumiesz, nie mogę powiedzieć tego Duffy, bo bym ją uraziła. Całkiem bez sensu. Nie czuje się zbyt bezpieczna. Ale czasem mnie kusi, żeby powiedzieć. Chcę być w porządku wobec niego. I wobec siebie. Nie zasłużył sobie na ten alkoholizm. Tyle że w końcu musiałam coś postanowić i uciec. Dla mnie skończyło się dobrze, zadziało jak trzeba. Jednak pamiętam, jak to się zaczęło i gdzie go doprowadziło. Może się mylę, ale to nie było w porządku.

– Miałaś o nim potem jeszcze jakieś wiadomości?

Ella pokręciła głową.

– Przypuszczam, że gdzieś od roku już nie żyje – odrzekła tym samym, cichym głosem. – Było z nim bardzo źle. Nie kusi mnie, żeby sprawdzać.

– To był jedyny facet, z którym zesłaś się na poważnie?

Ella kiwnęła raz głową. Wpatrywała się w różowo-pierzaste stopy.

– Seks z pijanym to żadna frajda – powiedziała po dłuższej chwili. – Wątpię, by ktokolwiek prócz Duffy mógł się teraz do mnie aż tak zbliżyć. – Zarumieniła się lekko. Delikatny, ale wyraźny róż na jej policzkach powoli zaczął spęłzać. – Duffy jest bardzo miła.

– Lubię ją.

Ella westchnęła. Zsunęła pierzaste pantofle, pozwoliła im opaść na podłogę i zwinęła się na kanapie.

– Co to jest, spowiedź? – mruknęła. – Bo jak już, to cię zapytam, czemu nie zostałaś z ojcem swojego dziecka. Wolał się zabawiać na własną rękę czy co?

– O Boże.

– Przepraszam.

– Nie, tyle że to trochę kłopotliwe. Todd ma siedemnaście lat. Teraz chyba osiemnaście. To jeden z moich uczniów w klasie programowania komputerowego. – Ann usiadła, przeciągnęła zdrętwiały grzbiet i pochyliła głowę, aż skryła twarz za kolanami. Po chwili usiadła prosto. Uśmiechała się.

– Wie?

– Nic a nic.

– Nie myślałaś o aborcji?

– Owszem, ale widzisz... To ja powinnam była zadbać o środki bezpieczeństwa. Potem zachodziłam w głowę, dlaczego tego nie zrobiłam. Poza tym chciałam rzucić belferkę i wyjechać z Riverside. Przenieść się tutaj, nad Zatokę, znaleźć pracę. Na początek spokojnie, aż się dowiem, czego właściwie chcę. Pracę zawsze znajdę, dla mnie to nie problem. Myślałam albo o programowaniu, albo o doradztwie. Mogę urodzić dziecko i wrócić na pół etatu. Chcę być na razie sama z dzieckiem, dać sobie czas. Wcześniej zbytnio za wszystkim goniłam. Poza tym jestem chyba typem macierzyńskim. Bardziej żoną niż kochanką.

– Zawsze można znaleźć jakieś rozwiązanie.

– I dlatego chcę teraz trochę zwolnić. Ale powiem ci, że na dłuższą metę mam zamiar znaleźć jakiegoś pięćdziesięciolatka, może być nawet starszy, byle na stanowisku, i wyjść za niego. Mamusia wyjdzie za tatusia i już. – Znów przytuliła głowę do kolan. Uśmiechnęła się.

– Głupia jesteś i tyle – stwierdziła Ella. – Kretynka, nie siostra. Możesz zostawić tu dziecko na miesiąc miodowy.

– Z ciocią Ellą.

– I wujkiem Duffy. Chryste, nigdy jeszcze nie widziałam Duffy z dzieckiem.

– Duffy to jej prawdziwe imię?

– Zabije mnie, jeśli się kiedyś dowie, że ci powiedziałam. Ma na imię Marie.

– Jak Boga kocham!

Przeglądały powoli gazety. Ann obejrzała zdjęcia uzdrowisk z północnej części Gór Nadbrzeżnych, przeczytała reklamy agencji turystycznych zachwalające loty na Hawaje i rejsy na Alaskę.

– A swoją drogą, co się dzieje z tym synalkiem cioci Marie?

– Wayne skończył UCLA. Zarządzanie.

- Nieźle.
- Co ty jesteś? Ryba?
- Chyba tak.
- Tu piszą, że Ryby mają dziś dobry dzień na robienie długofalowych planów i że powinny zainteresować się jakimś ważnym Skorpionem. To pewnie będzie ten twój miły tatuś.
- Nie, w listopadzie? Skorpion?
- Tak. Do dwudziestego czwartego. Tak tu piszą.
- Dobra, skoro tak twierdzą, to popatrzymy, poszukamy... Przez chwilę czytały w ciszy.
- Siedemnaście... – rzuciła Ella.
- I dobrze – odparła Ann z naciskiem, nie podnosząc głowy znad lektury.

## ODBICIA

Skraj łąki nad brzegiem rzeki czerwieniał od kwiatów kanny. Za pasem jaskrawych barw ciągnęła się czarnogranatowa gładź wody. Jedno i drugie odbijało się w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych Stephena, przesuwając się to w dół, to w górę i całkowicie zmieniając wyraz jego twarzy. Todd odwrócił gwałtownie głowę od tego kalejdoskopu.

- Co się stało? – spytał zaraz Stephen.
- Wolałbym, żebyś nie wkładał lustrzanek.
- Widzisz w nich swoje odbicie? – Stephen uśmiechnął się i powoli zdjął okulary. – To takie złe?

– Widzę tylko te kolorowe odbicia przebiegające ci po twarzy jak u jakiegoś robota z filmu. Lustrzanki kojarzą się z agresywnymi zamiarami. Nie wiedziałeś? Z takimi gośćmi na czarno, co przychodzi zrobić swoje. Z zimnymi draniami. Jak Hank Williams junior.

– Kupiłem je sobie dla obrony. Taka mimikra. Kryję się za nimi jak ślimak bez skorupy. – Bez okularów twarz Stephena rzeczywiście nabierała łagodności i jakby miękkości, chociaż nie gumowej czy ciastowatej, ale typowej dla przedmiotów z drewna albo kamienia, które wygładziły się przez długie używanie. Linie twarzy miał wręcz szlachetne, a obrys warg, nozdrzy i powiek tchnął delikatnością zamazaną nieco przez upływ lat. Todd spojrzał na swoje wielkie, gładkie ręce, kolana i uda. Aż do bólu świadom był ich szpetoty. Zwrócił znów oczy na Stephena, a ściślej – na jego dłonie z okularami.

– Chociaż nie. Masz rację – powiedział Stephen. – Sugerują agresję. – Trzymał je tak, że wypukłe owadzie szkła odbijały jego twarz i widoczną dalej białą fasadę hotelu na tle ciemnej góry. – Rozumiem. Nie widzisz mnie... Ale ja chcę ciągle na ciebie patrzeć. Bardzo mi w tym pomagają. A tobie mój widok nie jest tak potrzebny.

- Lubię twój widok – powiedział Todd, ale Stephen krył już oczy za okularami.
- Teraz dla wszystkich wkoło podziwiam pilnie rzekę, a w rzeczywistości patrzę zza okularów na ciebie. Patrzę i patrzę, i nie mogę się napatrzeć... Nie dowierzam, że jesteś. Wciąż nie mogę uwierzyć, że przyjechałeś. Że ci się chciało. Że tak szczerze mnie obdarowałeś. Muszę je nosić, gdy patrzę na ciebie. Masz dziewiętnaście lat. Mógłbym oślepnąć. Nie musisz nic mówić. Starczy, że pozwalasz mi mówić to wszystko po kolei. Sam jesteś po części podarunkiem. – W okularach wypowiadał się trochę inaczej. Łagodniej, z większą werwą, oddalając pytania.
- To działa też w drugą stronę – stwierdził z uporem Todd.
- Nie, nie – mruknął Stephen. – W żadnym razie.
- A to? – Todd ogarnął spojrzeniem czerwone kwiaty, biały hotel, ciemne granie i rzekę.

– To tak – odparł Stephen. – To wszystko plus szanowna pani Gertruda i równie szanowna pani Alicja B. Mój Boże, te kobiety chodzą za nami jak odbicia w gabinecie luster. Nie patrz!

Todd jednak oglądał się już przez ramię. Ujrzał dwie kobiety nadchodzące ścieżką wiodącą przez nadrzeczne łąki. Starsza szła przodem, jak zawsze zresztą, młodsza niosła za nią wędkę. Widząc, że Todd się odwraca, starsza uniosła kilka całkiem sporych pstrągów i krzyknęła coś, co kończyło się słowem „śniadanie!”.

Todd pokiwał głową i pokazał im palce ułożone w znak zwycięstwa.

– Łapią ryby – mruknął Stephen. – Niech wyciągają wieloryby na brzeg. Niech grają w obedrziypokera. Niech ścinają gigantyczne sekwoje. Niech rozmieszczają pociski międzykontynentalne. Niech patroszą niedźwiedzie, ale proszę, Boże, daj im jakieś zajęcie i niech zostawią nas w spokoju! Spotkanie z szalenie męską lesbą wymachującą pęczkiem ryb to chwilowo ponad moje siły. Powiedz, że odchodzą.

– Odchodzą.

– Bogu niech będą dzięki. – Czarne szkła znów odbiły przelotnie czerwień kwiatów. – Może zwolniły tę łódź, na którą ostrzyliśmy sobie zęby. Idziemy?

– Jasne. – Todd wstał.

– Na pewno chcesz tego, Tadziu?

Todd skinął głową.

– Robisz wszystko, co powiem czy zaproponuję. Powinieneś sam decydować, na co masz ochotę. Co ciebie cieszy, cieszy też mnie.

– Chodźmy.

– No to chodźmy – powtórzył Stephen i wstał z uśmiechem. Na spokojnej wodzie jeziora ponad tamą Todd włożył wiosła do łodzi i rozciągnął się, opierając plecy o ławeczkę. Za nim Stephen zanucił szeptem: „Dans les jardins de mon pere...”, a po chwili ciszy wyrecytował głośno:

Ame, te souvent-il, au fond du paradis,  
De la gare d’Auteuil, et des trains de jadis?

– Nie mam nic zadane na wiosenne ferie – powiedział Todd.

– Tego akurat i tak nikt by nie przetłumaczył.

Todd poczuł, że palec Stephena musnął skraj jego lewego ucha. Tylko raz i bardzo lekko.

Nad wodą zalegała całkowita cisza. Todd zgrzał się przy wiosłach, czuł na wargach słony smak potu. Siedzący za nim na dziobie Stephen nie odzywał się. W ogóle nie było go słychać.

– Któraś z nich zostawiła pod ławką pudełko z muszkami – powiedział Todd, spoglądając na dno łodzi.

– Pod żadnym pozorem nie próbuj go im odnosić. Oddam w recepcji. Albo wyrzucę za burtę. To wymówka, na którą czekają. Przynęta. Ach, jak bardzo chciałyśmy porozmawiać z tobą i twoim ojcem, ja jestem Alicja B., a to jest Trudzia, prawda, że to świetne miejsce dla takich chłopaków jak my? Założę się, że to wylewne lesby.

Todd roześmiał się. Ojciec ponownie dotknął lekko jego ucha. Chłopak znów się zaśmiał, tłumiąc dreszcz rozkoszy. Półożąc w łodzi, widział tylko bezbarwne niebo i jeden długi, skąpany w słońcu grzbiet wzgórza.

– Wiesz, tak po prawdzie to chyba się mylisz. Ta dziewczyna rozmawiała wczoraj wieczorem z Marie z kuchni. Stały na tarasie, wyszły zapalić dzointa. Opowiadała, że przyjechała tu z matką, bo jej brat zmarł. Matka się nim opiekowała czy jakoś tak, widać długo chorował. Uszkodzenie mózgu

lub coś w tym rodzaju. Gdy umarł, chciała wziąć matkę gdzieś dalej, żeby trochę odpoczęła. Wychodzi więc, że to matka i córka. Zerknąłem zresztą do księgi gości, gdy się wpisywałem. Stoi jak byk: Ella Sanderson i Ann Sanderson.

Cisza się przedłużała. Chłopak przechylał głowę do tyłu, aż ujrzał twarz ojca do góry nogami. W czarnych okularach odbijało się niebo.

– Czy to istotne? – powiedział Stephen niepokojąco melancholijnym głosem.

– Nie.

Todd uniósł głowę i ogarnął spojrzeniem bezbarwną wodę przechodzącą ponad koroną tamy w równie wyprane z kolorów niebo. Grzbiety wzgórz zbiegały się symetrycznie ku temu jednemu miejscu.

– To zupełnie nieistotne – powiedział.

– Mógłbym teraz zatopić tę łódź – rozległ się za jego plecami pełen żalu, tkliwy głos. – Poszłaby na dno jak kamień.

– Dobra.

– Rozumiesz...?

– Jasne. Tu jest środek. Jak z niebem i wodą. Przenikają się. Więc tonięcie jest jak latanie. I reszta się nie liczy. Nie w środku. Rób swoje.

Po dłuższej chwili Todd usiadł prosto, włożył wiosła w dulki i zaczął zagarniać wodę długimi, cichymi pociągnięciami. Kierował łódź dalej od korony tamy. Nawet się nie obejrzał.

## ROBOTY ZIEMNE

Ojciec Ann spiętrzył niedawno źródło poniżej rancza i po lunchu poszli sobie obejrzyć staw, w który się rozlało. Na wysokim i nagim złocistym wzgórzu po drugiej stronie wody pasły się konie. Przy brzegu widać było rdzawą linię, do której wypełniał się wodą w porze deszczów. Poniżej śladu ziemia była błotnista i nie zarośnięta. Latem poziom wody był znacznie niższy. Obok małego pomostu leżała trochę jakby za duża na ten staw łódź wiosłowa. Przysiedli na deskach w kostiumach kąpielowych. Moczyli nogi w ciepławej wodzie, ale byli zbyt najedzeni i opici winem, żeby od razu pływać. Dziecko nie zaczęło jeszcze raczkować, ale sama świadomość, że śpi, mając po obu stronach ledwie stopę czy dwie pomostu i dalej wodę, napełniała Ann niepokojem. Ciągle się na nie oglądała i trzymała jedną dłoń na brzegu flanelowego kocyka. Aby zamaskować tę nadopiekuńczość, za każdym razem, gdy obracała wzrok na niemowlę, poprawiała trochę swoją bawełnianą koszulkę, którą osłoniła mu głowę przed słońcem.

– A teraz chcę usłyszeć, jak ci się wiedzie – powiedział jej ojciec. – Gdzie mieszkasz, co to za kobieta, z którą żyjesz. Od tego zacznij.

– Parter starego domu w San Pablo. Dwie sypialnie i pokój Toddiego. Na górze mieszka para mocno starszych Japończyków. Sąsiedztwo w sumie nie najciekawsze, ale żyje tam sporo miłych ludzi. Nasz kwartał jest OK. Starczy? Dobra, teraz Marie. Woli dziewczyny, ale nie sypiamy ze sobą. Tak naprawdę to zainteresował ją Toddie.

– Jezu!

– Chciała pomóc w wychowaniu dziecka – zaśmiała się Ann, szczerze, ale trochę nerwowo. – Zajmuje się programowaniem komputerowym i doradztwem, więc sporo pracuje w domu. Bardzo praktycznie przy wspólnej opiece nad dzieckiem. Można powiedzieć, że dzięki temu każda z nas ma żonę do wyreki.

– Wspaniale – prychnął Stephen.

– To znaczy kogoś, na kogo można liczyć, gdy ma się kupę spraw na głowie, rozumiesz. I do pomocy w najgorszej robocie. Sam wiesz.

– Nie wiem. Moje doświadczenia z żonami są inne – powiedział jej ojciec. – Więc skończyłaś z mężczyznami.

– Nie. Jak powiedziałam, Marie i ja nie jesteśmy razem. Ona ma lesbijskie przyjaciółki, a ja masę zwykłych kumpli, ale sama jeszcze nie wiem. Nie myślę o tym za dużo. Kiedyś wrócę do sprawy. Nie, żebym była zgorzkniała, nic takiego. Chciałam mieć dziecko. I na razie to ono jest najważniejsze. Pracuję czasem w dziwnych godzinach, ale wtedy jest Marie. A kiedy mały się budzi, to zwykle już wracam. Świetny układ. Ale za jakiś czas to zmienię...

Mówiąc to, czuła, jak siedzący o kilka stóp dalej ojciec sztywnieje, jak narasta jego opór i niecierpliwość. Miała wrażenie, fizyczne wręcz, że zbliża się ku niej wysoki i twardy lemiesz, jakie montuje się z przodu spychacza. Właściciel tego terenu miał prawo go zniwelować, oczyścić z krzewów i chwastów. Precz z dorywczymi zajęciami, dziwnymi parami, wynajętymi pokojami, kryjówkami, tymczasowością. Buldożer nadciągał nieubłaganie.

– Odkąd rozwiodłem się z Penny, sporo sobie przemyślałem. Siadałem sobie tutaj albo jeździłem na Dolly dookoła rancza. – Ojciec spojrział przez staw na wzgórze, na pasące się konie, klacz, źrebaka i białego wałacha. – Zastanawiałem się nad oboma moimi małżeństwami. Szczególnie nad pierwszym, dość dziwnym. Dotarło do mnie, że biorąc ślub z Penny, ciągle jeszcze nie wiedziałem, co mi się przytrafiło. Nie potrafiłem sobie poradzić z całym bólem, jaki sprawiła mi twoja matka. Wypierałem go. Miałem się za twardego faceta, a twardej faceci nie cierpią. Przez lata mogą chodzić z taką drzazgą. Ale w końcu to cię dopada. Uświadamiasz sobie nagle, że cały czas próbujesz tylko uratować gówno przed utonięciem. Wziąłem się więc do tej roboty, którą powinienem odwalić dziesięć, dwanaście lat temu. Tyle że na niektóre rzeczy jest już prawie za późno. Musiałem stawić czoła prawdzie, że zmarnowałem te wszystkie lata, zniszczyłem swe małżeństwo. Ożeniłem się i rozwiodłem, tkwiąc po uszy w nie załatwionych sprawach z tego pierwszego związku. Trudno. Coś wygrywasz, coś tracisz. Teraz staram się ustalić priorytety. Co najważniejsze, co najpierw. Próbuję zrozumieć, jaki błąd popełniłem. Ten pierwszy, zasadniczy. Wiesz, co to było?

Spojrzał na nią jasnymi, błękitnymi oczami, tak przenikliwie, że aż się wzdrygnęła. Czekał uśmiechnięty, czujny.

– Pewnie rozwód z mamą – odparła. Spuściła wzrok i ugryzła się ponieważ w język, bo wiedziała już, że to nie tak. Nie odpowiedział. Znów na niego spojrzała. Wciąż się uśmiechał. Pomyślała, że jest bardzo przystojny. Z krótko przystrzyżonymi włosami i stalowobłękitnymi oczami, szerokimi ustami i orlim nosem kojarzył się z rzymskim wodzem, chociaż na szyi nosił okrągły kamyczek na rzemieniu, talizman Indian z prerii. Opalony na brąz – latem chodził na ranczu tylko w szortach i sandałach. Czasem nawet nago.

– To nie był błąd – powiedział. – To była jedna z najlepszych rzeczy, jakie zrobiłem. To i kupienie tego kawałka ziemi. Musiałem coś ze sobą zrobić, coś zmienić, a Ella tego nie potrafi, nie chce. Nie zamierza nic zmieniać, rozwijać się, uczyć. Ze wszystkich sił stara się zachować status quo. Boże, jak się nad tym trzusi! Ale tylko nad tym. Buduje wkoło siebie fortyfikacje z całego gówna, jakie gromadzi w życiu. Wielkie mury, całe stosy gówna! Nigdy tego nie sprząta. To chroni ją przed zmianą. Boże broń, tylko nie zmiana! Boże broń przed wolnością... Musiałem się wyrwać z tego więzienia. Zatrzymało mnie. Czułem się jak żywcem pogrzebany. Próbowałem zabrać ją ze sobą. Nie chciała. Nie chciała się ruszyć. Ella nigdy nie korzystała z wolności, swojej czy cudzej. A ja byłem już tak zdesperowany, że chciałem się wyrwać za wszelką cenę. Wtedy popełniłem



pierwszy błąd.

Poczuła się nie w porządku, że wciąż nie rozumie, na czym ten błąd polegał, ale on zamilkł.

– Chyba nie wiem, co to było – odezwała się w końcu, mając coraz silniejsze wrażenie, że ta sprawa musiała mieć jakiś związek z nią. Nie było to miłe odczucie. Spojrzała przez ramię na śpiące dziecko.

– To, że cię zostawiłem – wyjaśnił cicho ojciec. – Że nie walczyłem o prawo do opieki.

Wiedziała, że to było dla niego bardzo ważne i że takie powinno być też dla niej, jednak znowu poczuła, jakby zaczynał na nią napierać lemiesz buldożera. Bezlitosne, zgarniające i wykorzeniające ostrze. Obejrzała się ponownie na dziecko i całkiem niepotrzebnie poprawiła dół koszulki okrywający mu nogi.

– Ona uważa, że trochę już na to za późno – łagodnie dodał ojciec.

– Och, nie wiem. Widujemy się każdego lata – powiedziała, rumieniąc się.

Spychacz ruszył do przodu, niwelując i oczyszczając teren.

– Żeby dalej żyć, potrzebowałem wolności, a ciebie postrzegałem jako część mojego więzienia – ciągnął. – Część Elli. Nigdy nie zdołałem cię od niej oddzielić. Dosłownie. Oddzielić, odseparować. Nie dopuszczała do siebie nawet myśli o tym. Byłaś jej własnością, całym jej macierzyństwem, a ona supermatką. Wbudowała cię w swój mur. A ja się na to zgodziłem. Może gdybyś była chłopcem, wcześniej bym dostrzegł, co się dzieje. Też miałem do ciebie prawo, miałem prawo wydobyć cię z tego szamba, z tych podejrzanych robót ziemnych. Moim prawem było gwarantowanie twojego prawa do wolności. Rozumiesz? Ale wtedy tego nie rozumiałem. Nawet nie pomyślałem o tym. Po prostu wyrwałem się i zostawiłem ciebie jako zakładnika. Dwanaście lat minęło, nim się do tego przed sobą przyznałem. Chciałem, żebyś o tym wiedziała.

Ann zdjęła z rogu kocyka leżące obok jej biodra nasionko wyczyńca.

– Tak, jasne – powiedziała. – Pewnie dobrze bym na tym wyszła. I ja, i mama, chociaż... Penny nie chciała chyba, żeby kręciła się koło niej nastoletnia pasierbica.

– Gdybym walczył o ciebie i zdobył prawo do opieki, nie miałyby to znaczenia. Oczekiwania i życzenia Penny byłyby nieistotne. Zupełnie. Pewnie w ogóle bym się z nią nie ożenił. Jeden błąd prowadzi do następnego. Każde lato spędzałybyś tutaj. Poszłabyś do porządnej szkoły. A potem do czteroletniego college'u, może do jakiegoś na wschodzie, Smith albo Vassar. Nie mieszkałybyś teraz z lesbijką w San Pablo, nie pracowałybyś nocami w centrali telefonicznej. Nie chcę cię winić. Nie winię też siebie. Po prostu trudno mi uwierzyć, jak silny, jak głęboki strach przed zmianą zaszczerpiła ci Ella. Wpakowała cię w to samo bagno, w te same mury, tę samą pułapkę, w której od lat żyje. A skoro tak, to jaka przyszłość czeka twoje dziecko, Ann?

– No cóż, w gruncie rzeczy tak jak jest, jest całkiem dobrze – powiedziała i nie potrafiąc opanować narastającego lęku o Toddiego, odwróciła się od ojca i uklękła przy śpiącym dziecku, udając, że się obudziło. – Pięknie! Otwieramy oczka! Ale, ale! Króliczek jest ciągle senny. – Głowa małego kołysała się na boki, oczy popatrywały w różnych kierunkach, a gdy tylko położyła go sobie na kolanach, znów usnął. Bliskość ciepłego, drobnego ciała dodawała jej pewności siebie. Zmąciła nogami lustro wody. – Nie powinieneś się o to martwić, tato. Jestem naprawdę szczęśliwa i tego samego chciałabym dla ciebie, jeśli jest inaczej.

– Szczęśliwa – powtórzył, spoglądając na nią przelotnie jasnymi oczami. Przelotnie, ale pogardliwie. Pamiętała, jak kiedyś potrafił w ten sposób odwracać wszystko o sto osiemdziesiąt stopni.

– Tak, szczęśliwa. Ale chciałabym ci coś opowiedzieć.

Gdy szukała słów, Stephen znów się odezwał. Tym razem jakby z satysfakcją.

– Tak myślałem. Ojciec wraca na scenę.

– Nie – zaprzeczyła Ann, puszczając zaczepkę mimo uszu. – W klinice przypuszczają, że Toddie doznał uszkodzenia mózgu. Być może podczas porodu. Dlatego zapewne tak wolno się rozwija, przynajmniej pod pewnymi względami. Dość szybko to zauważyliśmy, ale oni na razie nie potrafią zbyt wiele powiedzieć, chociaż sądzą, że to nic poważnego. Niemniej stwierdzili lekkie upośledzenie. – Przesunęła delikatnie palcem po różowej krągłości ucha dziecka. – Właśnie. To każe się zastanowić. Może trzeba będzie przywyknąć. Nie jest tak źle, jak się obawiałam, ale jednak.

– I co robisz w tej sprawie?

– Na razie nie da się nic zrobić. Można tylko obserwować i czekać. On ma dopiero pięć miesięcy. Zauważyli, że...

– Co robisz, żeby go wyleczyć?

– Nie ma żadnej możliwości leczenia.

– Pozwolisz, żeby rósł taki? Milczała.

– Ann, to mój wnuk. Skinęła głową.

– Nie odpychaj mnie – ciągnął. – Możesz być zła na jego ojca, ale nie przenoś tego na wszystkich mężczyzn, nie dołączaj do tych bab, które najchętniej by nas wszystkich wykastrowały, na miłość boską! Pozwól mi pomóc. Pozwól mi zwrócić się do paru kompetentnych lekarzy, przyjrzyjmy się sprawie dokładniej. Nie zasztywaj się w norze ze swoimi strachami i babskim gadaniem, bo dzieciak się tym wszystkim w końcu zadławi. Nie godzę się z tym, a opinia jakiejś położnej z kliniki, w której spartaczyli ci poród, nic dla mnie nie znaczy. Boże, Ann! Nie możesz go na to skazywać! Niektórym sprawom można zaradzić!

– Jest pod stałą opieką...

– I gówno z tego wynika! Potrzebujesz pierwszorzędných lekarzy, specjalistów, neurologów. Bill może skontaktować nas z paroma. Zajmę się tym, gdy tylko wrócimy do domu. Zadzwońię do niego. Mój Boże. Tego się obawiałem. Właśnie tego. W jakie bagno cię wpakowałem, mój Boże! Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś? Siedzisz tu już z nim cały dzień i nic!

– To nie twoja wina, tato.

– Właśnie, że moja. Gdybym...

– On już taki jest – przerwała mu. – Najlepsze, co możemy zrobić, to pozwolić mu być sobą. Daruj sobie, proszę, te bzdury o „leczeniu”. A teraz mam ochotę popływać. Potrzymasz go?

Kompletnie go zaskoczyła. Mimo że wyraźnie się spłoszył, nie zaprotestował. Ostrożnie przeniosła różowitki, spocone i gładziutki ciało na jego chude uda porośnięte rzadkim, wypłowiałym na słońcu włosem. Zobaczyła, jak podkłada wielką, stuloną dłoń pod maleńką główkę. Wstała, przeszła trzy kroki na koniec pomostu i zatrzymała się na poszarzałych deskach. Woda była płytka, nie nadawała się do skakania głową naprzód. Ann skoczyła na nogi. Przez chwilę czuła pod stopami śliskie wodorosty, po czym popłynęła. Piętnaście stóp dalej odwróciła się i przebijając nogami, spojrzała na pomost. Stephen siedział nieruchomo w powodzi słońca, głowę pochylał nad niewidocznym w jego cieniu dzieckiem.

## FOTOGRAFIA

Ella szorowała właśnie pokryty rdzawymi plamami kuchenny zlew, który wcześniej zasypała środkiem wybielającym, gdy zauważyła, że ta dziewczyna z bloku rozmawia ze Stephenem. Wyprostowała plecy, wzięła z szafki ciemne okulary, przetarła je ręcznikiem do naczyń, nałożyła i wyszła na podwórko za domem.

Stephen pielął grządkę warzywną pod płotem, a ta dziewczyna stała po drugiej stronie. Widać było tylko jej głowę i ramiona. Na brzuchu, w kangurzym nosidełku, trzymała śpiące dziecko, z którego widać było tylko drobną i smukłą główkę, nie większą niż grzbiet kociaka. Stephen pracował jak zwykle, z pochyloną głową, i zdawał się nie zwracać uwagi na dziewczynę, ale zanim Ella zamknęła za sobą siatkowe drzwi, usłyszała jego głos: wspominał coś o zielonej fasoli. Dziewczyna spojrzała na nią.

– Witam, pani Hoby! – rzuciła pogodnie. Stephen nadal garbił się nad grządką.

Ella podeszła sprawdzić, co z praniem, które powiesiła wczesnym popołudniem. Koszulki Stephena i jej żółta suknia już wyschły, ale dżinsy były jeszcze mokre. Niczego innego się nie spodziewała, potrzebowała tylko pretekstu, żeby wyjść z domu.

– Macie bardzo miły ogród – powiedziała dziewczyna.

Stojący za płotem blok z ośmioma mieszkaniami wzniesiono dziesięć lat temu. Za nim, gdzie był kiedyś ogród Pannisa z wielką jacarandą, zrobiono tylko cementowy podjazd i garaże. Dzieci nie miały się tu gdzie bawić. Jednak zanim to dziecko dorośnie, dziewczyna na pewno się wyprowadzi. Ludzie żyjący na zasiłku nigdzie nie zagrzewają długo miejsca. Mężczyźni bez pracy, kobiety bez mężów... wciąż tylko puszczają głośno muzykę z tych wielkich pudeł i palą po nocach trawkę w tych swoich wiecznie przegrzanych, małych mieszkankach.

– Stephen i ja znamy się ze sklepu – wyjaśniła dziewczyna. – W zeszłym tygodniu był tak miły i odniósł mi zakupy. Bardzo mi pomógł. Byłam z dzieckiem i ręce mi już odpadały.

Stephen zaśmiał się mrukiwie, ale nie podniósł głowy.

– Od dawna tu mieszkasz? – spytała dziewczyna.

Ella przewieszała dżinsy, żeby robić cokolwiek. Najpierw ułożyła równo szwy, dopiero potem odpowiedziała za Stephena:

– Mój brat mieszka tu od urodzenia. To jego dom.

– Naprawdę? Świetnie. Całe życie? Zdumiewające. Ile masz lat, Stephen?

Ella nie sądziła, że brat odpowie, i już zamierzała go wyręczyć, gdy po chwili się odezwał:

– Cztery. Czterdzieści cztery.

– Czterdzieści cztery lata w jednym miejscu? Zdumiewające. Co prawda to ładny dom.

– Kiedyś owszem. Gdy byliśmy dziećmi, wszędzie tu stały jednorodzinne domy – stwierdziła Ella suchym głosem, chociaż musiała przyznać, że dziewczyna nie zadziera nosa, jest uprzejma i mówi wprost do Stephena, całkiem inaczej niż większość ludzi. Inni zwykle albo go ignorowali, albo krzyczeli, jakby mieli do czynienia z głuchym. A on wcale nie był głuchy, tylko trochę niedosłyszał na prawe ucho.

Stephen wstał, otrzepał uważnie kolana i przeszedł przez trawnik do domu. Stopą zatrzasnął za sobą drzwi.

Ella przysiadła na betonowej podstawie suszarki, żeby wyrwać z trawy mlecz. Od trzech lat wyrastał ciągle w tym samym miejscu. Należałoby usunąć wszystkie jego korzonki, ale sięgały aż pod beton.

– Uraziłam go? – spytała dziewczyna, poprawiając dziecko w nosidełku.

– Nie. Pewnie poszedł po fotografię. Będzie chciał ją pokazać. Zdjęcie tego domu.

– Naprawdę go lubię – powiedziała dziewczyna. Robiła przerwy między wyrazami, jak dziecko. Miała niski, lekko chropawy głos, taki trochę przepity, ale w nieletniej wersji. Zresztą biedactwo było całkiem młode. W telewizji ciągle mówią, że ostatnio coraz częściej dzieci mają dzieci.

– Pani też zawsze tu mieszkała, pani Hoby?

Ella próbowała poluzować korzeń mlecza. Zdjęła okulary i spojrzała na dziewczynę.

– Prowadziłam z mężem pensjonat. W górach, tam gdzie rosną sekwoje. Stary budynek nad rzeką, wzniesiono go jeszcze w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Znane miejsce. Mieliśmy go przez dwadzieścia siedem lat. Po śmierci męża prowadziłam go jeszcze dwa lata, ale gdy zmarła mama i zostawiła ten dom Stephenowi, przeszłam na emeryturę i przenieśliśmy się do niego. Nigdy nie mieszkał z nikim obcym. Ma pięćdziesiąt cztery lata, a nie czterdzieści cztery. Nie radzi sobie najlepiej z liczbami.

Dziewczyna słuchała z zainteresowaniem.

– Ma pani jeszcze ten pensjonat czy musiała go pani sprzedać?

– Sprzedałam.

– Jaki on był?

– Wielki. Typowy wiejski hotel. W górach na północy. Dwadzieścia sześć pokoi. Wysokie stropy. Jadalnia na werandzie tuż nad rzeką. Gdy go kupiliśmy, musieliśmy zmodernizować kuchnię, wymienić instalacje. Kiedyś było więcej takich eleganckich miejsc. Do czasu, aż pojawiły się motele. Ludzie przyjeżdżali na tydzień, na miesiąc. Niektórzy, tak samotni, jak i całe rodziny, zjawiali się regularnie co lato. Lub co jesień. Przed wyjazdem rezerwowali sobie miejsca na następny rok. Mogli połowić u nas pstrągi, pojeździć konno, pochodzić po górach. Pensjonat nazywa się The Old River Inn. Pisali o nim w przewodnikach. Obecni właściciele zrobili z niego zajazd, taki z noclegiem i śniadaniem. – Ella wcisnęła palce pod naprężony korzonek mlecza i pociągnęła. Pękł. Powinna wziąć gracz albo widły do spulchniania ziemi.

– To musi być fascynujące prowadzić taki pensjonat – odezwała się dziewczyna.

Ella mogłaby jej odpowiedzieć, że przez ćwierć wieku nie miała przez to wakacji i że hotel zabrał jej wszystkie siły, a Billa zabił, że zmarnowali przez niego życie, nic nie zyskując w zamian prócz narastającego obciążenia hipoteki. Opłaty za noclegi i posiłki nie starczały im nawet na własne utrzymanie. Jednak w głosie dziewczyny pobrzmiwało coś sugerującego, że wyobraża sobie i porośnięte lasem grzbiety wzgórz, i hotel pośród łąk nad rzeką, i że widzi go tak jak kiedyś Ella: stary, dostojny i piękny gmach.

– To była ciężka praca – powiedziała więc tylko, ale z lekkim uśmiechem.

Stephen wyszedł z domu i ruszył przez trawę. Spojrzał na dziewczynę i zaraz wbił oczy w fotografię, którą przyniósł. Oprawione w ramki zdjęcie przedstawiało mamę z tatą na ganku domu i pochodziło z roku, w którym go kupili. Ella siedziała w dzieciennym fartuszkach na górnym stopniu schodków, Stephen leżał w wózku. Dziewczyna wzięła fotografię i długo na nią patrzyła.

– To mama. To tata. To Ella. To ja, jeszcze niemowlę – wyjaśnił Stephen i zaśmiał się cicho.

Dziewczyna też się roześmiała, pociągnęła nosem i całkiem otwarcie otarła łzy z oczu.

– Ależ te drzewa były wtedy malutkie! Wiele pracy włożyliście w ten ogród. – Oddała ostrożnie zdjęcie ponad ogrodzeniem. – Dziękuję, że mi je pokazałeś – powiedziała, a w jej jakby nieco przepitym głosie pobrzmiwało tyle smutku, że Ella odwróciła głowę i znów spróbowała złapać koniec korzonka mlecza. Daremnie. Grzebała jednak w ziemi, aż dziewczyna odeszła, bo nie mogła jej powiedzieć nic więcej ponad to, co tamta i tak już wiedziała.

## OPOWIEŚĆ

Ann siedziała prosto na białym żelaznym krześle należącym do wyposażenia małego, wyłożonego kamiennymi płytami tarasu z tyłu domu. Była bosa, ubrana na białą. Za nią kwitły przepysznie stare krzaki abelii. Jej dziecko siedziało tuż obok, prawie na skraju trawnika, pośród

porozrzucanych plastikowych zabawek. Ella patrzyła na nich przez szpary w żółtych żaluzjach kuchennego okna. Żaluzje były tak ustawione, by słońce padało na sufit, i niskie pomieszczenie pełne było ciepłego, woskowego światła. Todd przesuwał zabawki, ale nie wyglądało na to, żeby ustawiał je wedle jakiegoś zamysłu czy porządku. Nie mówił ani słowa, gdy podnosił tę czy inną. Nie miał nic do opowiedzenia. Rzucił figurkę jakiegoś zwierzaka i podniósł ułamany kwiat mleczu. Też go rzucił. Czasem tylko coś mruknął lub zabuczał głucho, jak przez nos, dość głośno, tak że Ella wyraźnie to słyszała: „Ah-han, an-han, han...” Kołysał się przy tej muzyce, a skryta częściowo za grubymi okularami twarz pogodniała. Był pięknym dzieckiem.

Jego matka, Ann, też pięknie wyglądała w słońcu. Błada skóra lśniła od potu, rozpuszczone czarne włosy połyskiwały na tle cieni i małych, kremowych kwiatków abelii. Czy cokolwiek zapowiadało, że wyrośnie na podobną piękność? Ella uważała, że jest raczej przeciętnym dzieckiem, nawet się od niej dystansowała, nie szukała w niej urody. Może dlatego, że gdyby się jej dopatrzyła, tym boleśniesz byłoby poczucie straty, gdyż Stephen i Marie bardzo rzadko przyjeżdżali na Zachód, a po rozwodzie Marie nie chciała nigdy wysłać tu dziewczynki samej. Przez trzy albo cztery lata Ella w ogóle nie widziała Ann, a przecież wnuki rosną o wiele szybciej niż własne dzieci.

Ze Stephena to było dopiero ładne dziecko! Ludzie zatrzymywali ją na ulicy, by go popodziwiać w tym biało-granatowym ubranku, gdy zabierała go jeszcze z sobą w wózku, a także później, kiedy holowała go za rączkę do starego marketu Cash & Carry. Miał tak jasne i czyste błękitne oczy, tak ładnie skręcone blond loczki... I patrzył z taką ufnością, tak niewinnie, jak zdarza się tylko małym chłopcom. Zostało mu to na dość długo, bo aż do okresu dojrzewania. A jakie historie opowiadał, gdy był w wieku tego dziecka! Od rana do nocy coś wymyślał, aż czasem traciła do niego cierpliwość. Szemrał sobie przy stole i w ogóle wszędzie, snując tę sagę o Drewnianym Psie i... jak było tej drugiej?... o Punchy. Sam wymyślił i Punchę, i wszystkich innych. W tamtych czasach nie było jeszcze telewizji ani jaskrawych plastikowych zabawek przedstawiających żołnierzy, czołgi czy potwory. Gdy mieszkali na ranczu, Stephen nie miał się nawet z kim bawić, chyba że Shirley przywiozła akurat swoje dziewczynki. Ciągnął więc te nie kończące się opowieści. Ella nigdy się nie zorientowała, o co w nich naprawdę chodzi. Bawił się przy tym samochodzikiem albo kawałkami tektury, starymi szpulkami... wtedy były z drewna... drewnianymi klamerkami do wieszania prania i przez cały czas lekko zachrypniętym, monotonnym głosem mrucał sobie pod nosem: „No i pojechali, rrrrrm, rrrrrm, rrrrrm, i potem tam czekali, więc pojechali dalej, rrrrrm, rrrrrm, aż droga się skończyła i spadli, spadli, spadli, pomocy, pomocy, gdzie jest Punched?” I tak w kółko, nawet wieczorem w łóżku.

– Stephen?

– Tak, mamgo?!

– Ucisż się i śpij!

– Przecież śpię, mamgo! – odpowiadał tonem urażonej prawości.

Tłumiła śmiech i podchodziła na palcach do drzwi, a po minucie cieniutkim głosem znów zaczynał szeptać: „No to powiedzieli chodźmy, chodźmy nad jezioro. Na jeziorze była łódź i wtedy Drewniany Pies zaczął tonąć, plusk, plusk, pomocy, pomocy, gdzie jest Punched? Tutaj jestem, Drewniany Pse...” W końcu rozległo się ziewnięcie i zapadała cisza.

Gdzie to się wszystko podziało? Dlaczego odeszło? Niedysiejszy zabawny chłopczyk, który przerabiał wszystko na historyjki, obecnie za nic nie potrafił pojać opowieści o zastępcy dyrektora kompanii telefonicznej, który ożenił się po raz trzeci i którego jedyne dziecko z pierwszego małżeństwa siedziało na białym krześle, doglądając swojego jedyne nieślubnego dziecka kołyszącego się bez końca tam i z powrotem w jednym miejscu i mrużącego swą monosylabyczną

muzykę.

– Ann! – zawołała Ella, unosząc żaluzje. – Dietetyczna cola czy lemoniada?!

– Lemoniada, babciu!

I co się z tym porobiło? raz jeszcze zadała sobie pytanie, wyjmując lód z zamrażalnika i kubki z szafki. Dlaczego ta opowieść nie nabrała sensu? Tyle nadziei wiązała ze Stephenem, tak pewna była, że jej syn dokona w życiu czegoś znaczącego. Do dzisiaj nic z tego nie wyszło i oczywiście nie ma już sensu na to czekać. Może lepiej było żyć tak jak biedna Ann, której i nadzieję, i dumę zastępował trzeźwy realizm: „On nigdy nie będzie w pełni samodzielny, ale być może uda się znacznie ograniczyć jego skłonność do uzależniania się od innych...” Czy zatem lepiej, uczciwiej było opowiadać tylko takie właśnie, krótkie historyjki? Czy wszystkie musiały być fałszywe jak książkowe romanse?

Wzięła tacę i postawiła na niej kubki, dwa wysokie i jeden niski, po czym napełniła je lodem oraz lemoniadą. Mlasnęła językiem z irytacji, wyjęła lód z kubka Todda i naląła do niego czystej lemoniady. Na brzegu tacy ułożyła cztery ciasteczka w kształcie zwierzątek i wyniosła wszystko z domu. Drzwi zamknęła stopą. Ann wstała, wzięła od niej tacę i postawiła ją na ogrodowym stole. Dzięki regularnemu malowaniu białą farbą wciąż wyglądał solidnie, ale pręty rdzewiały już w wielu miejscach.

– Ktoś ma ochotę na ciasteczka? – spytała cicho Ella.

– O tak, chętnie. Todd, popatrz, co tu leży. Popatrz, co ci babcia przyniosła!

Grube szkiełka okularów obróciły się w ich stronę. Dziecko wstało i podeszło do stołu.

– Babcia da ci ciasteczko, Todd – powiedziała wyraźnie i poważnie młoda mama.

Dziecko stało nieruchomo. Ella wzięła jedno ciasteczko.

– Proszę, kochanie. To tygrys, jak sądzę. Nadchodzi tygrys, tygrys do ciebie idzie. – Przeszła ciasteczkiem przez tacę, zeskoczyła na stół i zbliżyła się do krawędzi blatu. Nie była wcale pewna, czy czterolatek w ogóle patrzy na jej poczynania.

– Weź je, Todd – poleciła matka.

Dziecko powoli wyciągnęło otwartą dłoń w kierunku stołu.

– Hop! – zawołała Ella, przeskakując ciasteczkiem na dłoń chłopca.

Todd spojrział na tygrysa, potem na matkę.

– Zjedz je, Todd. Jest bardzo dobre.

Dziecko wciąż stało nieruchomo z ciasteczkiem na dłoni. Znów na nie spojrzęło.

– Hop – powiedziało.

– Dobrze! Zrobiło hop! Prosto do Toddiego! – Ella czuła, że łzy napływają jej do oczu. Sięgnęła po następne ciasteczko. – To jest świnka. Ona też może zrobić hop! Chcesz, żeby zrobiła hop?

– Hop! – powtórzyło dziecko. Lepsza już taka opowieść niż żadna.

– Hop! – powiedziała prababcia.

# PANNA BARDZO MŁODA

Czy to on zabrał mnie od niej, czy to ona sprawiła, że zostawiłam jego? Nie wiem, czy tamto z początku to było światło. Nie wiem, gdzie był mój dom. Pamiętam ciemny samochód. Długi, wielki i tak szybki, że droga umykała falą. Pachniało w nim, pachniało darnią, szczeliną, rozwarciem. Droga biegła w dół, to pamiętam. Pamiętam, jakie kwiaty czasem tak pachną. W nazwie hiacynt znajduję purpurę, róż, czerwień i kolor jabłka granatu. Ale to zakazany kolor. Jeśli wypowiem jego nazwę, spotka mnie kara, wywołanie straszne i niszczące, jeśli wypowiem nazwę mleka, ziemia poczuje boleść. Ziemia będzie boleć i znów po mnie sięgnie, białymi, brunatnymi ramionami, które szukają, zagarniają, macają, dławią. Skoro tam byłam, pod tym dachem... co w tym złego? Czyż nie byłam tam miłym gościem? Zostałam wybrana, byłam królową. Ręce wyciągały się po mnie, ale nie mogły mnie złapać. Nie spoglądałam w górę, gdy jechaliśmy długimi, czarnymi rzekami. Samochód mknął po nich tak szybko! Ale zatrzymaliśmy się, żebym mogła nadać rzekom nazwy: Pamięć, która unosi wspomnienia; Furia, która wygląda otoczaki; Groza, w której pływamy bez strachu. A potem były wodospady! Nie nadawałam im nazw. Wciąż spadają z głębi w głębie jeszcze większą, gdzie tylko ciemność i gdzie ginie ich blask i tylko grzmot wody dolatuje z otchłani, powiadając to, czego nie potrafimy wypowiedzieć. Dźwięk porusza się wolniej niż światło, ale za to pewniej. To był ten zew, który docierał do mnie ze szczytów. Dźwięk, nigdy światło. Jak światło mogłoby wnikać tutaj, do środka? Tu nie ma miejsca na światło. Za głęboko. Ale zew dotarł hiacyntem, kolorami podążającymi przed światłem. O Matko! Matko! Matko! Kto wołał? Kto ją wołał? Ja?

On jest bogaty, Matko. Mieszka w piwnicy starego domu z masą starych rzeczy, suchych rzeczy, korzeni i monet, skrzyń i szaf, i cieni. Mieszka w piwnicy, ale jest bogaty. Wszystko mógłby kupić.

Nie, nie krzywdził mnie, tylko raz. Kiedy się przestraszyłam, bo przyszedł, gdy byłam tam sama. Zabrał mnie, a potem kazał mi wejść, zejść do środka. Weszliśmy, gdzie nigdy wcześniej nie byłam, i już tam zostałam. Tak, gdy moja matka pracuje, zawsze zostaje sama. Zostaje w domu z ogrodem, bo gdzie indziej iść? Nie, nie znam mojego taty. Tak nie, nie wiem. Nie wiem co to znaczy. Zabrał mnie ze sobą samochodem. Poszłam z nim. Tak dotykał mnie tam. Tak zrobił to. Tak zrobił to. Tak zrobiliśmy to. Tak mówiłam nie, nie mówiłam. Powiedział że jestem jego żoną. Powiedział że wszystko co ma jest moje. Czy mogę zobaczyć się teraz z matką?

Tak dał mi biżuterię. Wzięłam ją tak. Włożyłam ją tak. Była piękna, kamienie, ametysty, rubiny. Dał mi hiacyntową koronę, granatowy kamień. Dał mi złoty pierścień który noszę. Nigdy nie wychodziliśmy z piwnicy nie. Powiedział że na zewnątrz jest niebezpiecznie. Że trwa wojna. Że tam jest wróg. Nigdy mnie nie skrzywdził tylko na początku. Potrzebował mnie. Zrobiliśmy to tak jestem jego żoną. Z nim tam władam. Z nim osądzę was wszystkich. Co wy sobie myślicie z kim macie do czynienia?

Ona przyszła, wróciła do mnie, żona muzyka, moja przyjaciółka. Wiedziałam, że wróci. Wróciła zapłakana. Wiedziałam, że tak będzie. Czekałam na nią przy drodze i płakałam z nią, gdy wróciła sama, ale niedługo. Łzy jej obeschły. Tutaj w ciemności nie ma żałoby. Kilka łez, jak ziarna granatu, pięć lub sześć półprzezroczystych nasion jak nie oszlifowane rubiny, to starczy, starczy do jedzenia, starczy.

O Matko, nie płacz, ja tylko bawiłam się w chowanego! Tylko się chowałam! Żartowałam, Matko, nie chciałam zostawać tak długo. Nie wiedziałam, że jest tak późno. Nie zauważyłam, że zrobiło się ciemno. Bawiliśmy się w króla i królową i w chowanego i nie wiedziałam, nie wiedziałam, nie wiedziałam. Czy tam mieszkam? Czy to mój dom? To na zewnątrz ziemi, a ja mieszkałam w środku. To w środku ziemi, a ja mieszkałam na zewnątrz. To ciemność, a ja przyszłam

z blasku, z ciemności w ten blask. On mnie naprawdę kocha. Czeka na mnie. Czemu w twojej miłości zima nastąpiła? Czemu masz takie zimne ręce?

Co robi moja matka? Prowadzi dom.

Nie ma rzeki dość długiej, by spłukać jej gniew. Nigdy nie wybaczy i zawsze będzie się bała. Wroga sobie uczyniłaś, mój panie.

Matko, uspokój się. Nie płacz, nie zmuszaj mnie do płaczu. Zima nastanie, powrócę, wiosna to mój powrót. Przyniosę hiacynty. Możesz na mnie polegać, wiesz, nie jestem już dzieckiem. Ale skoro jestem twoją córką, to jak mogę być jego żoną? Czego ode mnie chcesz, czy to ważne, kto śpi w moich ramionach? Ona mnie obejmuje, kołysze, kołysze. Noszę złoty pierścień od niego i spaceruję po ogrodzie, który dla mnie zasadziła, czerwone kwiaty, purpurowe kwiaty, drzewa granatu z białymi i brunatnymi korzeniami, co sięgają głęboko w ziemię. Zawsze poszukiwana, ale czy zostanę znaleziona, czy nigdy siebie nie poszukam, nie odnajdę? Jednym ciałem z korzeniem i kwiatem przebić murawę, poprowadzić ciemny samochód do domu, skręcając, zawracając, gdzie mój dom? Czy nigdy nie przyjdzie mi urodzić córki?



# WSPINACZKA NA KSIĘŻYC

Mały Aby pomoże jej zrobić ognisko. Zbiegnie z wydm, jego kudłata głowa zarysuje się jak puch ostu na tle złocistego, zachodniego nieba.

– Zróbmy ognisko, zanim będzie ciemno, Aby! – powie ona, a dziecko, całe chętne do wykonywania dorosłych prac i gotowe zostać jej współnikiem, szczególnie przy szykowaniu pięknego i niebezpiecznego ogniska tuż przed nocą, zaraz odpowie:

– Przyniosę drewna! – i pobiegnie niczym klucząca osobliwie, pierzasta strzała. Będzie szukał, pochylał się, zbierał kawałki wyrzuconego przez fale drewna i gubiąc to i owo, wracał pędem, by zostawić drobny ładunek. I zaraz pogna po następny. Ona będzie wszystko metodycznie układała. W pobliżu zagrzebanej częściowo w piasku, częściowo spalonej kłody, którą wybrała na osłonę przed wiatrem i oparcie dla pleców, leży całe mnóstwo sponiewieranych przez morze, ale ciągle użytecznych kawałków drewna. Gdy zgromadzi ich już dość dużo, zacznie ustawiać patyki, opierając je o osmalone monstrum tuż ponad zagłębieniem, gdzie ułożyła wcześniej ciasno zmięte arkusze gazet i mały stosik drewnienek najlepiej nadających się na podpałkę. To nie będzie wielkie ognisko. Ogromny, huczący i strzelający iskrami ogień przeraziłby Aby’ego. I ją też. To będzie małe, jasne i czyste ognisko, pasujące do tego pogodnego i świetlistego wieczoru.

Aby przyjdzie zdyszany z „bardzo wielką kłodą”: gałęzią długą co najmniej na trzy stopy i tak ciężką, że będzie ją musiał ciągnąć. Ona przykłęknie, chwając i zdobyczą, i zdobywcę. Klęcząc, obejmie gołą ręką jego drobne ramiona i powie:

– Aby, popatrz, kochanie – i oboje spojrzą na zachód.

– Tam było słońce – powie Aby, wskazując na środek jasnego obszaru wciąż jeszcze udekorowany blad różowym wachlarzem ledwo widocznych w pozłocie nadmorskiego nieba promieni.

– A to jest cień Ziemi – powie ona, spoglądając na niebieskawą smugę mroku ciągnącą się od gór na wschodzie i znikającą w głębi nieba dokładnie nad nimi.

– O rany! – mówi zachwycony tym wszystkim Aby i wywija się z uścisku. – Patrz, tam jest jeszcze większa kłoda! – I już go nie ma.

– Gdy wrócisz, rozpalimy ognisko! – woła ona, sprawdzając, czy ma w kieszeni zapalki. Siada na ciepłym piasku i patrzy, jak świetlisty wachlarz znika z wolna za mroczniejącym horyzontem. Fale załamują się w regularnych odstępach, w każdej chwili sunie ich do brzegu sześć lub siedem. Nie są bardzo hałaśliwe, ale i tak tłumią niemal wszystkie inne odgłosy plaży prócz rzadkiego krzyku ostatnich, wieczornych mew. Dziś nikt inny nie pali tu ogniska. Nikt nie przechadza się tuż nad wodą.

Słyszając rytmiczne dudnienie, myśli najpierw, że to helikopter albo patrol Straży Przybrzeżnej, i patrzy na południe, szukając ciemnej kropki na tle nieba, ale kątem oka zauważa, że coś porusza się znacznie niżej, wzdłuż linii załamujących się fal, i słyszy coraz głośniejsze łup-łup-łup kopyt uderzających o twarde, mokry piasek. Koń wyciąga szyję w pełnym galopie, jeździec pochyła się do przodu, chociaż jedzie na oklep... Piękny to widok, gdy ich połączone sylwetki przemieszczają się na tle lśniącego piasku, cudowny jest ten dziki rytm, a ile odwagi wymaga taka jazda bez siodła! Zmierzają na północ, nikt nie widzi ich z wolna w nasiąkającej zmierzchem mgiełce zbierającej się u granicy morza i łądu. Ależ widok! Chciałaby, żeby centaur zawrócił i raz jeszcze przegalopował pomiędzy piaskiem i morzem, światłem dnia i ciemnością. I wkrótce dolatuje ją z północy rytmiczne łup-łup-łup, chociaż bardziej czuje to, niż słyszy, i nisko snująca się mgła przybiera kształt konia i jeźdźcy, teraz w lekkim cwale. Zwalniają, skręcają nieco i zwykłym już krokiem zbliżają się do niej przez piasek. Zatrzymują się. Koń unosi łeb, potrząsa nim. Ma tylko proste wędzidło ze sznurka

i pojedyncze wodze.

– Widziałem, jak rozpalasz ogień – mówi jeździec.

Ona wstaje i kładzie dłonie na karku ciemnego gniadosza z białą, lśniąca w półmroku gwiazdką na czole. Głaszcze miękkie chrapy, unosi dłoń, by podrapać trochę pod spoconym włosom nad ślepiami i wkoło dużych, delikatnych i strzygących uszu. Jeździec uśmiecha się. Zeskakuje z konia. Zwyczajem kowbojów puszcza wodze, a koń parska z cicha, raz tylko, i stoi spokojnie. Och, przecież ona zna tego kowboja, tego centaury, tego jeźdźca bez siodła.

– Gdzie jeździłeś? – pyta.

– Wzdłuż wybrzeży Bohemii – odpowiada on z uśmiechem. Ognisko już się rozpało. Ona dorzuca grubą, okorowaną gałąź, która zajmuje się od razu. Siadają po obu stronach ognia i patrzą sobie w oczy ponad tańczącymi płomieniami, przy których wieczór wkoło wydaje się jeszcze ciemniejszy.

– Nie Bohemii, tylko Węgier – mówi ona. – Znów jeździłeś z Madziarami.

– Przemierzałem stepy – mówi on głosem łagodnym i dźwięcznym i znów się śmieje. – Z hordami wojowników jadącymi złupić Zachód.

– Za którymi ciągną kobiety z dziećmi, żrebackami, namiotami i materacami...

– I rozpalają ogniska, a wtedy mężczyźni zawracają, żeby usiąść przy ogniu.

– I mój mężczyzna też wraca, by usiąść przy ogniu – mówi ona, a on po cichu przesuwa się, pojawia się miękką sylwetką u jej boku, obejmuje ciepłem jej ramiona. Ona odwraca się do niego i wtula się w te ramiona, ciemna głowa chyli się ku niej, całują się długo, bardzo długo... Blask ognia tańczy jej tęczą na rzesach. Piasek jest miękki i ciepły, ciemne to łoże i bezkresne, choć pomięte, szumiące.

Ona patrzy sennie w cień świata i widzi Wege, która patronuje letnim nocom. Jest niczym zwornik niebios. Cześć, mruży do gwiazdy. Smuga Drogi Mlecznej jeszcze się nie pokazała, na razie na turkusowokobaltowym niebie mrugają słabo tylko cztery gwiazdy Łabędzia.

Piasek wciąż jeszcze jest nagrany po długim i słonecznym dniu, ale niezbyt miękki. Leżąc przez chwilę na takim piasku, człowiek przypomina sobie, że to w końcu rozdrobniony kamień. Ona siada i patrzy na ognisko, potem dokłada kilka długich gałązek, które będzie można wsunąć głębiej, gdy już się nadpalą. Gałęzie buchają płomieniem, przez chwilę bardzo gwałtownym. Patrząc na niemal całkiem ciemną już teraz plażę, nad którą snuje się lekki opar mgły, wyobraża sobie, jak ognisko musi wyglądać stamtąd, od strony fal: ciepła i migocząca gwiazda ziemi. Chce to zobaczyć. Wstaje, przeciąga się i idzie wolno ku pasowi mokrego piasku. Nie ogląda się, aż bosymi stopami wyczuwa zimną wodę. Staje w niej, obraca się i patrzy na ogień płonący u podnóża wydm.

Jest maleńki, drżący i prawie ginie w granatowoszarym mroku, który dawno już pochłoniął góry. Nad głową nie jaśnieje nic prócz gwiazd. Drżąca biegnie z powrotem po piasku prosto do swojego ognia, do jego ciepła. Po obu stronach ogniska siedzą w milczeniu dwie kobiety. Obie patrzą w płomienie. Ich opalone i pomarszczone twarze rudzieją w blasku rzucającego ruchliwe cienie ognia. Trochę zdyszana siada między nimi z plecami zwróconymi do morza.

– Jak woda? – pyta jedna z kobiet.

– Brr! – pada odpowiedź.

– Kiedy to pojechałyśmy na plażę do Santa Cruz? – zwraca się starsza kobieta do młodszej.

– Zaraz po wojnie – odpowiada tamta. – Chyba wtedy? Pamiętam, jak na pikniku narzekałyśmy, że nie ma jajek na twardo.

– Meksykańska kuchnia. Ohyda. Solony tłuszcz i tyle! Ona była wtedy jeszcze mała. Miała chyba ze trzy lata, prawda?

– Może raczej pięć?

Ich głosy są łagodne, jak zawsze. Nie wypowiadają kategoriycznych sądów, kwestie pozostawiają otwarte.

– Pamiętam, że rozpaliliśmy ognisko na plaży. Pod taką wyrzuconą przez sztorm kłodą, podobną do tej. Siedzieliśmy do późna. Tak, to było wtedy, bo pamiętam, jak myślałam, że tam daleko nie toczy się już żadna wojna, i aż trudno było uwierzyć, że morze to znów tylko morze. Rozmawialiśmy, a ona dawno już zasnęła otulona kocą. I całkiem nagle, ni z tego, ni z owego, spytała: „Mamo, zawsze już tak będzie?” Pamiętasz? Do dziś nie wiem, czy obudziła się wtedy, czy mówiła przez sen.

– Pamiętam, próbowałyśmy przypomnieć sobie nazwy gwiazdozbiorów. Chyba niezupełnie się obudziła, patrzyła w ogień. „Zawsze już tak będzie?” A ty powiedziałaś, że tak, „Tak właśnie będzie”, i zadowolona ułożyła się z powrotem.

– Naprawdę? Naprawdę to powiedziałam? Zapomniałam...

Zaśmiały się cicho, jakby chrząkały. Spojrzała na jedną, potem na drugą twarz. Były bardzo podobne, chociaż jedną pokrywała pajęczyna zmarszczek, a druga wciąż była pełna, z wilgotną dolną wargą. W głębi ich oczu tańczyły odblaski płomieni z ogniska.

– A jednak tak nie jest... Nieprawda?

Spojrzały na nią czterema migotliwymi ognikami. Śmiały się? Nie, tylko uśmiechały. Za kręgiem blasku odezwał się krótko jakiś mężczyzna, rozległa się kobieca odpowiedź.

– Może by tak dorzucić do ognia? – spytał jeden z mężczyzn.

Spojrzała na swój ogień i uznała, że przyszła pora na ten odłożony kawałek: masywny i idealnie suchy fragment wielkiego konaru. Ułożyła go starannie w sercu płomieni, gdzie powinien zająć się szybko i równo. Iskry wystrzeliły w całkiem już ciemne niebo. Wszystkie gwiazdy zwieszały się nisko nad ogniem, nad morzem. Smuga Galaktyki bielila spokojne wody poza obszarem spienionych fal. Tu i ówdzie chwilami coś błyskało w falach przyboju: jasna piana, drobne morskie żyjątka, morskie świetliki. Mgła opadła i powietrze mroczyło równomiernie. Rzesze gwiazd jaśniały intensywniej niż wodny mikrokosmos fal.

Ogień potrzaskiwał, a wilgotny rdzeń konaru syczał i śpiewał. Noc robiła się chłodna. Wszyscy siedzieli lub leżeli w pobliżu ognia. Niektórzy rozmawiali cicho, inni patrzyli w płomień lub spali. Aby też dawno już zasnął skulony na kocu obok niej. Naciągnęła koc z powrotem na jego gołe nogi. Zamachał nimi, protestując przez sen.

– Tak – szepnęła. – Tak będzie, kochanie.

Któryś z koni parsknął wyżej pośród wydm. Morze huczało nisko i miarowo, napełniało skraj lądu rykiem zbyt głośnym, by długo tego słuchać. Chwilami cieplejszy wiatr dmuchał od wody, niosąc woń soli i lata. Unosił na chwilę kilka garści iskier.

Wstała w końcu, cała zeszywniała. Niespiesznie zasypała żarzące się węgle zimnym piaskiem. Gdy skończyła, wspięła się samotna w blasku gwiazd na wydme, wprost ku księżycowi, który jeszcze nie wzeszedł.

# DUŻA DZIEWCZYNIKA TATUSIA

Dla taty to było coś strasznego. Można było poznać, jak mu ciężko, bo nigdy ani słowem nie wspomniał, gdzie jest Jewel Ann. On jeden nazywał ją Jewel Ann, Klejnotem, a nie po prostu Ann, jak zamierzali, bo uważał ją za swój mały skarb. Z początku naprawdę szalał na jej punkcie.

Kiedy się urodziła, miałam sześć lat. Pamiętam, jak mama wróciła z nią ze szpitala i jak przesłoniła tacie cały świat. Mnie zresztą też. Była taka mała i ładnie pachniała, jak to niemowlęta, i mogłam pomagać mamie przy niej, przynosić pieluszki, olejek do kąpieli, puder i co tam jeszcze. Do mnie pierwszej oprócz mamy się uśmiechnęła i byłam z tego dumna. Była więc też moim dzieckiem. Stałam przy wózku i pilnowałam jej, gdy mama robiła zakupy. Kiedy wyrosła z wózka, prowadziłam ją za rączkę i czekając, aż mama zrobi zakupy, szliśmy zawsze przed sklep popatrzeć na te maszyny, które za centa dawały gumową piłeczkę, a za dziesiątka lub ćwierćdolarówkę plastikową kulę z niespodzianką w środku: zwiniętym węzem, pierścieniem lub wisiorkiem czy magiczną zabawką. Mówiłam, co chciałabym wygrać, gdybym miała ćwierć dolara, a Jewel Ann zawsze wybierała to samo co ja. Raz jeden starszy pan chciał nam dać ćwierćdolarówkę i chociaż pewnie nie miał złych zamiarów, zrobiliśmy, jak nas nauczono, odwróciliśmy się i nic od niego nie wzięliśmy. Potem, gdy opowiedziałyśmy o tym mamie, sama dała nam po dwadzieścia pięć centów, ale gdy wrzuciłyśmy monety do maszyny, żadna z widocznych plastikowych kul nawet się nie poruszyła, bo pod nimi były jeszcze inne, których się nie widziało, i to one wychodziły. Ja dostałam amerykańską flagę na wykałacze ze stojaczką, a Jewel Ann różowy plastikowy pierścienek, ale taki bez najmniejszego nawet kawałka szkła w miejscu oczka. Była jednak dość mała, żeby się jej spodobał, zatrzymała też połówki plastikowych kul i używała ich potem jako filiżanek do herbaty. Jewel Ann była już wtedy dość wysoka i sama wrzucała monetę w szczelinę maszyny. Mówiła równie dobrze jak większość dorosłych, radziła sobie też z moimi drewnianymi układankami, które dostałam od babci, a gdy bawiłyśmy się w dom, nie była wcale dzieckiem, ale panią, którą nazywała Goopie. Ja byłam jej sąsiadką panią Boopie. Bawiłyśmy się w panią Goopie i panią Boopie przez całą wiosnę, gdy wracałam ze szkoły, i potem przez całe lato. Wychodziłyśmy z naszymi lalkami na tyły domu, pod sosny. Duane nie bawił się z nami, tylko z innymi chłopcami, i w takie gry, w które można wygrać albo przegrać. Żadna z dziewczynek, które znałam ze szkoły, nie mieszkała nigdzie blisko nas, bo szkoła była daleko, jeździłam do niej autobusem, a dziewczynek z sąsiedztwa nie znałam za dobrze. Zresztą lubiłam się bawić z Jewel Ann, bo była bystra, a chociaż młodsza ode mnie, to przerosła mnie, już gdy miała pięć lat, i nie wyglądała na wiele młodszą. No i kochałam ją, a ona kochała mnie.

Pierwszego dnia, gdy poszła do szkoły, sama zawiozłam ją autobusem i pokazałam wszędzie w szkole, gdzie co jest, i zaprowadziłam ją do klasy pierwszaków. Nauczycielka zawołała: „Jewel Ann, ale ty jesteś wysoka!” Nie powiedziała tego w miły sposób, ale tak, jakby Jewel Ann sama była sobie winna. Potem tym samym tonem spytała mnie:

– Czy ona naprawdę ma tylko pięć lat?

– Tak, pani Hanlan – odpowiedziałam.

– Jest o wiele za duża na pięć lat – stwierdziła nauczycielka. – Mali chłopcy będą się przy niej bardzo źle czuli.

– W przyszłym roku skończę sześć! – powiedziała Jewel Ann. Próbowwała załagodzić sytuację, ale pani Hanlan uznała chyba, że Jewel Ann się popisuje, i kazała jej usiąść. Gdy Jewel Ann usiadła na małym krzeselku w kręgu dzieci, wciąż była taka wysoka jak inne pierwszaki na stojąco. Przez chwilę zrobiło mi się trochę nieswojo przez to, co pani Hanlan o niej powiedziała, ale Jewel Ann

uśmiechnęła się i pomachała mi, bo bardzo się cieszyła, że poszła do szkoły, i chciała, żeby już się zaczęło.

Zawsze dobrze sobie radziła i miała świetne oceny, a w trzeciej klasie panna Shulz zrobiła ją przewodniczącą klasy i dała jej listę lektur dla zaawansowanych, i posłała jej malunek z wielorybami na konkurs na plakat Ratujmy Zwierzęta. Dostała za niego honorowe wyróżnienie. Tamten rok był szczęśliwy dla Jewel Ann, ale gdy przyszła jesień, nie chcieli jej już w szkole przez ten jej wzrost i nigdy tam nie wróciła.

Wiedziałam, że jest wysoka, ale nigdy tak naprawdę o tym nie myślałam, aż do tego pierwszego dnia w szkole. To znaczy wiedziałam, ale jakoś nie miałam jej wcześniej z kim porównać. Dla mnie była wciąż moją małą siostrzyczką. Nie pamiętam, kiedy tata przestał ją nazywać „dużą dziewczynką tatusia”, zdaje się, że gdy miała ze trzy latka. Chyba nie próbowali nic z tym robić, aż do tego lata, kiedy skończyła trzecią klasę. Wciąż szybko rosła i tata z mamą wzięli ją do doktora. Mama opowiedziała mi o tym później. Dali jej jakieś hormony, ale mama wyrzuciła je po tygodniu, bo Jewel Ann była po nich ospała, bolała ją głowa, czasem miała nawet wymioty. Mama bała się też, że jak będzie jej dalej podawać te hormony, to w końcu Jewel Ann może za wcześnie dostać okresu albo jej broda wyrośnie. Była tylko małą, ośmioletnią dziewczynką i mama uważała, że to nie byłoby w porządku. Wydaje mi się, że nie powiedziała nic tacie, a on ciągle myślał, że Jewel Ann bierze te hormony, które kosztowały majątek, ale nic nie dawały. Tak czy owak, nigdy nie wspomniał, żeby znów zaprowadzić ją do lekarza. Mama powiedziała, że ona od razu wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie, bo to wcale nie była sprawa hormonów.

Jewel Ann nie płakała, że nie może wrócić do szkoły, ale przestała mówić o pannie Shulz. Nie wiem, co myślała. Zwykle była cicho. Jak powiedziała, w klasie panny Shulz czuła się dobrze, ale ciągle byli w szkole tacy, co wytykali ją palcami. W domu nikt nie robił jej przykrości oprócz Duane'a. Przezywał ją Żyrafa albo Olbrzymka, albo Maszt i mówił takie rzeczy, jak: „Kiedy sprzedamy ją do gabinetu osobliwości?”, a nawet gorsze. Raz słyszałam, jak rozmawiał ze swoim przyjacielem Eddiem i mówił, że bardzo chciałby móc zabić Jewel Ann. Powiedział: „Chciałbym porąbać ją na małe kawałeczki i spalić miotaczem ognia tak dokładnie, żeby nic nie zostało”. Duane nie umiał się pogodzić z tym, że ona patrzy na niego z góry, chociaż miała dopiero osiem lat, a on już szesnaście. Był tylko przeciętnego wzrostu, jak na swój wiek, podobnie jak ja. Myślę, że właśnie wzrost Jewel Ann sprawił, że Duane tak się wykoleił, gdy był nastolatkiem. Chociaż nie tylko dlatego. Nigdy, jak pamiętam, nie miał dobrego charakteru, ale zrobił się jeszcze podlejszy i tak chamski, że tata wciąż tylko na niego krzyczał, aż w końcu Duane wyjechał do Atlanty i zniknął nam z oczu. Kilka lat później, gdy ukazał się ten artykuł w gazecie, ktoś musiał mu go pokazać, bo miesiąc później napisał list do mamy i taty, że ma przyjaciela, który kręci filmy o niezwykłych ludziach, i że możemy bardzo dobrze na tym zarobić. Stempel był z Fort Worth, ale nie było adresu zwrotnego, a i list trudno było przeczytać, bo Duane zawsze dziwnie mówił i tak samo pisał. W jego wykonaniu „niezwykli” to było „niwykli”. Mama płakała kilka razy po tym, jak ten list przyszedł, ale nie uważam, żeby naprawdę brakowało jej Duane'a. To chyba tylko wspomnienia z czasów, gdy był małym dzieckiem, doprowadzały ją do płaczu.

Przez rok przynosiłam Jewel Ann książki i wszystko ze szkoły, ale w następnym roku już mi nie pozwolili. Pewnie tata powiedział im, że Jewel Ann jest w szkole specjalnej. Podwyższył tylny płot i Jewel Ann mogła się bawić w ogrodzie. Jednak koło dwunastych urodzin zaczęła rosnać na poważnie i wtedy zjawili się ludzie z gazet. Zmywałyśmy naczynia i słyszałyśmy, jak tata rozmawia z kimś we frontowych drzwiach. Nastawiłyśmy uszu, bo nie mieliśmy żadnych bliskich znajomych, którzy przychodziliby do nas do domu, i zastanawiało nas, kto to może być. Potem tata wrócił do

kuchni i wrzasnął na Jewel Ann, żeby poszła do swojego pokoju. Akurat w tamtym tygodniu oglądaliśmy w telewizji *Dziennik Anny Frank* i wyszło jej, że to naziści przyszli, więc obie uciekłyśmy do jej pokoju i zamknęłyśmy się tam na klucz. Pokój Jewel Ann był na tyłach domu i wcześniej mieliśmy tam salon. Tata usunął sufit i podłogę pokoju powyżej, który przedtem należał do Duane'a, tak że teraz pomieszczenie było wysokie na dwie kondygnacje. Tata zrobił w nim też wyższe drzwi. Jewel Ann była tak przerażona, że chciała się schować pod łóżko. Jej łóżko było zrobione z trzech zestawionych razem zwykłych łóżek ze zdjętymi przednimi i tylnymi panelami i nie mogła się tam schować przez nogi tych łóżek. Przepchnęłyśmy więc jedno pod drzwi, a ja zaczęłam ją uspokajać, że tutaj nie ma nazistów, gdy usłyszałyśmy, jak tata zatrzaskuje frontowe drzwi i wrzeszczy na mamę: „Nigdy więcej nie pozwól tym ludziom nas nachodzić!” Tak jakby ona miała z tym coś wspólnego.

Ktoś zrobił Jewel Ann zdjęcie na tyłach domu i sprzedał je do gazety. Opublikowali je razem z artykułem *DZIEWCZYNA WYŻSZA OD SOSNY?* Tata schował tę gazetę i zaraz odmówił prenumeratę, więc matka nie dowiedziała się o niczym, aż poszła obok do Heltserów i tam ją przeczytała, a tata z kolei nigdy nie widział drugiego artykułu wydrukowanego po tym, jak dziennikarka rozmawiała ze mną, gdy wracałam ze szkoły. Chodziłam wtedy do szkoły średniej. Ona była młoda i zachowywała się naprawdę przyjaźnie, nosiła ubranie z salonów mody i mówiła tak sympatycznie. Łatwo się z nią rozmawiało. Coś na ten temat ukazało się potem w „Registerze” i koledzy w szkole pokazali mi ten artykuł, ale gdy go przeczytałam, to nie było dokładnie to, co mówiłam. Kupiłam jednak tę gazetę i przyniosłam do domu dla Jewel Ann, żeby mogła chociaż poczytać o sobie, skoro nie wychodziła już z domu, chyba że po zmroku. Artykuł miał tytuł *TO NIE OSZUSTWO, MÓWI SIOSTRA*. Chyba nikt nie wspomniał o nim tacie, a mamie go nie pokazałyśmy, bo przejmowała się bardzo, że ktoś może zobaczyć Jewel Ann, i bała się, że tata ją właśnie będzie o to winił. Jednak Jewel Ann tekst się spodobał, szczególnie ten fragment, gdzie dziennikarka napisała, że Jewel Ann jest normalną dziewczynką z nieśmiałym uśmiechem. Nie wiem, skąd mogła to wiedzieć. Po tych artykułach ludzie zaczęli przychodzić pod nasz dom i gapić się na ogrodzenie na tyłach, najczęściej w niedziele, gdy jeździli sobie po okolicy po kościele. Parę razy pukali do drzwi jacyś chłopcy, pewnie z Cleveland High School, ale gdy matka otwierała, tylko raz jeden spytał: „Czy tu mieszka Jewel Ann?”, pozostali mówili, że pomylili domy, i odchodzili, wygłupiając się i chichocząc, jak zwykle chłopaki. Tak jak Duane. Matka wracała potem zmieszana i spięta do kuchni.

– Tylko nie mów nic Jewel Ann! – odezwała się raz, a ja pokiwałam głową, że nie powiem. Tata oglądał bejsbol w telewizji i niczego nie zauważył.

Wydaje mi się, że mama uważała z początku, że ci chłopcy to przyjaciele Jewel Ann, aż dotarło do niej, że to niemożliwe, bo niedługo potem, gdy ślałyśmy łóżka, powiedziała:

– Martwię się o Jewel Ann!

– Dlaczego? – spytałam.

– No bo chłopcy lubią, jak dziewczęta są niższe od nich. Nie wiem, co zrobić, żeby Jewel Ann miała towarzystwo.

Jewel Ann i ja też wiele rozmawiałyśmy o chłopcach i zastanawiałyśmy się, czy nie ma gdzieś takich naprawdę wysokich. Wydawało się nam, że gdyby byli, to pewnie byśmy już o tym usłyszały, bo chłopcy mogą, a nawet mają być wysocy, więc ich rodzice pewnie byliby z nich dumni i pozwalali im wychodzić i robić, na co mają ochotę. W końcu uznałyśmy, że gdyby byli wystarczająco wysocy chłopcy, to na pewno byśmy o nich słyszały.

Nie wiedziałam więc, co odpowiedzieć matce, a ona nie wiedziała, co robić. Jej towarzystwo

też było co najmniej skromne. Nie wychodziła z domu wiele częściej niż Jewel Ann. Trochę się przyjaźniła z panią Heltser, która czasem zabierała ją na deptak handlowy, ale zwykle mama wymawiała się masą roboty w domu i brakiem czasu i chciała, żebym wracając ze szkoły, zajrzała do sklepu albo pojechała do Quik-Mart po tym, jak tata wróci już wozem z pracy. Ubrania zamawiała pocztą z katalogów. Chociaż nie dla Jewel Ann. Jeśli chodzi o jej ubrania, to najpierw ja kupowałam materiał, a potem matka projektowała, co trzeba, i szyła. Nawet dzinsy, bo Jewel Ann bardzo chciała mieć dzinsy. Normalnie jednak szyła dla niej z wielkich prześcieradeł, w miłych kolorach lub we wzory roślinne. Zszywała je razem, a potem wykrawała suknię albo spódnicę i górę. Jednak na dzinsy musiałam kupić całą belę materiału. Sprzedawczyni zachowywała się wrednie i nie chciała mi sprzedać całego kuponu, jakby chodziło o coś zakazanego czy złego, a nie o łatwy zarobek dla sklepu, ale ja uparłam się przy swoim, aż w końcu wściekle odwinęła cały materiał z tego sztywnego, co było w środku beli, jakby nie chciała tego dotykać. Cały czas rozmawiała przez ramię z inną sprzedawczynią. Szczęśliwie przy kasie siedziała Dottie Shine, znajoma ze szkoły, i przetrzymała dla mnie pakunek pod ladą, bo materiał był tak ciężki, że musiałam wrócić do domu i poprosić panią Heltser, aby pojechała ze mną po niego do centrum. Matka naprawdę umęczyła się z tymi dzinsami, ale Jewel Ann uwielbiała je i prawie ich potem nie zdejmowała.

Można by sądzić, że Jewel Ann powinna wiele jeść, pamiętam nawet, jak tata krytykował matkę za kupowanie raz za razem dziesięciu czy dwudziestu funtów hamburgerów i tuzina główek sałaty, ale tak naprawdę, to im bardziej rosła, tym jakby mniej jadła. Więc wydatki na jedzenie nie były problemem, szczególnie po tym, jak skończyłam Coolidge High School i zaczęłam pracować w sekretariacie w Sacchi Products, a wieczorami uczyłam się informatyki w szkole dla sekretarek, żeby z czasem zarabiać więcej, co mi się udało, gdy zostałam asystentką zastępcy sekretarza pana Penitto, naszego kierownika. To były na dodatek pewniejsze pieniądze niż to, co tata miał z Shaughnessy Siding. Ale do tego czasu Jewel Ann jadła już bardzo mało, mniej niż ja, mniej nawet niż mama. W wieku piętnastu lat doszła do czterdziestu pięciu stóp i ciągle rosła.

Gdybyśmy tylko mogli przeprowadzić się i zamieszkać gdzieś indziej. Gdybyśmy mieli dość pieniędzy albo gdyby do taty dotarło jednak, jak wielka jest Jewel Ann i jak bardzo potrzebuje przestrzeni, to może przenieśliśmy się gdzieś nad morze, na jakiś pusty odcinek brzegu, albo na wyspę, gdzie Jewel Ann mogłaby spacerować po plaży i pływać w morzu. Miałyby dość miejsca. Czasem o tym rozmawialiśmy. Powtarzała, że bardzo by chciała pływać w morzu albo chodzić po plaży, albo po mokradłach i wrzosowiskach jak Cathy Earnshaw w *Wichrowych wzgórzach*, albo jak Dimity Trescott w *Bride of Passion*. Ale tam, gdzie mieszkaliśmy, nie było żadnych plaż ani mokradeł.

Jewel Ann miała sprzęt hi-fi, lubiła nagrania Emmy Lou Harris, oglądała też telewizję i wiele czytała. Świetnie radziła sobie z kartkowaniem, chociaż na jej dłoni książki wyglądały na takie małe jak na mojej znaczki pocztowe. Co tydzień chodziłam do biblioteki i bibliotekarki zawsze pytały mnie o siostrę i chyba myślały, że jest sparalizowana lub jakoś podobnie, i szukały książek, które mogłabym jej zanieść. Raz, gdy miała z dziesięć lat, dały mi *Alicję w krainie czarów*. Książka bardzo się różniła od filmu i Jewel Ann ciągle chciała do niej wracać, więc też ją przeczytałam i potem rozmawialiśmy o niej. Myślałam, że najbardziej podobała jej się ta butelecarka z napisem „Wypij mnie”, z tą substancją, po której Alicja tak szybko zmalęła. Jednak Jewel Ann powiedziała, że najbardziej lubi fragmenty z owcą, z sitowiem i z lasem, gdzie się zapomina. W tamtym roku poszłam przed Bożym Narodzeniem do księgarni na deptak i kupiłam jej tę książkę. Raz bibliotekarki dały mi dla niej *Podróż Guliwera*, o małych ludziach i olbrzymach, ale nie spodobały się jej. Powiedziała, że są nieprawdziwe. Wieczorami, gdy byłam w domu, oglądaliśmy zwykle telewizję na

osiemnastocalowym odbiorniku, który dostała od taty. Mówiła, że lubi telewizję, bo chociaż pokazuje ludzi różnego wzrostu, to tam wszyscy są mali. Wszyscy występują w różnych rozmiarach małości.

Płyty, telewizja i czytanie to jedyne, czym się zajmowała, bo od kiedy ukończyła trzynaście lat, była jak Alicja pod koniec pierwszej części książki: zrobiła się za duża, żeby przejść przez drzwi. Gdybyśmy tylko mogli zamieszkać na farmie, tak jak babcia, gdy żyła. Na farmie była stodoła. Przecież Jewel Ann mogłaby zamieszkać w stodole. Rozmawiałyśmy o tym i robiłyśmy plany, że ja odłożę z czasem pieniądze i kupię jakąś starą farmę na wsi, a ona będzie mogła chodzić po naszej ziemi i mieć w tej stodole krzesło i wszystko w swoim rozmiarze. Wiele o tym rozmawiałyśmy. Siadywałyśmy wtedy na podłodze, bo w jej pokoju nie było nic prócz dywanu, a ja opierałam się o jej dużą, ciepłą i miękką nogę i po prostu gadałyśmy. Jednak z czasem moja siostra mówiła coraz mniej, nawet ze mną.

Gdy wyrosła ze swoich dzinsów, wyraźnie upadła na duchu. Przestała oglądać telewizję. Zupełnie jakby nie chciała już przyrównywać się do tych ludzi z telewizji i skądkolwiek. Wtedy też zrobiła się małowówna, chociaż wciąż lubiła, gdy przychodziłam z nią porozmawiać lub tylko posiedzieć. Przestała czytać książki i prawie nic nie jadła. To ciągnęło się przez rok czy dwa, gdy miała czternaście, a potem piętnaście lat, i chyba nie myślałyśmy wtedy wiele o tym obie z mamą, no bo co właściwie myśleć, gdy ktoś ma trzydzieści pięć, czterdzieści, a potem czterdzieści pięć stóp wzrostu? Z tatą nigdy nie dawało się o tym porozmawiać. Nigdy nic o niej nie mówił, nie rozmawiał z nią, nie zaglądał nawet do jej pokoju, próbował tak się zachowywać, jakby w ogóle nie było jej w naszym domu. Tylko raz kupił jej cukierki na walentynki i podarował duży telewizor na dwunaste urodziny. Ale poza tym, ile razy ktoś wymówił jej imię, to wpadał w szal. Gdy spróbowałyśmy kiedyś z mamą porozmawiać z nim o przeniesieniu się do większego domu, zaczął wrzeszczeć, obrzucił matkę wyzwiskami, połamiał kilka rzeczy i w końcu wypadł z domu. Wrócił dopiero późną nocą. Mama kilka dni to odchorowywała. Pewnie słyszała niejedne z tych wyrazów, które wyrzaskiwał, ale przez głowę jej wcześniej nie przeszło, że ktoś może użyć ich wobec niej, a szczególnie że może to zrobić jej własny mąż. Była tak przygnębiona, że nigdy potem nie chciała słyszeć o przeprowadzce, nigdy też nie wyszła już z domu. Opuściła rolety, a niektóre okna zalepiła papierem i nawet z nią trudno było już rozmawiać o Jewel Ann.

Ale to ona, nie ja, powiedziała w końcu coś, czego nie potrafiłam nawet pomyśleć, w każdym razie tak, żebym wiedziała, że o tym myślę. Byłyśmy tego wieczoru w kuchni i zmywałyśmy talerze, gdy powiedziała:

– Wiesz, Dawn, zaczynam widzieć przez nią na wskroś.

Nic nie odpowiedziałam, ale słuchałam pilnie dalej.

– Widziałam wzór tapety prześwitujący przez jej ramię i włosy.

– Mnie też tak się parę razy wydawało – stwierdziłam. Rozmawiałyśmy szeptem. We frontowym pokoju tata oglądał w telewizji mecz bejsbolowy, ale poza tym w domu było cicho. Z pokoju na tyłach, tego wysokiego pokoju, nie dobiegał nawet szmer, chociaż Jewel Ann była tam przez cały czas. Albo siedziała z kolanami pod brodą, albo leżała na boku z podkurczonymi nogami, bo nie miała dość miejsca, żeby je rozprostować. I zawsze zachowywała się cicho. Nigdy nie podnosiła głosu. Mama wciąż powtarzała, że nam, damom, nie wypada krzyczeć, więc nauczyłyśmy się mówić cicho. Jewel Ann odzywała się wtedy już bardzo rzadko i cichutko, głosem głębokim jak na dziewczynę, ale łagodnym niczym puch. Poruszała się też bezgłośnie, chociaż gdyby chciała, mogłaby bez trudu samymi rękami wypchnąć całą tylną ścianę domu, jakby to była tektura. Ale leżała spokojnie. Gdy weszłam tam, żeby trochę z nią posiedzieć, zauważyłam, że przez jej uda i ręce



prześwituje dywan. Teraz, gdy matka już o tym wspomniała, ja też to wyraźnie zobaczyłam.

Jewel Ann też widziała to samo. Ale nigdy o tym nie rozmawiałyśmy.

Dopiero kilka miesięcy później, pod koniec lata, raz się o tym zająknęła. Milczała wtedy całymi dniami, chociaż zawsze mnie dotykała, nawet gdy nie czułam już właściwie jej dotyku, tylko ciepły podmuch na skórze.

– Przystałam rosnać – oznajmiła i po jej głosie poznałam, że się uśmiecha.

Całkiem nagle się rozplakałam.

– Nie, nie przestawaj! – powiedziałam.

Czułam, że na mnie patrzy, czułam też jej ciepło, chociaż prawie wcale już jej nie widziałam. Była jak duch postaci na ekranie telewizora. Albo falowanie rozgrzanego powietrza nad asfaltem. Takie ciepłe zgęstnienie powietrza.

– Mam dalej rosnać? – spytała łagodnie, najłagodniej.

– Tak! – odpowiedziałam i nie mogłam przestać płakać. Czułam ciepłą falę przesuwającą się leciutko po moich włosach i ręce. Jewel Ann zawsze się bała, że mi przypadkiem coś zrobi, była przecież o wiele większa. Ale nigdy by mnie nie skrzywdziła.

Płakałam tak długo, aż się zmęczyłam. Tamtej nocy zasnąłam w jej pokoju. Gdy obudziłam się wczesnym rankiem, była tam, ale zniknął już nawet ten ostatni, widmowy zarys jej postaci. A gdy zawołałam ją po imieniu, nikt mi nie odpowiedział.

Czekałyśmy długo, ponad tydzień, aż matka powiedziała w końcu:

– Odeszła.

Spruła ubrania zrobione z prześcieradeł. Te kawałki materiału, które wciąż były całe, zaniósłam do opieki społecznej. Ciągle jednak zachodziłam do pokoju Jewel Ann.

– Ona wciąż tam jest, mamo – powiedziałam kiedyś. Mama pokręciła głową. Była pewna swego.

– Odeszła. Ale wciąż tu jest, choć nie tylko tam.

I matka miała chyba rację. Po jakimś czasie przeniosłam moje łóżko do wysokiego pokoju na tyłach, bo wydawało mi się, że zasypiając lub budząc się rano, czuję ciepło, i wiedziałam wtedy, że to Jewel Ann znów jest przy mnie jak kiedyś, szczupła i wysoka, z pięknymi oczami, i cieszy się, że mnie widzi. Potem matka zaczęła słyszeć ją czasem w ich sypialni. Czasem powie słowo czy dwa, cichutko, ledwie dosłyszalnie. Na dodatek obraz w obu telewizorach jest zawsze tak pełen odbić, jakby kamera dostała zupełnego zezą, chociaż tata cuda już wyrabiał i z telewizorami, i z kablem. Ale gdy nocą wyjdę na zewnątrz, czuję, że ona ciągle tu jest, chociaż odeszła, jak powiedziała matka. Gdy wiatr poruszy w ciepłe noce liście z tyłu domu albo gdy pada, poznaję, że nie przestała rosnać. Czuję jej oddech.

# ODKRYCIA

Napisała opowiadanie w czasie przeszłym, o tym, jak czekała w ogrodzie, podczas gdy on przemierzał pustynie i żeglował po morzach, i odnosił wielkie zwycięstwa, aż w końcu przybył do niej, do domu, gdzie czekała w ogrodzie u stóp wysokiego, zielonego wzgórza. „I tak oto”, zakończyła opowiadanie, „się pobrali”.

Napisał opowiadanie w czasie przeszłym, o tym, jak szukał ojca. Pełen tęsknoty młody człowiek opuścił wszystkich, którzy go kochali, przewędrował przez puszcze i miasta, pokonał pustynie i przepłynął morza, a cały czas szukał, cały czas tęsknił, aż w końcu znalazł zagubionego ojca i go zabił. „I tak oto”, kończyło się opowiadanie, „wróciłem do domu”.

Przeczytała to opowiadanie. Czytała powoli, bo nie zostało napisane w jej rodzimym języku. Nie przemawiało do niej, nie zwracało się do niej po imieniu. Jednak było smutne i piękne. Czytała i płakała.

Ona pisze opowiadanie w czasie teraźniejszym. Przedstawia w nim chwilę wpatżenia. Patrzy na swoją córkę, która kuli się w fotelu, by odrobinę odpocząć. Wygląda słabo i krucho, a czekają tyle do zrobienia, więcej, niż winno spadać na barki, więcej, niż można uczynić. Ona zaś widzi, że jej córka nie jest już tak piękna jak rok temu, i pisze o tej chwili: „Widzę twe zmęczenie i to, że się nie poddajesz, jak dobry koń, dobry koń roboczy, który nigdy nie gryzie, nie kopie, nie wrywa się na wolność. Nie masz kiedy wyjść do ogrodu. Każdy twój dzień kończy się akordem znużenia”. Pisze i zastanawia się: Czy ktokolwiek patrzył tak na mnie, czy widział mnie w ten sposób? I myśli: Tak, pamiętam, jak moja matka kiedyś tak właśnie na mnie spojrzała; chyba widziała mnie wówczas podobnie jak ja teraz widzę moją córkę. Czy byłam wówczas równie zmęczona? Nie wiem. Ona była wtedy piękniejsza. Czy była rozżalczona? Nie mam pojęcia, jak pociągnąć tę opowieść. Nie skończy się małżeństwem.

On pisze opowiadanie w czasie teraźniejszym, o tym, jak syn opuszcza dom, żeby poszukać swego ojca. W miastach zdarza mu się padać ofiarą oszustów, musi walczyć z wrogami, zdradzają go niewierne kobiety, bierze udział w wojnie, leci poprzez kosmos ku innym światom i wciąż szuka, tęskni i ostatecznie odnajduje ojca. Obejmują się i ojciec umiera. Opowiadanie kończy się słowami: „I tak oto wróciłem do domu”.

Ona czyta to opowiadanie. Czyta je powoli i zastanawia się, czy je rozumie, czy w ogóle chce je zrozumieć. To smutna i piękna historia, ale łez z oczu nie wyciska.

Jest coś, czego nigdy się nie dowiemy, pisze on, nie dowiemy się, czego chce kobieta.

Chcę, myśli ona, napisać opowiadanie. Ale zanim je napiszę, chcę pojąć, dlaczego moja matka tak właśnie na mnie spojrzała. Ze współczuciem. A może z podziwem? Złością? Patrząc teraz na moją córkę, małą i silną kobietę, która padła na fotel. Na chwilę tylko, bo zaraz znowu wstanie, aby wziąć się do tego, co ponad ludzkie siły. Patrząc na nią ze współczuciem, podziwem i złością. Jest taka piękna! Tak jak moja matka niegdyś, tak jak piękna stanie się pewnego dnia jej córka. Muszę zatem napisać jej historię w drugiej osobie i czasie przyszłym. Tu potrzeba odmienności, jasności i złożoności. Czegoś różnego od prostej, pionowej pojedynczości właściwej pierwszej osobie.

Pierwsza osoba liczby pojedynczej przemierza świat, przenosi się z jednego świata na drugi, podąża przez czas i przestrzeń. Pierwsza osoba kocha i nienawidzi, poszukuje i zabija. Pierwsza osoba jest kochana i nienawiedzona. Utęskniona i poszukiwana. Zabijana. Pierwsza osoba zaznaje współczucia. O, biedna ja! Tak jak ja współczuję jemu, jak on się nad sobą lituje, jak ona litowała się nade mną! Pierwsza osoba może być nawet podziwiana. O, jak ja siebie podziwiam! Tak jak on podziwia siebie! Ale ze złością jest inaczej. Nie jestem zła na siebie, tylko na nią, a ona na mnie.

Wszystko w milczącej znowie.

To ta złość podpowiada mi, jak pociągnąć historię. Będiesz piękniejsza, piszę. Nie przypadną ci zadania ponad miarę twych sił. Obca ci będzie i zdrada, i znowa. Piszę o tym, jak wejdiesz do ogrodu u stóp wysokiego, zielonego wzgórza. Otworzysz furtkę ogrodu, ruszysz w górę zbocza, dotrzesz na szczyt, pokonasz go i pójdiesz przez pola ku lasom, przemierzysz miasta, odnajdziesz swoją drogę, odnajdziesz naszą ciszę, w której przemówisz.

A przez cały czas pisania, pisze ona, ja będę w domu, w którym ty zawsze przebywałaś. Wiemy, gdzie się znaleźć.

# STARSI

Księżyc ślizga się po zwierciadlanych falach przed dziobem, a z północnego nieba spogląda i śle ku wodzie świetliste strzały Jasna Kompania. Na rufie stoi mężczyzna z drągiem i uważnie steruje łodzią, popychając ją pewnie, choć powoli, wręcz majestatycznie. Długa i niska łódź kanałowa sunie po czarnej wodzie równie cicho jak ścigające ją odbłaski. W środku kulą się ciemne postacie. Jedna leży wyciągnięta na pokładzie. Ręce ułożyła po bokach i zamknęła oczy, nie widzi więc drugiego księżyca, który wychynał zza smug mgieł wędrujących po intensywnie granatowym, nocnym niebie. Pan Sandry wraca z wojny do domu.

Czekali na niego na wyspie Sandry od wiosny, gdy poszedł z siedmioma ludźmi za wysłannikami, którzy zbierali armię królowej. W połowie lata na Sandry wróciło czterech mężczyzn. Przynieśli wiadomość, że leży ranny i pod opieką osobistego lekarza monarchini. Opowiedzieli, jak odznaczył się odwagą w bitwie i jak to sami dzielnie stawali, i że wygrali wojnę. Od tamtej pory nie było nowych wieści.

W łodzi płynęli też trzej towarzysze, którzy z nim zostali, i medyk przydzielony przez królową, pomocnik jej własnego lekarza. Smukły, około czterdziestki, ruchliwy, choć teraz mocno zdrętwiały po podróży, wyskoczył na brzeg, zaraz gdy łódź przybiła do kamiennego mola gospodarstwa Sandry.

Podczas gdy załoga i reszta zabrali się do cumowania łodzi i przenoszenia rannego na brzeg, lekarz ruszył do domu. Zbliżając się pod blednącym porannem i bezbarwnym niebem do wyspy, widział skrzydła wiatraków, korony drzew i dach domu; ciemne zarysy wznoszące się wysoko pośród bezkresnej równiny trzciny i kanałów.

– Hej, ludzie! – zawołał, wchodząc na podwórzec. – Obudźcie się! Pan Sandry wrócił!

W kuchni już ktoś się krzątał, reszta domu dopiero teraz rozbłysła światłami. Medyk usłyszał głosy, skrzywienie drzwi. Stajenny zeskoczył z poddasza, gdzie spał, pies zaniósł się ostrzegawczym szczekaniem, ludzie zaczęli wysypywać się przez próg. Gdy nosze znalazły się na podwórku, pojawiała się i żona. Przybiegła w zielonym płaszczu narzuconym na koszulę nocną. Włosy miała rozpuszczone, boso stapała po kamieniach. Zbliżyła się do stawianych na ziemi noszy.

– Farre, Farre – powiedziała, po czym klękła i pochyliła się nad nieruchomą postacią. – Nie żyje – szepnęła, cofając się.

– Żyje – odezwał się medyk.

– Żyje, Makalidem – zadudnił basem najstarszy z dźwigających nosze, siodlarz Pask. – Ale ma głęboką ranę.

Lekarz spojrział z szacunkiem i współczuciem na gospodynię, na jej bose stopy i czyste, przerażone oczy.

– Zanieśmy go w ciepłe miejsce, dema – powiedział.

– Tak, tak – potwierdziła, wstając, i pobiegła przodem, by przygotować co trzeba.

Gdy mężczyźni od noszy znowu wyszli na podwórzec, połowa ludności Sandry stała tam już i czekała na nowiny. Większość z nich spojrziała na starego Paska, on ogarnął ich wszystkich spojrzeniem. Był to rostry, powolny mężczyzna o korpusie grubym i twardym niczym dąb, twarz miał nieruchomą i ostro zarysowaną.

– Będzie żył? – odważyła się spytać jakaś kobieta.

Pask mierzył ich spojrzeniem, aż w końcu zdecydował się odezwać.

– Złożymy go do ziemi – powiedział.

– Aa, aa! – zakrzyknęła kobieta, a ludzie jęli wzdychać i jęczeć.

– A nasze wnuki poznają jego imię – powiedziała Dyadi, żona Paska, przepychając się przez

tłum ku mężowi. – Witaj, stary.

– Witaj, stara – powiedział Pask.

Przez chwilę spoglądali sobie w oczy. Byli równego wzrostu.

– Wciąż chodzisz, co? – spytała.

– A jak bym inaczej wrócił, gdzie moje miejsce? – odparł Pask. Usta miał zbyt sztywne, by się uśmiechnąć, ale w oczach zapaliły się ogniki.

– Trochę ci to zabrało. Chodź, stary. Musisz być skonany.

Odeszli ramię w ramię ścieżką wiodącą ku siodłami i wygonowi. Na podwórku z wolna narastała wrzawa. Ludzie zebrali się wokół pozostałych dwóch, którzy wrócili, i wymieniali się wiadomościami o wojnie, mieście, wyspach na mokradłach i gospodarstwie.

Wewnątrz, w przepięknym, wysokim i nieco ciemnym pokoju, złożono już Farrego na łóżku ciepłym jeszcze od ciała jego żony. Lekarz stanął u wezglowia równie poważny, czujny i uważny jak wcześniej mężczyzna, który pracował drągiem na rufie łodzi. Przyglądał się rannemu, palcami sprawdzał mu puls. W pokoju panowała zupełna cisza.

Kobieta stała w nogach łóżka. Obrócił się ku niej i pokiwał głową, co miało znaczyć: „Bardzo dobrze, tak dobrze, jak można oczekiwać w tych okolicznościach”.

– Wydaje się, że nie oddycha – szepnęła kobieta. Twarz miała tak ściągniętą niepokojem, że jej oczy wydawały się teraz przeogromne.

– Oddycha – zapewnił medyk. – Powoli i głęboko. Dema, nazywam się Hamid, jestem pomocnikiem lekarza królowej, doktora Sakera. Jej wysokość i doktor, który miał twego męża w swej pieczy, przysłali mnie wraz z nim, abym został tak długo, jak długo będę potrzebny, i opiekował się chorym najlepiej, jak potrafię. Jej wysokość nakazała mi, bym ci przekazał, że wdzięczna jest twemu mężowi za poświęcenie i odwagę okazane w jej służbie. Zrobi, co w jej mocy, aby dowieść swej wdzięczności i okazać szacunek, który dlań żywi. Poleciała też powiedzieć, że cokolwiek by zrobiła, i tak nie zdoła spłacić zaciągniętego u Farrego długu.

– Dziękuję – odezwała się gospodyni, chociaż nie wszystko zapewne zrozumiała. Wciąż patrzyła tylko na nieruchome oblicze na poduszce. Trochę się trzęsła.

– Zimno ci, dema – powiedział Hamid łagodnie, z szacunkiem. – Powinnaś się ubrać.

– Czy jemu jest dość ciepło? Nie miał dreszczy na łodzi? Mogę kazać, by rozpalono ogień...

– Nie trzeba. Nie marznie. To o ciebie się martwię, dema. Spojrzała na niego rozkojarzona, jakby dopiero teraz go zauważyła.

– Tak. Dziękuję.

– Wrócę za chwilę – powiedział, kładąc dłoń na sercu, wyszedł cicho i zamknął za sobą masywne drzwi.

Przeszedł przez budynek do kuchennego skrzydła, gdzie zażądał czegoś do zjedzenia i picia w ilości akuratnej dla głodnego i spragnionego mężczyzny, który nóg nie czuł od kucania całą noc w tej przeklętej łodzi. Nie był nieśmiały, przywykł do rozkazującego tonu. Podróż była długa, najpierw łądem z miasta, potem łodzią pchaną drągami przez mokradła, a jedynym gościnnym miejscem, gdzie dało się zatrzymać, była Wyspa Szeroka. Poza tym nic, tylko nie kończące się kanały, palące słońce od rana do wieczora i bezsenne noce, gdy niewygoda nie pozwalała uczciwie zmrużyć oka. Perorując od progu, jaki to jest głodny i zmęczony, chciał zaskoczyć wszystkich obecnych, żeby nie próbowali go rozpytywać o zdrowie gospodarza. Wolałby nie mówić im nic więcej, niż przekazał jego żonie.

Oni jednak albo byli z natury dyskretni, albo rozumieli sytuację, albo z miejsca zaczęli darzyć gościa szacunkiem, w każdym razie nie pytali go o nic wprost. Chociaż wyraźnie martwili się

o Farrego, chcieli wiedzieć jedynie, czy wyżyje, a i o tym wyłącznie napomknęli. Gdy stwierdził, że tak, wyraźnie im ulżyło. Jednak w wyrazie paru twarzy Hamid dojrzał też coś więcej niż satysfakcję: jednej osobie dziwny mars wykwitł na czole, ktoś drugi spojrział nań, jakby rozumiał, o co chodzi i podzielał jego zdanie. W pewnej chwili do kuchni wpadł młody chłopak.

– Czy on... – zaczął i zaraz zamknął usta, skarcony mierzącymi weń spojrzeniami pięciu czy sześciu dorosłych.

Wyspiarze z Sandry w ogóle nie byli gadatliwi. Wszyscy oprócz młodzieży robili wrażenie starych: poznaczeni bliznami, ogorzali od wiatru i słońca, o ciemnej, pomarszczonej matowej skórze, węzlastych dłoniach, grubych, szorstkich i suchych włosach. Ich oczy jednak były czujne i ruchliwe. Niektórzy, Pask, jego żona Dyadi i jeszcze paru innych, podobnie jak i sam Farre, mieli je zresztą dziwnej, jakby bursztynowej barwy. Gdy Hamid ujrzał Farrego po raz pierwszy, a było to, zanim jeszcze ranny zapadł w naprawdę głęboką śpiączkę, zdumiały go wyraziste rysy i właśnie te jasne, czyste oczy. Wszyscy mówili tu dialektem, który różnił się mocno od języka używanego na lądzie, ale Hamid wychował się nie tak znowu daleko od mokradeł, poza tym miał ucho do dialektów. Pod koniec obfitego i mile wypełniającego śniadania zaciskał gardło nie gorzej od miejscowych.

Z dobrze wyładowaną tacą wrócił do sypialni. Jak oczekiwał, gospodyni, już ubrana i obuta, siedziała obok łóżka i trzymała dłoń ułożoną lekko na dłoni męża. Przywitała Hamida spojrzeniem uprzejmym, ale wyraźnie dającym do zrozumienia, że ma go za intruza: niech będzie cicho, nie przeszkadza, niech uleczy gospodarza i znikaj... Hamid nie był przesadnie wrażliwy na kobiece piękno, może zbyt wiele go widywał, na dodatek często z nazbyt bliska, kiedy czar znikaj, jednak zauważał oznaki zdrowia, jak jędrna skóra czy żywość reakcji. Ta kobieta była okazem żywotności. Zarazem czuła i silna, jak łania, równie też nieświadoma swej wspaniałości. Zastanowił się, czy już rodziła, i wtedy dojrzał stojące za jej krzesłem dziecko. Okiennice były zamknięte i w pokoju zalegał półmrok macony wysepkami światła zalegającymi na ciężkich meblach, wysokim zwieńczeniu łoża i narzucie. I na dziecięcej twarzy. Twarzy o ciemnych oczach.

– Hamid-dem – szepnęła gospodyni. Mimo zaabsorbowania mężem zapamiętała imię lekarza. Może dzięki nagłemu wyostrzeniu słuchu, które występuje u łoża ciężko chorych, kiedy każde słowo niesie nadzieję lub zgubę. – Wciąż nie widzę, żeby oddychał.

– Przyłóż ucho do jego piersi – powiedział Hamid, celowo głośniejszym niż szeptem. – Usłyszysz bicie serca i poczujesz, jak pracują jego płuca. Chociaż ma bardzo wolny puls, jak powiedziałem. Przyniosłem to dla ciebie, dema. Teraz usiądź tutaj, przy tym stole. Otworzymy okiennice, żeby wpuścić więcej światła. Ani trochę nie będzie mu przeszkadzać. Światło jest zdrowe. Usiądziesz tutaj i zjesz śniadanie. Razem z córką, też musi być głodna.

Przedstawiła dziecko, dziewczynkę. Miała na imię Idi. Pięcio- lub sześćioletnia. Mała przyłożyła dłoń do serca i szepnęła w miejscowym dialekcie:

– Do-bre-go-dnia-dema – jakby to było jedno słowo. I zaraz schowała się za matką.

Miło jest być lekarzem, którego wszyscy słuchają, pomyślał Hamid, gdy gospodyni i jej córka, jedna duża, druga mała, choć poza tym prawie identyczne w takich samych koszulach, obszernych spodniach, z jedwabistymi, upiętymi włosami, usiadły przy stole, gdzie postawił tacę, i potulnie zjadły, co przyniósł. Z zadowoleniem stwierdził, że nie zostawiły ani okruszka.

Gdy Makali uniosła głowę, nie wyglądała już na spiętą, a i oczy, chociaż ciągle rozszerzone i uważne, emanowały spokojem. To zrównoważona kobieta, pomyślał lekarz i w tej samej chwili wychwycił okiem fachowca oznaki ciąży. Zapewne trzeci miesiąc. Szepnęła coś do dziecka, które odbiegło drobnym krokiem. Wróciła do krzesła przy łóżku, jednak on zdążył już zająć jej miejsce.

– Zamierzam zbadać i opatrzyć jego ranę – powiedział Hamid. – Popatrzysz czy wolisz na

chwilę wyjść?

– Popatrzę.

– Dobrze. – Zdjął płaszcz i poprosił ją, by posłała do kuchni po gorącą wodę.

– Wodę mamy w rurach – powiedziała i podeszła do drzwi w najdalszym, ciemnym kącie.

Nie oczekiwał podobnych udogodnień, wiedział jednak, że niektóre z tych wyspiarskich gospodarstw od pradawnych czasów były bardzo cywilizowane. Czerpiąc z nieograniczonych zasobów przyrody, zaprzęgając do pracy słońce, wiatr i pływy, ich mieszkańcy dobrze dbali o swe wygody i wszystko, co niezbędne do życia, które od niepamiętnych wieków płynęło tu swoim rytmem: bezpiecznie, w atmosferze spełnienia. Było równie niezmiennie jak ich pastwiska i pola uprawne. Parujący dzban, który pojawił się po chwili, był świadectwem tego dostatku i zarazem naturalnym elementem tutejszego świata, podobnie jak niosąca go kobieta. To nie miało nic wspólnego z miejskim bogactwem na pokaz.

– Nie trzeba jej przegotować? – spytała.

– Taka będzie akurat.

Sprawiła się szybko, nie rozlała ani kropli. Wyraźnie jej ulżyło, że może zrobić coś użytecznego. Gdy obnażył wielką ranę od miecza na piersi jej męża, spojrzał na nią, żeby sprawdzić, jak to przyjęła. Zaciśnęła wargi, ale patrzyła spokojnie.

– Wygląda źle – powiedział, przesuwając palcami nad długą, ciemną i nie zagojoną raną na wysokości żołądka. – Ale najgorzej jest tutaj. Reszta to płytka rana, zadana podczas wycofywania miecza, ale tutaj żelazo wniknęło głęboko. – Dotknął zranionego obszaru. Ciało mężczyzny nie zareagowało nawet najmniejszym dreszczem. – Miecz wyszedł, gdy człowiek, który nim władał, zginął z ręki pani męża – ciągnął Hamid. – Zabił go, chociaż sam był już ranny. Potem wziął jego miecz. Gdy zjawili się przy nim jego ludzie, miał go w lewej ręce. W prawej ciągle trzymał własny, chociaż nie mógł się podnieść z kolan... Przywieźliśmy oba te miecze... Tutaj, widzisz? Tutaj zadano mu to głębokie pchnięcie. Szeroki sztych. Cios był prawie śmiertelny. Jednak nie całkiem, nie całkiem. Chociaż trzeba przyznać, że poczynił spore szkody. – Spojrzał wprost na kobietę w nadziei, że napotka jej spojrzenie, że ujrzy w jej oczach coś z tego, co zaobserwował u kilkorga z jej ludzi, ale ona patrzyła tylko na wściekle purpurową ranę, a jej twarz niczego nie wyrażała.

– Czy mądrze było go ruszać i wieźć tak daleko? – spytała. Nie kwestionowała jego osądu, ale wyrażała zdziwienie.

– Nasz doktor powiedział, że to mu nie zaszkodzi. I nie zaszkodziło. Gorączka zeszła już dziewięć dni temu i nie wróciła. – Kiwnęła głową, bo czuła, jak zimna jest skóra Farrego. – Ognisko zapalne od dwóch dni się nie rozszerza. Puls i oddech wyraźne i równomierne. Uznaliśmy, że to najlepsze miejsce dla niego, dema.

– Tak – odparła. – Dziękuję. Dziękuję, Hamid-dem. – Spojrzała na niego przelotnie i ponownie obróciła czyste oczy na ranę i na nieruchome, muskularne ciało, na milczącą twarz, zamknięte powieki.

Gdyby to była prawda, pomyślał Hamid, to na pewno by wiedziała! Nie mogła poślubić tego mężczyzny, nie wiedząc... Ale nic nie mówi. Więc to nieprawda, tylko opowieść... Jednak ta myśl, która przyniosła mu zresztą wielką ulgę, doprowadziła do następnej: Ona wie i odpycha od siebie tę wiedzę. Zatrząskuje w ciemnym pokoju. Zastania uszy, żeby nic nie usłyszeć, gdyby choć słowo padło na ten temat.

Dopiero po chwili dotarło doń, że wciągnął głęboko powietrze i wstrzymuje oddech.

Pożałował, że gospodyni nie jest starsza, bardziej doświadczona. Mogłaby też mniej kochać męża. A przede wszystkim chciałby znać prawdę. Wtedy nie musiałby pytać.

– To nie śmierć – powiedział nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie. I niemal błagalnym tonem.

Tylko skinęła głową, nie odrywając wzroku od męża. Gdy Hamid sięgnął po czyste płótno, zaraz mu je podała.

Spytał ją o ciążę. Przebiegała dobrze, wszystko było w porządku. Nakazał kobiecie spacerować każdego dnia co najmniej dwie godziny. Chętnie chodziłby razem z nią, bo polubił gospodynię i zapewne miło by było spędzić trochę czasu w jej towarzystwie, patrząc, jak idzie obok, wysoka i krzepka. Jednak jeśli miała opuszczać pokój chorego na dwie godziny, on musiał zastąpić ją przy Farrem: to było oczywiste. Stosował się do jej milczących nakazów równie pilnie, jak ona słuchała jego wprost wygłaszanych poleceń.

Cieszył się sporą swobodą, bo to ona spędzała większość czasu z chorym, z czego nic zresztą nie wynikało. Z jego opieki właściwie też. Niewiele tu miał do zrobienia. Farre nie potrzebował go, podobnie jak jej czy kogokolwiek. Wymagał jedynie odrobiny zabiegów pielęgnacyjnych. Tym zajmował się Hamid. Zawsze tak samo cierpliwa gospodyni podawała choremu dwa razy dziennie do tuzina łyżek gęstego rosółu z ziołami i lekarstwami. Rosół został przepisany przez doktora Sakera i Hamid co dnia warzył go i cedził w kuchni. Kucharze interesowali się jego poczynaniami i pomagali. Karmienie zajmowało dwa razy po pół godziny, poza tym należało raz dziennie podsunąć stosowne naczynie i zebrać kilka kropel uryny. I to wszystko. Farre nie nabawił się odleżyn ani wrzodów. Spoczywał bez ruchu, nic nie wskazywało na to, by cierpiał niewygodę. Nigdy nie otworzył oczu, chociaż raz czy dwa, jak powiedziała gospodyni, drgnął lekko w nocy. Hamid od wielu dni nie widział żadnych oznak aktywności.

Gdyby było choć trochę prawdy w tym, co doktor Saker znalazł w starej książce i podsunął mu do przeczytania, no i gdyby o to właśnie chodziło Paskowi, kiedy niechętnie wspomniął coś o pochówku, to Makali musiałyby chyba wiedzieć? Ale nawet się o tym nie zająknęła, a teraz było już za późno pytać. Stracił sposobność. A skoro nie spytał gospodyni, to nie mógł indagować innych za jej plecami, chociaż chciałby wiedzieć, czy coś w tym jest.

Oczywiście, że nie, uciszył sumienie. To tylko mit, plotka, ludowa opowieść „starych wyspiarzy”... Co znaczy gadanie ciemnego siodlarza? Przesąd i już! Co rozpoznaję, gdy patrzę na mojego pacjenta? Głęboką śpiączkę. Głęboką, ozdrowieńczą śpiączkę. To rzadkość, owszem, ale się zdarza, żadna anomalia. Możliwe, że takie długie okresy śpiączki, czysto wegetatywnego powrotu do zdrowia, są wśród tych wyspiarzy, społeczności dość zamkniętej, czymś w miarę częstym. Jeśli tak, to mogłaby się z tego narodzić legenda. A legenda zawsze coś przerysuje, zmieni baśniowo...

Miejscowi cieszyli się dobrym zdrowiem i chociaż Hamid zaproponował im swe usługi, nie napracował się. Raz zjawił się chłopiec ze złamaną ręką do nastawienia, potem jeszcze starzec, któremu usunął wrzody z nogi. Czasem chodziła za nim mała Idi. Wyraźnie była przywiązana do ojca i tęskniła za jego towarzystwem. Nigdy nie spytała, czy wyzdrowieje, ale Hamid widywał, jak kuca nieruchomo przy łóżku i przytula policzek do ręki ojca. Poruszony godnością okazywaną przez dziecko, spytał kiedyś, w co bawiła się z ojcem. Długo się namyślała, aż w końcu odparła: „Mówił mi, co robi, i czasem pomagałam”. Czyli musiała towarzyszyć mu w pracach gospodarskich i obchodach majątku, a Hamid był tylko marnym, dalekim od ideału substytutem. Z początku słuchała jego opowieści o dworze i mieście, ale bez specjalnego zainteresowania, i rychło odchodziła do swoich małych, ale bardzo ważnych obowiązków. Tymczasem Hamida bezużyteczność wprawiała w coraz większą irytację.

Odkrył, że uspokajają go spacer, i odtąd niemal codziennie chadzał swą ulubioną trasą:



najpierw w dół, do przystani, potem wzdłuż wydm na południowo-wschodni kraniec wyspy, skąd wreszcie widać było otwarte morze bez szemrzącego, zielonego dywanu trzciny. Następnie pokonywał największą tutejszą stromiznę, by dotrzeć na niskie wzgórze ze zwietrzałego granitu narzuconego gdzieś gdzieś ziemią. Stąd też widział morze, a ponadto tamy pływowe, pola i mokradła. Na szczycie stała grupa wiatraków łapiących smukłymi skrzydłami podmuchy wiatru od morza. W końcu ścieżką przebiegającą obok Starego Gaju docierał z powrotem do gospodarstwa. Ze wzgórza Sandry dostrzegał jeszcze kilka domów, ale tylko ten jeden zwany był gospodarstwem, jego właściciel zaś gospodarzem albo panem Sandry, a gdy opuszczał wyspę, to po prostu Sandrym. Miejscowi nigdy zresztą nie oddalali się od niej na dłużej, chyba że w służbie korony. Zapuscili tu korzenie, pomyślał ironicznie Hamid, stojąc na ścieżce przy Starym Gaju i patrząc na drzewa.

Na innych wyspach, co do jednej, nie było żadnych godnych uwagi drzew. Karłowate wierzby nad strumieniami, trochę przygiętych do ziemi przez wichury ogrodów z rzadko rosnącymi jabłoniąmi. Ale tutaj, w Gaju, rosły naprawdę wielkie drzewa, niektóre o potężnych pniach, co najmniej stuletnie. Wszystkie były osiem – dziesięć razy wyższe od człowieka. Nie tworzyły ciasnego skupiska, każde miało dość miejsca, by rozwinąć szeroko korzenie i koronę. W przestronnych nawach poniżej zieleniło się trochę krzaków, paproci i cienka, miła w dotyku trawa. W upalne, letnie dni, gdy prażące słońce wisiło nad morzem i liche wiaterek ledwie poruszał gorące powietrze, tutaj zawsze panował miły cień. Jednak Hamid nie wchodził pod drzewa. Stał na ścieżce i zaglądał w półmrok pod gęstym listowiem.

Niedaleko ścieżki dostrzegł w Gaju plamę słonecznego blasku. W jednym miejscu zimowe wichury obaliły stare drzewo, i to pewnie z wiek temu, bo z pnia nie zostało już prawie nic, poza długim na parę jardów, trawiastym garbem. Nie wyrosło tu żadne nowe drzewo, ani samosiejka, ani zasadzone ręką człowieka, pieniała się tylko dzika róża, korzystając ze słońca i kwitnąc kolcząciami na szczątkach pnia.

Hamid poszedł dalej. Z daleka dostrzegł dom, który zdążył już dobrze poznać, masywne, łupkowe dachy i zamknięte okiennice pokoju, gdzie siedziała Makali, czekając, aż się przebudzi jej mąż.

– Makali, Makali – mruknął pod nosem ze współczuciem i odrobiną złości na tę kobietę. Zły był też na siebie. I bliski uzalania się nad sobą. Ale lubił jej imię.

Po dłuższym pobycie na słońcu pokój wydał mu się szczególnie ciemny, ale zdecydowanie, niemal gwałtownie, podszedł do łóżka i odsunął prześcieradło. Sprawdził puls, osłuchał, obmacał.

– Zaczął chrapliwie oddechać – mruknęła Makali.

– Jest odwodniony. Potrzebuje płynu.

Wstała, żeby przynieść małą, srebrną miskę i łyżeczkę, którą podawała choremu zupę i wodę, ale Hamid pokręcił głową. Świetnie pamiętał widzianą w jednej ze starych ksiąg doktora Sakera rycinę, która pokazywała dokładnie, co robić w takim wypadku, jeśli, rzecz jasna, wierzyło się w legendę. On nie wierzył, Makali chyba też nie. Bo jeśli wierzyła, to powinna teraz wreszcie coś powiedzieć! Legenda czy nie, i tak nie miał innych pomysłów. Twarz Farrego zapadła się z lekka, włosy wychodziły przy dotknięciu. Umierał. Bardzo powoli umierał z pragnienia.

– Trzeba przechylić łóżko, żeby głowa była wyżej – powiedział zdecydowanie Hamid. – Najprościej będzie wyjąć deski w nogach. Tebra mi pomoże. – Gospodyni wyszła i po chwili przyprowadziła Tebrę, parobka. Razem z nim Hamid szybko rozmontował częściowo łożo i przechylił je pod takim kątem, że trzeba było opasać pierś Farrego, żeby się nie zsunął. Potem kazał Makali przynieść nieprzemakalną tkaninę lub pelerynę. Z kuchni wziął głęboką miedzianą miednicę i napełnił ją zimną wodą. Rozpostarł ceratę w nogach łóżka i tak podparł miednicę odwróconym

taboret, że ani drgnęła, gdy kładł do niej stopy Farrego.

– Cały czas musi być w niej tyle wody, żeby dotykał jej podeszwami – powiedział do Makali.

– To go ochłodzi – odezwała się niepewnie, jakby pytała. Hamid nie odpowiedział. Jej wystraszone, zakłopotane spojrzenie nagle go zezłościło. Wyszedł bez słowa.

– Oddech mu się uspokoił – powiedziała, gdy wrócił wieczorem.

Oczywiście, pomyślał Hamid, osłuchując pacjenta. Teraz oddycha raz na minutę.

– Hamid-dem... – zaczęła kobieta. – Coś... coś zauważyłam...

– Tak?

Wyczuła w jego głosie ironię, wrogość. Oboje się skrzywili. Jednak Makali zżerał niepokój, musiała mówić, dokończyć.

– On... – zaczęła znów – wydaje się... – Uniosła okrycie, odsłaniając genitalia Farrego.

Jego penis ledwie można było odróżnić od moszny i brązowej, ziarnistej skóry podbrzusza. Tak jakby tonął w cieple, wracał, skąd wyrósł, stapiał się z coraz gładszym korpusem.

– Tak – powiedział głucho Hamid. Mimo wszystko był wstrząśnięty. – Proces postępuje... zgodnie z tym... co wiadomo na ten temat.

Spojrzała na niego ponad ciałem męża.

– Ale... czy nie można...

Dłuższą chwilę tylko milczał.

– O ile wiem... Wedle mojej wiedzy, w takich przypadkach... w reakcji na silny szok... – Przez chwilę szukał słów. – Taki jak poważna rana albo wielki smutek czy żal, chociaż w tym przypadku chodzi o ranę, niemal śmiertelną ranę, która niemal na pewno byłaby śmiertelna, gdyby nie zapoczątkowała procesu... o który chodzi, a który wiąże się z dziedziczną zdolnością... skłonnością...

Stała bez ruchu i wpatrywała się w lekarza, aż mądre słowa zamarły mu na ustach. Podeszedł do chorego i z wprawą, acz ostrożnie uniosł jego powiekę.

– Spójrz! – powiedział.

Zbliżyła się. Zamiast zwykłej, choć niewidzącej gałki ocznej ze źrenicą, tęczówką i białkówką, ujrzała lśniąca i gładką brązową kulę.

Wciągnęła głęboko powietrze, a po chwili załkała spazmatycznie. Tego Hamid już nie wytrzymał.

– Przecież wiedziałaś! Musiałaś wiedzieć, gdy za niego wychodziłaś!

– Wiedziałałam – wykrztusiła budzącym trwogę, stłumionym głosem.

Włosy zjeżyły się Hamidowi na głowie i na rękach. Nie śmiał na nią spojrzeć. Opuścił powiekę. Cienką i sztywną niczym suchy liść.

Odwróciła się i odeszła powoli w ciemny kąt pokoju.

– Oni tam śmieją się z tego – powiedziała. Jej głos stał się niski i zimny; Hamid jeszcze nigdy nie słyszał, by tak mówiła. – Na łądzie, w mieście, ludzie śmieją się z tego. Wiadomo. Opowiadają sobie o drewnianych ludziach, tępych łbach, starych wyspiarzach. Tutaj nikt się z tego nie śmieje. Gdy się ze mną żenił... – Obróciła się do Hamida i weszła w smugę wieczornego światła wpadającego przez jedyne nie zasłonięte okno. Jej suknia odbiła się bielą od cieni. – Gdy Farre z Sandry, Farre Starszy, poprosił mnie o rękę i miał się ze mną żenić, ludzie z Wyspy Szerokiej, gdzie mieszkałam, mówili mi, żebym tego nie robiła, a jemu to samo powtarzali tutejsi. Poszukaj wśród swoich, radzili, weź kogoś z własnego ludu. Ale co nas to obchodziło? Czym mieliśmy się przejmować? A ja nie wierzyłam! Nie uwierzyłam! Ale przybyłam tutaj i... Te drzewa, starsze drzewa w Gaju... byłeś tam, widziałeś je. Znasz ich imiona? – Zatrzęsała się i znów załkała. Złapała

za oparcie krzesła i stała tak, kołysząc się do przodu i do tyłu. – Zabrał mnie tam. „To jest mój dziadek” – wychrypiąca, ciężko łapiąc powietrze. – „A to Aita, babka mojej matki. Doran-dem stoi już tak od czterystu lat”. – Głos jej się załamał.

– My się z tego nie śmiejemy – odezwał się Hamid. – Znamy tę opowieść i uważamy, że może być prawdziwa, chociaż jest tak niezwykła. Zagadkowa. Kim są... starsi, co sprawia, że się zmieniają... jak to się dzieje... Doktor Saker wysłał mnie nie tylko do pomocy, ale i po to, żebym dowiedział się czegoś. Sprawdził... jak przebiega ten proces.

– Proces – powtórzyła Makali.

Wróciła do łóżka i spojrzała na niego ponad sztywnym ciałem. Ponad kłodą.

– Co ja tu noszę? – spytała spokojnie, ale chrapliwie, kładąc dłonie na brzuchu.

– Dziecko – powiedział Hamid wyraźnie i bez wahania. – Jakie dziecko?

– Czy to ważne?

Nie odezwała się.

– Jego dziecko, twoje dziecko, takie jak wasza córka – odpowiedział więc na jej pytanie. – Nie wiesz, jakim dzieckiem jest Idi?

– Takim jak ja – szepnęła po chwili. – Nie ma bursztynowych oczu.

– A gdyby miała, mniej byś się o nią troszczyła?

– Nie.

Znów zamilkła. Spojrzała na męża, potem na okno, w końcu na Hamida.

– Przybyłeś, żeby się dowiedzieć – stwierdziła.

– Tak. I żeby pomóc, ile zdołam. Skinęła głową.

– Dziękuję.

Na chwilę przycisnął dłoń do serca.

Usiadła na swym zwykłym miejscu obok łóżka i odetchnęła głęboko, ale bardzo cicho. Za cicho na westchnienie. Hamid otworzył usta.

– On jest ślepy, głuchy, nic nie czuje. Nie wie, czy tu jesteś, czy nie. Jest jak kłoda drewna, nie musisz przy nim czuwać! – Wszystko to powiedział tylko w myślach. Ani słowo nie wydostało się na zewnątrz. Zamknął usta i stał w milczeniu.

– Jak długo? – spytała normalnym, spokojnym głosem.

– Nie wiem... Przemiana postępuje dość szybko. Może już niedługo.

Pochyliła się nad mężem. Położyła dłoń na jego dłoni. Delikatnie i ciepło. Wyczuła twarde kości skryte pod twardą skórą, długie, mocne i nieruchome palce.

– Kiedyś pokazał mi kikut pnia jednego ze starszych, który runął dawno temu – powiedziała.

Hamid pokiwał głową. Myślał o tej słonecznej polance w Gaju. Tej z krzakiem dzikiej róży.

– Pień spróchniał, przyszedł wielki sztorm. Pękł u podstawy. Był stary, pradawny, nie byli już nawet pewni, kto to... jak się nazywał. Miał setki lat. Korzenie wciąż tkwiły w ziemi, ale pień spróchniał i złamał się w czasie wichury. Został pniak i było widać... pokazał mi. – Zamilkła na chwilę. – Widać było kości. Kości nóg. W pniu drzewa. Wrosnięte w środku. Pękły razem z pniem. – Znów zapadła cisza. – Więc oni też w końcu umierają.

Hamid skinął głową.

Cisza. Mimo zawodowego wyczulenia Hamid nie dostrzegał żadnych oznak świadczących o tym, by Farre jeszcze oddychał. Jego klatka piersiowa nie unosiła się, nie opadała.

– Możesz iść, Hamid-dem – powiedziała łagodnie. – Ze mną już w porządku. Dziękuję.

Poszedł do swojego pokoju. Zapalił światło. Na stole pod lampą leżało kilka liści. Podniósł je z ziemi na skraju ścieżki tuż obok gaju. Gaju drzew starszych. Jedna gałązka, parę suchych liści. Nie

wiedział, czym kwitły te drzewa ani czym owocowały. Trafił tu akurat w tej porze lata, gdy kwiaty już opadły, a owoców jeszcze nie było. Nie śmiał zrywać żywej gałązki.

Dołączył do ludzi zebranych na kolacji. Był wśród nich stary Pask.

– Doktor-dem – zadudnił basem siodlarz – czy on się przemienia?

– Tak – odparł Hamid.

– Podajesz mu wodę?

– Tak.

– Musisz tego pilnować, dema – powiedział zdecydowanie stary. – Ona nie wie. Nie jest nasza.

Nie wie, czego mu trzeba.

– Ale nosi jego nasienie – stwierdził Hamid i nagle wyszczerzył zęby do starego.

Pask nie uśmiechnął się. Żaden grymas nie ożywił jego nieruchomej twarzy.

– Tak – powiedział. – Dziewczynka nie, ale to drugie może być starszym. – I odwrócił się.

Następnego ranka Hamid jak zwykle wysłał Makali na spacer i zbadał stopy Ferrego. Całe tkwiły w wodzie, jakby się ku niej wyciągnęły. Skóra na nich chyba trochę zmiękła, długie brunatne palce odrobinę się rozsunęły. Leżące wciąż bez ruchu dłonie wydawały się dłuższe. Silne, choć jakby pokręcone artretyzmem palce też rozpostarły się na prześcieradle.

Makali wróciła czerwona na twarzy i spocona od marszu w słońcu letniego poranka. Od pewnego już czasu patrzył, jak powoli, ale nieodwracalnie przybywa tej kobiecie sił, jak twardnieje i nabiera dystansu do swej tragedii; jej żywotność i wrażliwość wydały mu się nieskończenie poruszające i godne podziwu.

– Makali-dem, nie musisz tu przebywać cały dzień. Wystarczy, jeśli będziesz dolewać wody do miski. Nie możesz zrobić dla niego nic więcej.

– Więc to, że przy nim siedzę, nic dla niego nie znaczy – powiedziała, na poły tonem pytania, na poły stwierdzenia.

– Chyba nie. Już nie.

Skinęła głową.

Podziwiał, z jaką godnością ona to wszystko znosi. Bardzo chciałby pomóc.

– Dema, czy on albo ktokolwiek mówili ci kiedyś... czy w takim przypadku można jakoś ułatwić przemianę? Może są jakieś sposoby. Ja niczego takiego nie znam. Jest tu ktoś, kogo mógłbym o to spytać? Może Paska albo Dyadi?

– Gdy przyjdzie pora, będą wiedzieli, co robić – odparła z irytacją. – Dopilnują, żeby było dobrze. Żeby wszystko przebiegło jak trzeba i zgodnie z tradycją. Nie musisz się tym martwić. Zresztą chowanie pacjentów nie należy do obowiązków lekarza. Od tego są grabarze.

– On nie jest martwy.

– Nie. Tylko ślepy, głuchy i skretyniały. I nie wie, czy jestem obok, czy sto mil dalej. – Spojrzała na Hamida tak, że poczuł się zakłopotany. – Gdybym wbiła mu nóż w dłoń, to co? Poczulby?

Hamid wolał uznać, że to pytanie zostało podyktowane czystą ciekawością, pragnieniem wiedzy.

– Wrażliwość na bodźce słabła regularnie, aż w ciągu kilku ostatnich dni zanikła całkowicie – stwierdził. – W każdym razie na takie bodźce, jakich ja mogłem dostarczyć. – Chwycił nadgarstek Farrego i uszczypnął go z całej siły, chociaż nie było to łatwe, bo skóra zrobiła się bardzo twarda, a ciało wyschło.

– Kiedyś miał łaskotki – powiedziała, przyglądając się jego poczynaniom.

Hamid pokręcił głową. Dotknął podeszwy długiej, brunatnej stopy spoczywającej w misce

z wodą. Nie cofnęła się, nawet nie drgnęła.

– Więc niczego już nie czuje. Nic go nie zrani – powiedziała.

– Chyba nie.

– Ma szczęście.

Znów zakłopotany, Hamid pochylił się, żeby obejrzeć ranę. Już wcześniej zdjął bandaż, bo się zamknęła i została tylko czysta blizna. Zagłębienie po pchnięciu, z grubą, przypominającą korę otoczką, bez wątplenia też niebawem miało się wypełnić.

– Mogłabym wyryć na nim swoje imię – powiedziała Makali, przysuwając się do Hamida. Nagle pochyliła się nad bezwładnym ciałem, zaczęła je całować, głaskać, tulić i zraszać łzami.

Po chwili Hamid poszedł po kobiety ze służby. Zebrały się zaraz wkoło niej, gotowe pocieszać, i odprowadziły do innego pokoju. Hamid został sam. Nakrył Farrego. Odczuwał niemal satysfakcję, że wreszcie zapłakała, wreszcie się złamała. Łzy były naturalną reakcją. Były więcej niż wskazane. Wręcz niezbędne. Kiedyś uczono go, że kobieta, płacząc, oczyszcza umysł.

Stuknął silnie paznokciem w ramię Farrego. Zupełnie jakby uderzył w deskę. Trwało chwilę, nim przestało boleć. Poczul przyływ złości na swego pacjenta. Chociaż co to za pacjent? Przecież to już nie jest człowiek.

Chyba mu się w głowie pomieszało. O co właściwie złości się na Farrego? Co może człowiek poradzić, że jest taki, a nie inny? Albo że jakiś się staje?

Hamid wyszedł z domu, obszedł swoją stałą trasę i gdy wrócił, zamknął się w pokoju, żeby poczytać. Późnym popołudniem zajrzał do chorego. Nikt przy nim nie siedział. Ustawił krzesło, na którym ona czuwała tyle nocy i dni, i usiadł przy Farrem. Półmrok i cisza pokoju spowalniały myśli. W gruncie rzeczy był świadkiem zdrowienia. Dziwnego, tajemniczego i budzącego lęk, ale jednak zdrowienia. Farre odniósł śmiertelną ranę, ale uszedł i śmierci, i bólowi. Odpłynął w tę spokojną wegetację, odwrócił się od śmierci ku innemu życiu. Starszemu życiu. I co w tym złego? Tyle że zawiódł żonę, zostawił ją samą. Chociaż gdyby całkiem umarł, byłoby tak samo, tylko jeszcze okrutniej.

A może okrucieństwo tkwiło właśnie w jego nieumieraniu?

Hamid wciąż się nad tym zastanawiał, lekko senny w łagodnym półmroku, gdy do pokoju weszła cicho Makali. Zapaliła przysłoniętą lampę. Była w luźnej i lekkiej koszuli, pod którą swobodnie poruszały się jej pełne piersi. Nogawki muślinowych spodni miała zebrane nad kostkami bosych stóp. Noc była upalna i duszna, powietrze stało nieruchomo nad słonymi bagnami i piaszczystymi polami wyspy. Kobieta podeszła do głowy łóżka. Hamid zebrał się, żeby wstać.

– Nie, nie trzeba. Przepraszam, Hamid-dem. Proszę o wybaczenie. Nie wstawaj. Chciałam tylko przeprosić. Zachowałam się jak dziecko.

– Żal musi znaleźć ujście – powiedział.

– Nie cierpię płaczu. Łzy mnie wyczerpują. A teraz jestem w ciąży i płaczę bez powodu.

– Ten żal wart jest płaczu, dema.

– O tak. Gdybyśmy się kochali, to mogłabym całą tę miskę wypełnić łzami – powiedziała swobodnie i z przekonaniem. – Ale to było lata temu. Wyruszył na wojnę, żeby być z dala ode mnie. To dziecko, które noszę, nie jest jego. Zawsze był zimny, powolny. Taki jak teraz. – Spojrzała przelotnie na postać leżącą na łóżku. Uczyniła to jakoś dziwnie, wyzywająco. – Mieli rację – stwierdziła. – Półżywi nie powinni się wiązać z żywymi. Gdyby twoja żona była jak kłoc drewna, to czy nie poszukałbyś przyjaciółki z krwi i ciała? Nie poszukałbyś miłości u kogoś podobnego sobie?

Mówiąc to, podchodziła do Hamida, aż zatrzymała się tuż nad nim. Jej bliskość, falowanie koszuli, ciepło i zapach wypełniły nagle cały jego świat i kiedy położyła mu ręce na ramionach,

sięgnął ku niej, przyciągnął do siebie, dotknął ustami ciała, gotów pchnąć w jej miękkie ciepło swą obolałość. Tak się zatracił, że nawet nie zauważył, jak się od niego odwróciła. Patrzyła na łóżko, gdzie sztywne ciało jej męża zadrgało i zatrzęsło się, jęknęło skrzypliwie, próbując zgiąć się w pasie. Powieki uniosły się i odsłoniły gładkie kule oczu.

– Wiedziałam! – krzyknęła Makali, wyrwała się Hamidowi i stanęła triumfalnie nad posłaniem.  
– Farre!

Sztywne, na wpół uniesione ręce z rozcapierzonymi palcami kołysały się jak gałęzie na wietrze. Tylko tyle. Zdrewniałe ciało znów zaskrzypiało głucho. Kobieta padła na przechylone łóżko, zaczęła głaskać twarz męża, całować jego nieruchome oczy, wargi, pierś, pokryty szramami brzuch, niewielkie wybrzuszenie pomiędzy złączonymi i zrośniętymi nogami.

– Teraz możesz już odejść – mruzczała. – Wracaj spać. Wracaj, kochany, najdroższy, śpij. Teraz już wiem, już wiem...

Hamid wyrwał się z odrętwienia i wyszedł z pokoju. Wypadł z domu w jasną, letnią noc. Był zły na nią, że go wykorzystała, i na siebie, że na to pozwolił, ale gdy tak szedł, wściekłość zaczęła mu przechodzić. Zatrzymał się w końcu i gdy ujrzał, gdzie jest, zaskoczony roześmiał się krótko, chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Zszedł z głównej ścieżki na odnogę wiodącą do Starego Gaju, gdzie nigdy wcześniej nie chodził.

Wszędzie wkoło wznosiły się niemal niewidoczne w cieniu gęstych koron wielkie pnie drzew. Tu i ówdzie przebijał przez listowie blask księżyca. Srebrzył krawędzie liści, rozlewał się rtęciowymi oczkami na trawie. Pod drzewami było chłodno, bezwietrznie i spokojnie.

Hamid wzdrygnął się.

– Niebawem będzie z wami – powiedział do grubych, konarzastych, głęboko ukorzenionych i ciemnych postaci. – Pask i inni wiedzą, co robić. Rychło do was dołączy. A ona będzie tu przychodzić w letnie popołudnia, będzie siadywać z dzieckiem w jego cieniu. Może nawet ją tu pochowają. U jego korzeni. Ale ja tu nie zostanę. – Mówiąc to, zmierzał już ku gospodarstwu, przystani, kanałom płynącym wśród trzciny i drodze wiodącej w głąb łąki, na północ, byle dalej stąd. – Jeśli pozwolicie, wyruszę od razu...

Starsi stali nieporuszeni, gdy niemal wypadł z Gaju i pomaszerował ścieżką: maleńka i drobna postać, zbyt szybka, aby ją zauważyć.

# MĄDRA

Przyszłam do tej kobiety i wcale mi się tam nie spodobało. Pustkowie zalatujące starymi kośćmi.

Mieszkała w domu ze ślepyimi oknami. Nikt się tam nie kręcił, ani w środku, ani na zewnątrz, ale słyhać było głosy, jakby w domu nieustannie ktoś rozmawiał. Posłuchałam, ale nie udało mi się rozróżnić ani słowa, na dodatek im bardziej nastawiałam ucha, tym mniej do mnie docierało. Przestałam się wysilać i wtedy znów rozbrzmiały głośnieji. Gadały i gadały.

Ziemia wkoło domu była naga, kamienista.

Nie chciałam wchodzić. Nie chciałam pukać do drzwi. W ogóle wolałabym się tam nie znaleźć.

Gdy dotarłam na miejsce, zbliżała się już noc, postanowiłam więc, że zapukam rano. Położyłam plecak pod jakimś krzakiem tuż przy pagórku obok domu, ale po drugiej stronie, rozwinęłam śpiwór, zjadłam trochę, chociaż nie byłam głodna, i zasnęłam. Spałam źle. Na niebie nie było gwiazd.

Gdy obudziłam się rano, pomyślałam: Nie wejdę tam! Radośnie obmyłam twarz w płynącym poniżej mulistym strumyku i wypilałam trochę wody, po czym ruszyłam przez wzgórza tą samą drogą, którą przyszłam. Maszerując, śpiewałam w rytm kroków.

Ale po jakimś czasie piosenki się skończyły, a pagórkowata i zielona okolica, którą przemierzałam poprzedniego dnia, wydała mi się przywiędła i jałowa. Około południa przysiadłam, żeby ulżyć obolałym i zeszywniałym pod plecakiem ramionom. W końcu wstałam, zawróciłam i znów tam poszłam. Dom ujrzałam ponownie o zachodzie słońca, ale nie zbliżyłam się do niego.

Kręciłam się w okolicy przez kilka dni. Zjadałam moje skromne zapasy, chociaż nie czułam głodu, piłam wodę z mulistego strumienia. Potem znowu spróbowałam odejść. Tym razem oddaliłam się na cały dzień drogi, ale gdy przyszła noc, przeleżałam ją bezsenne, zrozpaczona i samotna. Wstałam o brzasku i cały dzień wracałam do tamtego domu.

Dotarłam tam wczesnym wieczorem. Przeszłam po kamieniach podwórka i zapukałam do drzwi. W środku nagle wszystko ucichło. Stałam w tej ciszy przerażona i nieszczęśliwa.

– Wejdz – usłyszałam.

Musiałam mocno pchnąć drzwi, żeby się otwały. Musiałam tam wejść. Wstrzymałam oddech, porażona odorem kości. Był tak silny, że aż dławił w gardle. Weszłam.

– Usiądz – powiedziała kobieta.

Siedziała przy wygasłym palenisku. Niechętnie zajęłam miejsce na stołku przy zimnych popiołach, naprzeciwko kobiety.

– Nie mam cię czym poczęstować – oznajmiła, nie próbując się tłumaczyć. Wcale mnie to nie zmartwiło, bo gardło wciąż miałam ściśnięte, oddychałam jak najpłycej. Niczego bym nie przelknęła.

– Słucham – powiedziała.

Wciągnęłam w płuca tyle powietrza, ile zdołałam.

– Potrzebuję twej pomocy.

– Mojej pomocy? Przecież to ty jesteś Mądra – powiedziała bez śladu ironii.

– Tak mnie nazywają.

– Tak cię nazywają – powtórzyła tym samym tonem.

– Nie wiem, co z nimi zrobić – wykrztusiłam z wysiłkiem.

– Aha – mruknęła. – Pokaż mi – dodała po chwili.

Sięgnęłam niezgrabnie za siebie i ściągnęłam plecak. Otworzyłam go i wyjęłam moich zmarłych, wszystkich po kolei, dobrą matkę i macochę, dziadka i surowego ojca, ciężkie, bardzo ciężkie dziecko, rozczłonkowanych przyjaciół i zepsute mięso mojej miłości. Ułożyłam ich na zimnych

kamieniach paleniska. Kobieta spojrzała i mlasnęła językiem.

– Mądry ludu, ależ ty dźwigasz brzemię! Nie pojmuję, jakim cudem możesz stać prosto.

– Już nie mogę – odparłam. I rzeczywiście, plecy mi się wyobliły i głowa wysunęła do przodu pod ciężarem tego, co nosiłam tak długo i daleko.

– Gdy śpisz, też trzymasz ich na plecach? – spytała. Pokręciłam głową.

– Na piersiach, w ramionach.

Znów mlasnęła językiem i pokręciła głową, jakby mnie naśladowała.

– Cioteczko, proszę, pomóż mi!

Spojrzała ostrożnie na moich zmarłych. Chociaż nie dotknęła żadnego, wstała i obeszła ich wkoło, pochyliła się i obejrzała dziecko, powąchała zaśmierdłe mięso, długo lustrowała stos rozczłonkowanych przyjaciół.

– Dlaczego ich jeszcze nie pogrzebałaś?! – spytała w końcu, nie z wyrzutem, ale po prostu zdziwiona.

– Nie wiem jak. Naucz mnie, proszę, naucz mnie, jak to zrobić. Już dłużej nie mogę ich nosić!

– No chyba – mruknęła kobieta i zakrakała jak wrona. Przeskoczyła nad moimi zmarłymi leżącymi na palenisku i wyciągnęła długie, czarne ręce. – Nie mogę cię tego nauczyć, Mądra. Czego chcesz? Pozbyć się ich? Zostawić u mnie? Tego chcesz?

Stałam po jednej stronie paleniska, ona po drugiej, zmarli leżeli pomiędzy nami.

– Nie – powiedziałam i zaczęłam po kolei pakować ich z powrotem do plecaka, moje brzemię, które przygięło mi kręgosłup, spłaszczyło piersi, nasączyło bólem kości. Jednak gdy narzuciłam plecak na ramiona, nie ważył więcej niż wronie piórko.

– I cóż mądrość? – rzuciła, siedząc znów przy wygasłym palenisku. Bez ironii, bez wyrzutu, bez skruchy.

Pocałowałam ją zatem i ruszyłam z powrotem do domu.



# KŁUSOWNIK

*... Czy każdy pocałunek musi  
Budzić dom cichy i dziki śpiew ptaków?*

Sylvia Townsend Warner

Gdy po raz pierwszy dotarłem do wielkiego żywopłotu, byłem jeszcze dzieckiem. Zbierałem grzyby; nie dla sportu, jak czytałem, że robią to damy i dżentelmeni, ale z potrzeby. Mówi się, że zbieranie grzybów czy polowanie bez potrzeby jest przywilejem szlachty. Ja powiedziałbym raczej, że to właśnie robienie czegoś bez potrzeby jest jedną z tych rzeczy, które czynią szlachcicem, człowiekiem uprzywilejowanym. Zwyczajni ludzie trudnią się podobnymi sprawami z głodu i czyni to z nich kłusowników. W moim wypadku chodziło o grzyby, a kłusowałem w Puszczy Królewskiej.

Ojciec wysłał mnie tego ranka z koszykiem i nakazał:

– Nie waż się wracać, aż będzie pełny!

Wiedziałem, że mnie zbije, jeśli nie przyniosę kopiastego kosza czegoś do zjedzenia. O tej porze roku najlepiej grzybów albo młodych liści paproci, które zaczęły właśnie wyglądać tu i ówdzie ze zmarzniętej ziemi. Uderzy mnie przez plecy drzewcem motyki albo witką i pośle spać bez kolacji, bo sam będzie głodny i niezadowolony. Zrobi mu się lepiej, jeśli za jego sprawą ktoś, na przykład ja, poczuje się jeszcze głodniejszy niż on, a do tego obolały i upokorzony. Po chwili do mojego kąta chaty cicho przyjdzie macocha i zostawi mi na sienniku albo wciśnie w rękę kilka kąsków, które jakoś wygospodarowała albo i odjęła sobie z kolacji: pół kromki chleba lub kawałek grochowego puddingu. Samymi oczami nakaze mi, bym się nie odzywał. I nic nie powiem. Nawet jej wtedy nie podziękuję. Zjem w ciemności, co dostałem.

Ojciec często ją bił. I tak to już ze mną było, dobrze to czy źle, że wcale nie uważałem się za lepszego od niej, gdy widziałem, jak dostaje. Czuję się tym strasznie poniżony. Bardziej nawet niż ta łkająca, nieszczęsna kobieta. Była całkiem bezradna, a i ja nie mogłem nic dla niej zrobić. Raz spróbowałem zamieść w domu, gdy wyszła do pracy na pole. Chciałem, żeby po powrocie zastała porządek, ale od mojego zamiatania tylko się wzbiła w powietrze cała masa kurzu. Gdy przyszła, brudna i zmęczona po machaniu motyką, niczego nie zauważyła i zaraz wzięła się do rozpalania ognia, nastawiania wody i tak dalej, a mój ojciec, wcale nie bardziej brudny i zmęczony, usiadł z wielkim westchnieniem na naszym jedynym krześle. I złość mnie wzięła, bo ostatecznie nic mi z tego pomagania nie wyszło.

Pamiętam, że z początku, zaraz gdy ojciec się z nią ożenił, a ja byłem całkiem mały, bawiła się ze mną, jakby sama była dzieckiem. Umiała rzucać nożem i mnie też nauczyła. Nauczyła mnie jeszcze abecadła ze swojej książki. Wychowywała się u sióstr i знаła litery, biedactwo. Ojciec pomyślał, że jeśli będę umiał czytać, to może przyjmą mnie do klasztoru, a wtedy rodzina stanie się bogata. Nic z tego oczywiście nie wyszło. Macocha była niewysoka i słaba i nie pomagała mu w pracy tak bardzo jak moja matka, więc nie wiodło się nam najlepiej i lekcje czytania wkrótce się skończyły.

Potem odkryła, że mam talent zbieracza, i pokazała mi, czego i kiedy mam szukać. Nauczyłem się rozpoznawać złociste i brązowe borowiki, smardze i inne jeszcze grzyby, różne pędy, korzonki, jagody i owoce. Nad strumieniami wypatrywałem rukwi wodnej, umiałem też dzięki macosze sporządzać pułapki na ryby, ojciec zaś nauczył mnie zastawiać wnyki na królika. Szybko zaczęli

liczyć na moje dostawy żywności, gdyż wszystko, co wyrastało na naszym polu, szło dla barona, który był jego właścicielem. Na własne potrzeby mogliśmy uprawiać jedynie splechetek ziemi za chatą. O ile zrobiliśmy wcześniej swoje na polu barona, oczywiście. Dumny byłem z tej mojej nowej roli i chodziłem do lasu chętnie i bez strachu. Czy nie mieszkaliśmy na skraju puszczy, prawie między drzewami? Czy nie znałem wszystkich ścieżek, polan i zagajników w promieniu mili od naszej chaty? Uważałem ten las za mój teren. Jednak ojciec i tak co rano powtarzał swoje, jakby musiał mi rozkazywać. I zawsze skąpił zaufania, dodając: „Nie waż się wracać, aż będzie pełny!”

Czasem miałem kłopot z napełnieniem kosza, szczególnie wczesną wiosną, gdy nic jeszcze nie wzeszło. Takiego właśnie dnia pierwszy raz ujrzałem wielki żywopłot. W cieniu pod dębami wciąż leżał stary śnieg. Szedłem coraz dalej, lecz nie wypatrzyłem ani jednego grzyba, ani pędu paproci, tylko zasuszone owoce wiszące wciąż na krzakach jeżyny. Wiedziałem, że smakują zgnilizną. Więcierz w rzece był pusty, podobnie wnyki, a raki ciągle kryły się w mule. Dotarłem przez to dalej niż zwykle, w nadziei, że napotkam jednak gdzieś młode paprocie lub wypatrzę na lukrowatym i porowatym śniegu ślady wiewiórki. Idąc po tropie, mógłbym znaleźć jej spizarkę. Szło mi się łatwo, bo trafiłem na ścieżkę niemal tak szeroką jak droga czy aleja, która prowadzi do zamku barona. Zimne słońce przeświecało przez wysokie buki, które rosły po obu jej stronach. Na końcu trafiłem na coś jakby żywopłot, ale tak olbrzymi, że z początku wziąłem go za sunącą zza horyzontu chmurę. Czy to była granica lasu? A może koniec świata?

Wpatrywałem się w niego i szedłem dalej, ani na chwilę nie przystanąłem. Im bliżej byłem, tym dziwniejszy mi się wydawał – wyrastał wyżej niż pradawne buki i ciągnął się w obie strony jak okiem sięgnąć. Podobnie jak zwykły żywopłot, tworzyły go splecione krzaki i drzewa, był jednak niezwykle wysoki, gęsty i kolczasty. W tej porze roku gałązki były czarne i nagie, ale nigdzie nie znalazłem najmniejszej nawet luki, przez którą mógłbym wypatrzeć, co jest po drugiej stronie. Kolce zaczynały się tuż przy masywnych korzeniach. Przysunąłem twarz jak najbliżej i choć się boleśnie podrapałem, nie zobaczyłem nic prócz płataniny gałązek i solidnych konarów.

No dobrze, pomyślałem, jeśli to jeżyny, to przynajmniej znalazłem niewyczerpane źródło owoców, niech tylko przyjdzie lato! W tamtych czasach myślałem prawie wyłącznie o jedzeniu. Nic innego mnie właściwie nie interesowało.

Niemniej dziecięcy umysł lubi wędrować. Czasem, gdy starczało i dla mnie na kolację, kładłem się wpatrzony w nasze małe, przygasające już palenisko i zastanawiałem się, co jest po drugiej stronie ciemnego żywopłotu.

Jak się spodziewałem, okazał się niewyczerpanym źródłem jeżyn i jagód głogu, więc przez lato i jesień byłem tam częstym gościem. Wprawdzie droga w jedną stronę zabierała aż połowę poranka, ale gdy już okrył się owocami, napełnienie kosza i worka zabierało ledwie parę chwil i dzięki temu cały środek dnia miałem wyłącznie dla siebie. Najczęściej wędrowałem wtedy wzdłuż żywopłotu. Co parę kroków zrywałem jakiś szczególnie ładny owoc i snułem mało konkretne marzenia. Nie znałem wtedy żadnych opowieści prócz prozaicznej historii żywota mojego ojca, mojej macochy i mnie samego, zatem moje marzenia nie miały się w co układać. Jednak przez cały czas patrzyłem, czy nie otworzy się w żywopłocie najmniejsza chociaż luka. Może więc miałem jednak jakieś marzenie: że w wielkim żywopłocie jest przejście i że to ja je znajdę.

Wspinaczka nie wchodziła w grę. Nigdy nie widziałem niczego równie wysokiego, a w górze kolce były długie jak moje palce i ostre jak igły do szycia. Gdy nie uważałem dość przy zbieraniu owoców, często darłem ubranie. Ramiona co lato pokrywały mi się siatką czerwonych i czarnych zadrapań.

Jednak lubiłem tam chodzić i wędrować wzdłuż żywopłotu. Pewnego dnia wczesną wiosną,

kilka lat po pierwszej wyprawie, też tam poszedłem, chociaż było za wcześnie na jagody, jednak cierniste krzewy zaczęły kwitnąć i ciężka woń kwiatów unosiła się wielką chmurą aż pod niebo. Chciałem to zobaczyć, powąchać. Żywopłot pachniał równie intensywnie jak mięso czy chleb, ale nieporównanie słodziej. Ruszyłem w prawo. Szło się łatwo, zupełnie jakby kiedyś była tam droga. Nakrapiane słońcem konary starych, leśnych buków nie sięgały do kolczastej ściany, a najwyżej wyrosłe kwiaty kwitły sporo wyżej ich koron. Pod żywopłotem zalegał cień, unosił się ciężki zapach kwiatów jeżyn, a że brakło wiatru, było tu bardzo ciepło. I zawsze cicho, przy czym cisza jakby sączyła się z drugiej strony.

Już sporo wcześniej zauważyłem, że z tamtej strony nie dobiega śpiew ptaków, chociaż puszcza była pełna ich wiosennych treli. Czasem widziałem ptaki przelatujące nad żywopłotem, ale jakoś nigdy nie zauważyłem, żeby któryś od razu wracał.

Wędrowałem zatem w ciszy po wiosennej trawce i rozglądałem się za moimi ulubionymi małymi, rdzawobrazowymi grzybkami, gdy poczułem się jakoś nieswojo. Pomyślałem, że może zaszedłem dalej niż zwykle, ale popatrzyłem dokoła i okazało się, że to nie to – byłem tu już wiele razy. Pamiętałem kępę młodych brzoź, z których jedna ostatniej zimy przygięła się do ziemi pod ciężarem śniegu. A potem pod krzakiem porzeczek obok trawiastej ścieżki dostrzegłem kosz i zawiązany na supeł worek. Ktoś jeszcze pojawił się tam, gdzie dotąd nie spotkałem żywej duszy. Ktoś kłusował na moim terenie.

Ludzie ze wsi bali się lasu. Bali się też nas, bo nasza chata stała na samym skraju puszczy. Nigdy nie zdołałem pojąć, skąd brał się ten ich lęk. Gadali coś o wilkach. Raz widziałem wilczy trop, a czasem w zimowe noce słyszałem samotne wycie, ale żaden wilk nigdy nie podszedł pod domy, a nawet nie przebiegł przez pola. Gadali też o niedźwiedziach. Nikt z naszej wioski nie widział nigdy tropu niedźwiedzia. Gadali o niebezpieczeństwach czyhających w lesie, o pułapkach i czarach, przewracając przy tym oczami i zniżając głos do szeptu. Uważałem ich wszystkich za skończonych głupców. Schodziłem wielki kawał puszczy tak i siak, z góry na dół i dookoła, znałem ją niczym nasz splechec ziemni za chatą i nigdy nie trafiłem na nic, co mogłoby budzić lęk. O czarach nie mówiąc.

Gdy więc musiałem wybrać się czasem do odległej o pół mili wioski, ludzie patrzyli na mnie spode łba i nazywali dzikusiem. Byłem dumny z tego przezwiska. Pewnie byłoby milej, gdyby wołali mnie po imieniu i witali uśmiechem, ale dzięki temu miałem prawdziwy powód do dumy – moje dzikie ostępy, gdzie nie śmiał chodzić nikt oprócz mnie.

Tak zatem ze strachem i boleścią patrzyłem na ślady obecności intruza, natręta, rywala... aż poznałem, że to mój własny worek i mój kosz. Obszedłem wielki żywopłot naokoło. Co znaczyło, że tworzył pierścień. Mój las był na zewnątrz, a w środku... Cokolwiek to było, było wewnątrz.

Od tamtego popołudnia moja umiarkowana dotąd ciekawość zaczęła się wzmacniać i domagać zaspokojenia. Musiałem pokonać żywopłot i sprawdzić, co kryje to tajemnicze miejsce. Leżąc wieczorem ze wzrokiem wbitym w gasnące węgle, zastanawiałem się, jakich narzędzi należy użyć, żeby wyciąć w żywopłocie przejście, i gdzie te narzędzia zdobyć. Liche motyki i oskardy, którymi pracowaliśmy w polu, ledwie wyszczerbiłyby te potężne gałęzie i konary. Potrzebowałem porządnego, ostrego żelaza i jeszcze dobrej osetki.

I tak zostałem również złodziejem.

We wsi zmarł stary drwal. Usłyszałem o jego śmierci jeszcze tego samego dnia, gdy byłem na targu. Wiedziałem, że mieszkał sam i że ludzie uważali go za skąpca. Mógł mieć to, czego potrzebowałem. W nocy, gdy ojciec i macocha usnęli, wysliznąłem się z chaty i w blasku księżyca wszedłem do wioski. Drzwi do chaty drwala stały otworem. W palenisku pod okapem komina pełgał

ogień. W sypialni na lewo od ognia kilka kobiet czuwało przy zwłokach. Głównie plotkowały i tylko co jakiś czas przypominały sobie, po co tu są, i zawodziły żałobnie. Przekradłem się cichutko do gospodarczej części domu. Zabudowane palenisko było między nami, nie mogły mnie więc ani widzieć, ani słyszeć. Krowa przeżuwała, co jej na żołądku zaległo, kot wodził za mną ślepiami, kobiety w drugiej części domu gadały i chichotały, a okryty całunem stary drwal leżał martwo na sienniku. Cicho, lecz bez pośpiechu przejrzałem jego narzędzia. Miał świetny toporek, lichą piłę i osadzony na podstawie, okrągły kamień szlifierski, dla mnie prawdziwy skarb. Podstawy nie mogłem zabrać, ale korbkę wetknąłem za koszulę, narzędzia wziąłem pod pachę, a kamień w obie ręce i wyszedłem z tym wszystkim. „Kto tam?!” – zawołała jedna z kobiet, ale bez szczególnego zainteresowania, i niedbale jęknęła.

Zanim dotarłem do drogi wiodącej ku naszej chacie, kamień wyciągnął mi ręce prawie do ziemi. Ukryłem wszystko kawałek w głąb lasu, pod stertą ściętych gałęzi. Po omacku wróciłem na siennik, bo ogień już wygasł. Długo potem leżałem z bijącym mocno sercem, które opowiadało rytmicznie moją historię: ukradłem broń, a teraz zacznę oblężenie żywoplotowej twierdzy. Oczywiście nie używałem tych słów. Nic nie wiedziałem o obleganiu, wojnach, zwycięstwach i wszelakich dziejowych zawirowaniach. Nie znałem innej historii prócz mojej własnej.

Gdyby czytać o tym w książce, byłaby to nudna opowieść. Niezbyt jest o czym mówić. Przez całe lato i jesień, a potem zimę i wiosnę, i jeszcze następne lato, następną jesień i następną zimę, przez cały ten czas prowadziłem moją wojnę, oblegałem twierdzę: ścinałem, rąbałem i piłowałem jeżynowy, kolczasty gąszcz. Pojedynczy konar nie był tak wielkim problemem, aby gdy już się z jakimś uporałem, to musiałem przyciąć jeszcze z pięćdziesiąt innych, splątanych z nim gałęzi. Potem wyciągałem go i brałem się do następnego. Siekierka tępiła mi się tysiące razy. Dorobiłem podstawę do kamienia szlifierskiego i ostrzyłem żeleźce bez końca, aż praktycznie nie było już co ostrzyć. Pierwszej zimy piła połamała się na korzeniu twardym jak kamień. Drugiego lata ukradłem siekiere i piłę ręczną grupie wędrownych drwali, którzy rozłożyli się obozem na skraju lasu blisko drogi do zamku barona. Kłusowali w mojej puszczy, na moim terenie, więc w zamian zabrałem im coś z narzędzi. Uważałem, że to sprawiedliwa wymiana.

Ojciec sarkał, że znikam z chaty na tak długo, ale dalej zaopatrywałem ich w żywność. Zastawiłem tyle sideł, że ilekroć mieliśmy na to ochotę, zawsze znajdował się jakiś królik do garnka. Tak czy owak, ojciec nie śmiał mnie już uderzyć. Miałem wtedy chyba szesnaście lub siedemnaście lat i byłem dobrze wyrosnięty, na tyle wysoki i silny, że ojciec, wyniszczony życiem, ponad czterdziestoletni starzec, nie mógł się ze mną równać. Ale moją macochę dalej bił, kiedy chciał. Zmieniła się w drobną, bezzębną i czerwonoooką staruszkę. Rzadko się odzywała. Gdy już próbowała, ojciec zaraz ją szturchał, narzekając na babską gadatliwość i natrętność. „Nigdy się nie zamkniesz?!” – krzyczał, a ona garbiła się, kulila i opuszczała głowę jak żółw. Ale czasem, gdy myła się ścierką w misce z podgrzaną na gorącym popiele wodą, koc zsuwał się jej z ramion i w poświacie paleniska widziałem, że ciało wciąż ma gładkie, piersi jędrne, a biodra cieniście szerokie. Odwracałem się zaraz, bo wstydziła się i bała mojego spojrzenia. Nazywała mnie synem, chociaż wcale nim nie byłem. Od dawna nie mówiła mi po imieniu.

Raz zauważyłem, że przygląda mi się przy jedzeniu. W tę pierwszą jesień mieliśmy dobre zbiory i starczyło rzepy na całą zimę. Ojciec akurat wyszedł, a z jej twarzy wyczytałem, że bardzo chciałaby spytać, co robię całe dni w puszczy, dlaczego moja koszula, kamizelka i spodnie są wiecznie poszarpane i podziurawione, skąd biorą się te niezliczone zadrapania na wierzchu dłoni i od czego te zgrubienia po wewnętrznej ich stronie. Gdyby spytała, powiedziałbym jej. Ale nie spytała. Milcząco opuściła głowę.

Nisza, którą wyrąbałem i wyciąłem w żywopłocie, była teraz cicha i mroczna. Kolczaste drzewa wyrastały tak wysoko i tak ciasno spletały się ich gałęzie, że z góry nie przenikało żadne światło.

Gdy pierwszy rok dobiegł końca, wgryzłem się w przeszkodę korytarzem dwakroć dłuższym, niż miałem wzrostu, i dość wysokim, żebym mógł stanąć wyprostowany. Z przodu wciąż nic nie widziałem, nic też nie zwiastowało, by gałęzie miały się stawać coraz cieńsze. Wiele razy, gdy leżałem w nocy i słuchałem chrapania ojca, przepowiadałem sobie, że pewnego dnia, gdy będę już tak stary jak on, zetnę wreszcie ostatnią gałąź i wyjdę na drugą stronę... do tego samego lasu. Strawię życie na przebijanie się przez wielki i kolisty jeżynowy żywopłot, wewnątrz którego nie ma nic prócz samego żywopłotu. Taki koniec opowieści wróżyłem, ale nie dawałem temu wiary. Próbowałem sobie wyobrazić, co może być po drugiej stronie. Zielona łąka... Wioska... Klasztor... Pałac... Kamieniste pole... Nie potrafiłem wymyślić nic więcej. Jednak te czarne myśli nie trzymały się mnie długo: rychło znów zaczynałem się zastanawiać, jak najlepiej ściąć kolejną stojącą mi na drodze gałąź. Moja opowieść składała się z niezliczonych rozdziałów opisujących usuwanie kolejnych konarów. I tylko z tego. Opowiedzenie jej w całości musiałoby trwać równie długo jak sama robota.

Tamtego dnia pracowałem akurat piłą drwali nad sękatym i węzlastym konarem grubym jak moje udo i twardym jak żelazo. W zasadzie było blisko końca zimy, ale dzień należał do tych, które każą myśleć, że zima nigdy nie odejdzie. Było zimno, wilgotno, ciemno, ponuro i głodno. Klęczałem w ograniczonej przestrzeni, piłowałem z całej siły i nie myślałem o niczym innym prócz tego piłowania.

Żywopłot rósł nienaturalnie szybko, i to niezależnie od pory roku. Grube i blade pędy pokazywały się nawet w środku zimy. Latem zawsze musiałem zaczynać pracę od oczyszczenia przejścia z zielonych, żądlących odrostów. Mój tunel był teraz długi na ponad pięć jardów, ale tylko na półtorej stopy wysoki. Poza samym końcem, bo nauczyłem się już przeczołgiwać pod kolcami, jednak z przodu potrzebowałem więcej miejsca, by się zamachnąć siekierą czy piłą. Zwykle przy tym kuciałem, uznając, że trochę mniej wygod to żaden problem, jeśli w zamian za brak przestrzeni do pracy na stojąco mogę się posunąć dziennie o kilka gałęzi dalej.

Konar pękł nagle, i to pękł źle, tak że poleciał nie w tę stronę, co trzeba. Piła omal nie trafiła mnie w udo, a konar osunął się, pociągając całą płataninę w dół. Długa gałąź uderzyła mnie w twarz. Kolce porały powieki i czoło. Oślepiiony płynącą krwią myślałem, że straciłem oczy. Klęczałem, łkając, ocierałem krew drżącymi ze zdenerwowania i zaskoczenia dłońmi. W końcu oczyściłem jedno oko, potem drugie, a mrugając, zobaczyłem przed sobą światło.

Padając, konar utworzył lukę w kolczastym labiryncie. Niewielką, nie większą niż szczelina w murze, ale w tym małym otworze ujrzałem zamek.

Teraz już wiem, że to zamek. Wtedy nie wiedziałem, jak nazwać tę budowlę. Zobaczyłem skąpane w słońcu żółte, kamienne mury. Potem dojrzałem jeszcze bramę. Obok niej stały w cieniu jakieś postaci, męskie, jak mi się zdawało. Nie poruszały się i po jakimś czasie pomyślałem, że to zapewne kamienne posągi, takie, jakie widziałem przy wejściu do klasztornego kościoła. I to wszystko: blask słońca, jasny kamień, drzwi, posągi w cieniu. Resztę widoku zasłaniała mi ciemna płatanina gałązek, konarów i martwych liści. Piętrzyła się tak samo nieprzenikniona jak przez ostatnie dwa lata.

Pomyślałem, że gdybym był wężem, mógłbym przepelznąć przez ten otwór! Ale nie byłem wężem, musiałem go zatem powiększyć. Ręce wciąż mi się trzęsły, jednak wziąłem siekierę i zacząłem rąbać splecione gałęzie. Teraz wiedziałem, które muszę usunąć najpierw: leżące pomiędzy moimi oczami a tym złocistym murem i drzwiami. Nie przejmowałem się już wymiarami tunelu,

przedzierałem się tylko do przodu, obojętny na nowe skaleczenia na rękach i twarzy i kolejne dziury w ubraniu. Machałem tępą siekierą z taką siłą, że wióry latały wkoło. Im dalej się przedzierałem, tym cieńsze gałęzie napotykałem. Z wolna zaczęło przez nie przebijać światło. Nie były też tak zimowo czarne i twarde, pozieleniały nawet, zrobiły się giętkie, aż w końcu mogłem je odgarniać rękami. Odsunąłem ostatni kłęb i wypelźłem na czworakach na gładź jasnozielonej trawy.

Niebo nad głową niebiesciło się jak wczesnym latem. Przede mną, trochę niżej na łagodnym stoku, stała budowla z żółtego kamienia. Zamek z fosą. Z iglic na wieżach zwieszały się martwo flagi. Powietrze było nieruchome i ciepłe. W ogóle nic się nie poruszało.

Ja też trwałem dłuższą chwilę bez drgnienia i tylko pierś mi chodziła mocno i głośno. Obok mojej spoconej i zakrwawionej dłoni widziałem małą pszczołę siedzącą na kwitnącej koniczynie. W całkowitym bezruchu spijała nektar.

Dźwignąłem się na kolana i rozejrzałem ostrożnie dokoła. Wiedziałem, że to musi być siedziba w rodzaju zamku, który baron miał za wioską, i pamiętałem, że niebezpiecznie jest znaleźć się w takim miejscu, jeśli nie mieszka się tam ani nie pracuje. Tyle że budowla była nieporównanie większa i piękniejsza niż zamek barona. Wspanialsza nawet niż kościół przy klasztorze. Z żółtymi murami i czerwonymi dachami wyglądała jak kwiat. Nie widziałem dotąd niczego, co mogłoby się z nią równać. Zamek barona był przysadzistą warownią otoczoną skupiskiem chat i stodół; kościół był szary i ponury, a rzeźby przy jego drzwiach straciły już twarze ze starości. Ten zaś tajemniczy budynek oczarowywał lekkością konstrukcji, urodą i był jak nowy. Blask słońca na jego murach kojarzył mi się z poświatą paleniska dobywającą z mroku piersi mojej macochy.

W pół drogi doń, na rozległym, trawiastym stoku opadającym ku fosie, leżało kilka pogrążonych w południowym odrętwieniu krów. Łby trzymały uniesione, ślepia zamknięte i nawet przeżuwać im się nie chciało. Z drugiej strony zamku polegiwało na trawie białe stado owiec, a rosnący w ich pobliżu jabłoniowy sad zrzucał właśnie ostatnie kwiaty.

Było bardzo ciepło. W samej koszuli i płaszczu, spocony na dodatek, po drugiej stronie żywopłotu trząsłbym się z zimna, tutaj zaś musiałem zrzucić płaszcz. Krew z zadrapań zdążyła zaschnąć i skóra swędziała niemiłosiernie, spojrzałem więc tęsknie na fosę, na gładkie i błękitne zwierciadło wody. Kusilo tym bardziej, że chciało mi się pić. Butelkę z wodą zostawiłem po drugiej stronie przejścia, na dodatek była prawie pusta. Pomyślałem o niej, ale nie odwróciłem nawet głowy ku otworowi, z którego wyszedłem.

Kłęczałem w cieniu wielkiego żywopłotu i syciłem oczy wspaniałym widokiem. Przez cały ten czas nie dostrzegłem najmniejszego poruszenia. Ani na łące, ani w ogrodach wokół budowli, ani na moście nad fosą. Krowy leżały jak głązy, chociaż czasem któraś poruszyła skórą na boku, żeby odegnać muchę, i chodziły im leniwie koniuszki ogonów. Gdy spojrzałem na kwiat koniczyny rosnącej obok mojej ręki, ujrzałem, że pszczoła wciąż na nim siedzi. Dotknąłem lekko jej skrzydełka. Może martwa? Nie, poruszyła lekko czułkami, ale nic więcej. Obróciłem znów oczy na zamek, na jego okna i bramę, boczną, jak się okazało, którą widziałem wcześniej przez szparę w żywopłocie. Dopiero po chwili pojąłem, że te postacie przy wejściu to nie posągi, lecz żywi ludzie. Jeden trzymał długą laskę, drugi halabardę; stali po obu bokach odrzwi i choć z daleka wydawali się gotowi przeszkodzić każdemu, kto niepowołany próbowałby wejść do środka z ogrodów lub stajni, w rzeczywistości obaj spali oparci o mur.

Wcale mnie to nie zdziwiło. Śpią, pomyślałem. W tych okolicznościach wydało mi się to dość naturalne. Chyba zaczynałem się domyślać, gdzie dotarłem.

Nie, żebym znał wcześniej tę opowieść, choć wy może ją znacie. Nie wiedziałem, dlaczego śpią ani jak do tego doszło, że zasnęli. Nie znałem początku ich historii ani jej zakończenia. Nie

wiedziałem, kto mieszka w tym zamku. Ale byłem już pewien, że wszyscy tu śpią. Dziwna sprawa i chyba powinienem się wystraszyć, ale lęk jakoś nie przychodził.

Zatem nawet gdy wstałem i powoli ruszyłem nasłonecznioną murawą ku wierzbom nad fosą, nie zdawało mi się wcale, że śnię, ale że jestem wewnątrz czyjegoś snu. Nie wiedziałem, kto mnie śni, skoro to nie ja, lecz i tym się nie przejmowałem. Ukląkłem w cieniu wierzby i zanurzyłem swędzące dłonie w chłodnej wodzie. Niżej, poza zasięgiem moich rąk, zatrzymał się w czystej toni złociście nakrapiany karp, cztery drobne zmarszczki na powierzchni zwiastowały miejsce, gdzie pływak zastygł w swym owadzim spacerze. Pod mostem, w ulepionym z błota gnieździe, spały jaskółki z młodymi. Wysoko w murze widniało otwarte okno. Na parapecie widać było czyjąś głowę o ciemnych, jedwabistych włosach wspartą na pulchnym ramieniu.

Rozebrałem się, cicho, powoli i sennie, po czym wśliznąłem się do wody. Nie umiałem pływać, ale często kąpałem się w płytkich leśnych strumykach. Fosa była głęboka, lecz przytrzymałem się obmurowania, a potem znalazłem wystający spomiędzy kamieni korzeń wierzby i mogłem zanurzyć się aż po głowę.

Siedziałem tak trochę w wodzie i przyglądałem się złocistemu karpowi, aż w końcu czysty i odświeżony wdrapałem się na górę. Zamoczyłem brudną, przepoconą koszulę i spodnie, przeszorowałem je kamieniami i rozpostarłem na słońcu obok wierzby. Płaszcz i ciężkie, wypchane słomą chodaki zostawiłem pod żywopłotem. Gdy ubranie podeszło, nałożyłem je, mile chłodne i pachnące wilgocią. Palcami przeczesalem włosy. Potem wstałem i ruszyłem ku mostowi zwodzonemu.

Przeszedłem po nim powoli i cicho, bez lęku czy pośpiechu.

Obok wielkich wrót zamku siedział stary odzwierny. Pochrapywał przeciągle z głową zwieszoną na piersi.

Pchnąłem wysokie i okute żelazem dębowe odrzwia. Otworzyły się z lekkim skrzypieniem. Zaraz za progiem leżały na posadzce dwa wielkie ogary, oba z zamkniętymi ślepiami. Jednemu musiało się przyśnić polowanie, bo poruszył gwałtownie łapami, ale się nie obudził. Powietrze było tu równie zastałe, ale w odróżnieniu od tego znad łąk, jakby cieniste. Znikąd nie dochodził żaden dźwięk. Brakło śpiewu ptaków czy kobiet, odgłosów rozmów, szurania stóp czy uderzeń sygnaturki wybijającej godziny. Kucharze spali przy kotłach, służące z miotełkami do odkurzania lub nad szyciem, król i stajenni obok śpiących wierzchowców, królowa z dworkami przy ramie z haftem. Kot spał przy mysiej dziurze, mysz w kryjówce pomiędzy ścianami. Mól spał na motku wełny, muzyka w strunach harfy minstrela. Godziny nie płynęły. Słońce spało na błękitnym niebie, a cień wierzby nad wodą tkwił wciąż w tym samym miejscu.

Wiem, wiem dobrze, że to nie moje zakłęcie. Ja się tu tylko włamałem, wdarłem, siłą utorowałem sobie drogę. Wiem, że jestem kłusownikiem, ale nigdy nie miałem okazji nauczyć się być kimkolwiek innym. Nawet mój las, moje terytorium, nie należał nigdy do mnie. Był własnością króla, który spał tutaj, w swoim zamku w sercu puszczy. Jednak wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz ktoś wspomniał o królu. Drobnymi baronowie zawładnęli lasem, drwale kradli z niego drewno, wiejscy chłopcy zastawiali paści na króliki, a wszelkiej maści książątka zwykły uganiać się po ostępach, polując na jelenie. I do głowy żadnemu z nich na pewno nie przyszło, że narusza granice cudzej posiadłości.

Ja wiedziałem, że naruszyłem te granice, ale nie widziałem w tym nic złego. Dobrałem się, oczywiście, do ich jedzenia. Pasztet z dziczyzny, który kuchmistrz wyciągnął właśnie z pieca, pachniał tak wspaniale, że dla mego wygłodzonego ciała okazał się nieodpartą pokusą. Ułożyłem

śpiącego na kamiennej podłodze kuchmistrza w wygodniejszej trochę pozycji, podsunąłem mu zmiętą czapkę pod głowę i zaatakowałem ten wielki pasztet. Palcami odłamałem spory kęs z rogu i wpakowałem go do ust. Wciąż był ciepły, smakowity i soczysty. Najadłem się do syta. Gdy następnym razem przyszedłem do kuchni, pasztet znów był cały, nienaruszony. Zakłęcie trzymało. A może wola tego, kto nas śnił, sprawiała, że nie mogłem zmienić nic z tej wymarzonej rzeczywistości? Jadłem, ile chciałem, a kocioł z zupą znów się napełniał, bochenki chleba zaś czekały w spiżarni zawsze ze świeżą, chrupiącą skórką. Czerwone wino wypełniało po brzegi kryształowy puchar stojący obok ręki podczaszego, ilekroć wznosiłem naczynie, by pozdrowiwszy właściciela, wychylić zawartość do dna.

Niespiesznie obszedłem zamek oraz przyległe zabudowania i tereny. Wędrowałem od komnaty do komnaty, często przystawałem, by popodziwiać jakieś malowidło lub fantastyczny gobelin albo szczególnie świetnie wykonany przedmiot, mebel lub ozdobę. Na spoczynek kładłem się na miękkim łożu z zasłonami albo w trawiastym zakątku zalanego słońcem ogrodu (noc nigdy tam nie zapadła, spałem zatem, gdy czułem zmęczenie, a wstawałem, gdy czułem się wypoczęty). Krążąc tak po komnatach, piwnicach, salach, stajniach i kwaterach służby, poznałem też w końcu mieszkańców zamku. Przyglądałem się im tak, jakby też należeli do wyposażenia: oparci o ściany, siedzący albo leżący, wszyscy spali tam, gdzie ich akurat dosięgło zakłęcie, gdzie zaciążyły im powieki, zwolnił oddech, rozluźniły się i znieruchomiały kończyny. Pastuszek sikający do nory susła na wzgórzu padł jak kłoda i spał w najlepsze, tak jak najpewniej i suseł na dnie jamy. Kuchmistrza, jak już wspomniałem, powaliło w trakcie odprawiania sztuk kuchennych i chociaż wiele razy próbowałem ułożyć go trochę wygodniej czy podścielić mu coś pod głowę, zawsze marszczył czoło, jakby chciał powiedzieć: „Nie przeszkadzaj mi, jestem zajęty!” W najdalszym zakątku sadu ze starymi jabłonią kryła się para kochanków, wieśniaków jak ja. On leżał z opuszczonymi portkami, jakby dopiero co zsunął się z niej, twarz wtulił w pełną kwiatów trawę i spał nasycony. Ona, niska, hoża dziewczyna z rumianymi policzkami i sutkami, leżała rozciągnięta, ze spódnicami zadartymi do pasa, rozłożonymi szeroko nogami i rękami. Uśmiechała się przez sen. To było zbyt wiele jak na moje łaknące ciało. Położyłem się ostrożnie na niej, wycałowałem te czerwone sutki i wszedłem w jej miodową słodycz. Zawsze, ilekroć to robiłem, uśmiechała się sennie, a czasem nawet pojękiwała z przyjemności. Potem kładłem się obok niej i podobnie jak pierwszy kochanek dziewczyny, ten z drugiej strony, zapadałem w drzemkę i budziłem się potem, widząc nad sobą ostatnie, wiecznie tkwiące na gałęziach kwiaty. I nigdy nic mi się nie śniło.

Zresztą o czym miałbym śnić? Znajdywałem tu wszystko, czego tylko mogłem zapragnąć. Niemniej, w miarę upływu tego czasu, co nie płynął, poczułem się samotny. Wprawdzie przywykłem już wcześniej do samotności, ale towarzystwo śpiących stawało się coraz bardziej nużące. Chociaż spokojni i niegroźni, a często mi drodzy, boć mieszkałem wśród nich, to jednak nie byli wcale lepszym towarzystwem niż drewniane zabawki, którym dziecko musi zawsze użyć trochę własnej duszy i własnego głosu. Szukałem sobie pracy, nie tylko po to, żeby odplacić za wyżywienie i kwaterę, ale ponieważ, koniec końców, przywykłem pracować. Polerowałem srebra, zamiatałem bez końca podłogi, na których i tak nie było znać kurzu, czyściłem śpiące konie, ustawiałem książki w szafkach bibliotecznych. Kiedyś z nudów otworzyłem jeden z tych tomów. Zaciekawilo mnie, jak wyglądają zapisane słowa.

Nie miałem książki w ręku od czasów, gdy macocha uczyła mnie ze swojego elementarza. Potem widziałem jeszcze książeczkę do nabożeństwa, własność księdza z kościoła, do którego chodziliśmy na mszę podczas święta Yule. Z początku oglądałem tylko obrazki, zaiste cudowne i wciągające. Potem jednak zapragnąłem wiedzieć, co o tych obrazkach mówią słowa. Gdy zacząłem przyglądać



się literom, przypomniałem sobie, czego kiedyś mnie uczono: *a* w kształcie siedzącego kota, brzuchate *b* i *d*, *t* jak przykładnica cieśli, okrągłe *o*, *k* podobne do krzesła... I tak *d-o* znaczyło do, a *k-o-t* znaczyło kot i tak dalej. Miałem dość czasu, by nauczyć się czytać. Nawet gdybym uczył się bardzo wolno, i tak było go więcej niż dość. W końcu się więc nauczyłem i najpierw przeczytałem romanse i powieści historyczne z komnat królowej, gdzie po raz pierwszy otworzyłem książkę, potem zabrałem się do biblioteki króla, pełnej ksiąg o wojnach, królestwach, podróżach i sławnych ludziach, a na końcu sięgnąłem po bajki księżniczki. I stąd właśnie wiem, co to jest za zamek, król i podczaszy, i czym jest opowieść, tak że mogę napisać swoją własną.

Jednak nigdy nie wchodziłem chętnie do tej komnaty w wieży, gdzie były bajki. Głębiej zajrzałem tylko raz, potem wsuwałem się nie dalej niż do stojącego przy drzwiach regału z książkami. Spoglądałem nań, brałem książkę i zaraz wracałem na dół po krętych schodach. Na nią spojrzałem tylko za pierwszym razem. Pierwszym i jedynym.

Była sama w swoim pokoju. Siedziała tuż przy oknie na małym krześle z prostym oparciem. Nitka, którą przędła, wiła się na jej podołku i spływała na podłogę. Nić była biała, jej suknia zaś biało-zielona. Na jej otwartej dłoni leżało wrzeciono. Ukłuło ją w kciuk, a ostry koniec ciągle tkwił w skórze tuż nad delikatnym zgięciem. Miała drobne, subtelne dłonie. Była młodsza niż ja, gdy przeszedłem żywopłot, prawie dziecko jeszcze, i – co łatwo poznałem – nigdy ciężko nie pracowała. I gdy tak słodko spała, była piękniejsza niż ktokolwiek inny. Nie mogła się z nią równać pod tym względem nawet ta panna służąca z pulchnym ramieniem i jedwabistymi włosami ani różowiutkie niemowlę leżące w kołysce w domu odźwiernego. Ani też babcia tkwiąca w małym pokoju z oknem od południa. Ją lubiłem najbardziej. Gdy czułem się samotny, chodziłem z nią porozmawiać. Siedziała spokojnie, jakby patrzyła przez okno, i łatwo było uwierzyć, że słucha mnie i tylko trochę długo zastanawia nad odpowiedzią.

Jednak księżniczka spała słodziej nawet od niej. Jej sen był jak drzemka motyla.

Gdy tylko wszedłem do jej komnaty, ten pierwszy i jedyny raz, wiedziałem, że ona jedna ze wszystkich tutaj, w zamku, może się w każdej chwili obudzić. Wiedziałem, że ona jedna spośród nas śni. Wiedziałem, że jeśli powiem w tej komnacie w wieży choć słowo, ona mnie usłyszy. Może nie obudzi się, ale usłyszy mnie we śnie i jej sen się odmieni. Wiedziałem, że gdybym dotknął jej lub chociaż podszedł bliżej, zakłóciłbym jej sen. A gdybym jeszcze dotknął wrzeciona, przesunął je tak, by nie nakłuwało jej kciuka – a bardzo tego pragnąłem, gdyż widok był przykry i dla mnie bolesny – to na delikatnym opuszkę ponad ostrym końcem wrzeciona wezbrałaby powoli kropla czerwonej krwi. A ona otworzyłaby oczy. Powoli uniosłaby powieki i spojrzałaby na mnie. I zakłęcie straciłoby moc, sen dobiegłby końca.

Długo przyszło mi mieszkać wewnątrz ogromnego żywopłotu. Na tyle długo, że teraz jestem starszy niż mój ojciec, gdy ostatni raz go widziałem. Jestem równie wiekowy jak babka w pokoju od południa. I równie siwy. Od wielu lat nie wspiałem się już do komnaty na wieży. Przestałem czytać bajki, nie zaglądam do upojnego sadu. Siedzę sobie w ogrodzie na słońcu. Gdy kiedyś zjawi się książę i jednym uderzeniem potężnego jasnego miecza utoruje sobie drogę przez ten kolczasty gąszcz, z którym ja zmagalem się dwa lata, gdy wejdzie po krętych schodach do komnaty na wieży i pocałuje ją, a wrzeciono wypadnie jej z dłoni i na jej białej skórze zbierze się maleńkim rubinem kropla krwi, wówczas ona otworzy oczy, ziewnie i spojrzy na niego. W zamku zacznie się poruszenie, opadnie kilka płatków z jabłoni, mała pszczoła poruszy się i odleci, bzyząc, z kwiatka koniczyny, a ona będzie patrzeć na niego ledwie obudzona, trochę między jawą a tym nie dośnionym jeszcze, stuletnim marzeniem, i ciekawe, czy pomyśli wtedy choć przez chwilę: „Czy to tę twarz widziałam we śnie?” Jednak wówczas ja będę spał już na stercie śmieci. Będę spał mocniej, niż oni kiedykolwiek spali.

# Table of Contents

<a href="#"><u>STRONA TYTUŁOWA..</u></a>	<a href="#"><u>1</u></a>
<a href="#"><u>OTWARTE PRZESTWORZA..</u></a>	<a href="#"><u>3</u></a>
<a href="#"><u>DOMY PROFESORA..</u></a>	<a href="#"><u>13</u></a>
<a href="#"><u>RUBY W 67.</u></a>	<a href="#"><u>18</u></a>
<a href="#"><u>LIMBERLOST.</u></a>	<a href="#"><u>21</u></a>
<a href="#"><u>ZWIERZAKOWE ZAMYŚLENIA..</u></a>	<a href="#"><u>28</u></a>
<a href="#"><u>PRZY SWOIM...</u></a>	<a href="#"><u>32</u></a>
<a href="#"><u>ŁYŻECZKI W PIWNICY..</u></a>	<a href="#"><u>42</u></a>
<a href="#"><u>LETNIA NIEDZIELA W SEATOWN..</u></a>	<a href="#"><u>46</u></a>
<a href="#"><u>SUSZA..</u></a>	<a href="#"><u>48</u></a>
<a href="#"><u>ETHER, OREGON..</u></a>	<a href="#"><u>52</u></a>
<a href="#"><u>WPÓŁ DO PIĄTEJ.</u></a>	<a href="#"><u>73</u></a>
<a href="#"><u>PANNA BARDZO MŁODA..</u></a>	<a href="#"><u>100</u></a>
<a href="#"><u>WSPINACZKA NA KSIĘŻYC..</u></a>	<a href="#"><u>102</u></a>
<a href="#"><u>DUŻA DZIEWCZYNNKA TATUSIA..</u></a>	<a href="#"><u>106</u></a>
<a href="#"><u>ODKRYCIA..</u></a>	<a href="#"><u>114</u></a>
<a href="#"><u>STARSI.</u></a>	<a href="#"><u>116</u></a>
<a href="#"><u>MĄDRA..</u></a>	<a href="#"><u>130</u></a>
<a href="#"><u>KŁUSOWNIK..</u></a>	<a href="#"><u>133</u></a>